

AGATHA CHRISTIE

# PUŁAPKA NA MYSZY

PRZEŁOŻYŁA ADELA DRAKOWSKA  
TYTUŁ ORYGINAŁU TREE BLIND MICE

Ślepe myszki trzy,  
Ślepe myszki trzy,  
Spójrz, jak one biegną,  
Spójrz, jak one biegną.  
Pobiegły wszystkie do farmera żony,  
Ona ostrym nożem obcięła im ogony.  
Czy kto widział w życiu lub słyszał  
O trzech ślepych, małych myszkach?

## PUŁAPKA NA MYSZY

Było bardzo zimno. Na niebie kłębiły się mroczne i ciężkie śniegowe chmury.

Mężczyzna w ciemnym palcie, z szalikiem owiniętym wokół twarzy i w kapeluszu spuszczonej na oczy pojawił się na Culver Street i wszedł na stopnie domu pod numerem siedemdziesiątym czwartym. Przycisnął dzwonek i w suterenie poniżej rozległ się przenikliwy dźwięk.

Pani Casey, zajęta zmywaniem, stwierdziła z goryczą:

— Przeklęty dzwonek. Nigdy nie ma człowiek spokoju.

Lekko sapiąc, z trudem wspięła się po schodkach i otworzyła drzwi. Sylwetka stojącego mężczyzny zarysowała się na tle nisko zasnutego chmurami nieba.

— Pani Lyon? — spytał szeptem.

— Drugie piętro — odparła pani Casey. — Może pan wejść na górę. Czy ona pana oczekuje? — Mężczyzna powoli skinął głową. — Niech więc pan wejdzie i zapuka.

Obserwowała go, gdy wspinał się po schodach wyłożonych podniszczonym chodnikiem. Później powiedziała, że mężczyzna zrobił na niej dziwne wrażenie. Ale w tej chwili pomyślała jedynie, że musi być okropnie przeziębiony, skoro może tylko szeptać w ten sposób — zresztą nie było się czemu dziwić w taką pogodę.

Znalazłszy się za zakrętem schodów, mężczyzna zaczął cicho pogwizdywać. Gwizdał melodię Ślepe myszki trzy.

Molly Davis cofnęła się na drogę i spojrzała na świeżo wymalowaną tablicę na bramie.

## Monkswell Manor

## Pensjonat

Pokiwała głową z uznaniem. Zrobione zupełnie fachowo. No, można powiedzieć, prawie fachowo. Wprawdzie „t” w słowie „pensjonat” wychylało się troszkę do góry, a końcówka „Manor” była leciutko ściętniona, ale ogólnie rzecz biorąc Giles wykonał wspaniałe robotę. Doprawdy, Giles był bardzo zdolny. Tyle rzeczy potrafił zrobić. Stale dokonywała nowych odkryć na temat własnego męża. Mówił o sobie tak mało, że dopiero stopniowo dowiadywała się, ile rozmaitych umiejętności posiadał. Mężczyzna, który służył w marynarce, zawsze jest „złotą rączką” — jak mówili ludzie.

Bez wątplenia w ich nowym przedsięwzięciu Gilesowi przydadzą się wszystkie te talenty. Nikt bowiem nie mógł być bardziej niedoświadczony w prowadzeniu pensjonatu niż ona i Giles. Ale to mogło być nawet zabawne. I rozwiązywało problemy mieszkaniowe.

To był pomysł Molly. Kiedy ciotka Catherine zmarła i prawnicy przekazali Molly wiadomość, że odziedziczyła Monkswell Manor, pierwszą reakcją młodego małżeństwa była chęć sprzedania domu. Giles wtedy zapytał: „Jak on wygląda?” A Molly odparła: „Och, duży, zbudowany bez stylu stary dom, pełen ciężkich, staromodnych wiktoriańskich mebli. Dość ładny ogród, ale strasznie zapuszczony od czasu wojny, ponieważ został tam tylko jeden, stary ogrodnik”.

Tak więc zdecydowali się wystawić dom na sprzedaż i zatrzymać jedynie trochę mebli do urządzenia własnego małego domku lub mieszkania.

Lecz od razu pojawiły się dwie przeszkody. Po pierwsze nie można było znaleźć żadnego małego domku ani mieszkania, a po drugie wszystkie meble były olbrzymie.

— Dobrze — powiedziała Molly. — Sprzedajmy więc wszystko razem. Przypuszczam, że to się uda?

Doradca prawny zapewnił ich, że w dzisiejszych czasach wszystko można sprzedać.

— Bardzo możliwe — powiedział — że ktoś kupi dom na hotel albo pensjonat, a w takim przypadku kompletne wyposażenie jest mile widziane. Na szczęście dom jest w bardzo dobrym stanie. Zmarła panna Emory dokonała całościowego remontu i modernizacji jeszcze przed wojną i zniszczenia są nieznaczne. Och tak, dom jest zupełnie w porządku.

I właśnie wtedy Molly wpadła na pomysł.

— Giles — powiedziała — dlaczego my sami nie moglibyśmy poprowadzić pensjonatu?

Z początku wyśmiał ten projekt, ale Molly nie dała za wygraną.

— Nie musimy przyjmować dużo ludzi — przynajmniej nie od razu. To dom łatwy do prowadzenia — jest ciepła i zimna woda w sypialniach, centralne ogrzewanie i kuchnia na gaz. Możemy mieć kury i kaczki, własne jajka i warzywa.

— A kto to wszystko będzie robił? Czyż nie jest trudno o służbę?

— Och, sami będziemy musieli pracować. Ale gdziekolwiek byśmy mieszkali, musielibyśmy to robić. Kilka dodatkowych osób wcale nie przysparza dużo więcej pracy. Niewykluczone, że zatrudnimy później kobietę, kiedy już zaczniemy na dobre. Jeśli mielibyśmy tylko pięciu gości i każdy płaciłby siedem gwinei za tydzień... — Molly oddała się, cokolwiek zbyt optymistycznym, pamięciowym rachunkom.

— I pomyśl, Giles — dodała na koniec — to byłby nasz własny dom, z naszymi własnymi rzeczami. W obecnym stanie zanoszą się na to, że minie jeszcze wiele lat, nim znajdziemy coś do zamieszkania.

Giles musiał przyznać, że była to prawda. Po swym pospiesznym ślubie spędzili razem niewiele czasu i teraz pragnęli osiedlić się wreszcie we własnym domu.

A zatem wielki eksperyment ruszył. Ogłoszenia zostały zamieszczone w lokalnej prasie i w Timesie, i nadeszły liczne oferty.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy miał przybyć pierwszy gość. Giles wyjechał wcześniej rano samochodem, ażeby zakupić drucianą siatkę z demobilu, którą oferowano na drugim końcu hrabstwa, Molly zaś stwierdziła konieczność udania się do wsi po ostatnie sprawunki.

Jedynie pogoda nie sprzyjała. Przez ostatnie dwa dni było nieznośnie zimno, a teraz zaczął padać śnieg. Molly szła szybko po podjeździe, a gęste, puszyste płatki sypały się na jej nieprzemakalny płaszcz i jasne, kręcone włosy. Prognozy pogody były w najwyższym stopniu przygnębiające. Zanosilo się na ciężką śnieżycę. Molly miała nadzieję, że rury nie pozamarzają. Fatalnie by się stało, gdyby wszystko się popsuło właśnie w momencie, gdy rozpoczynali. Spojrzała na zegarek. Minęła pora podwieczorku. Czy Giles już wrócił? Czy zastanawiał się, gdzie ona jest? „Musiałam ponownie iść do wioski po coś, o czym zapomniałam” — powie mu. A on zapewne roześmieje się i zapyta: „Po więcej konserw?”

Konserwy stanowiły temat ich stałych żartów. Ustawicznie zaprzęтали sobie nimi głowę i teraz, na wszelki wypadek, spiżarnia była rzeczywiście zupełnie nieźle zaopatrzona.

Spojrawszy na niebo, Molly pomyślała z grymasem niezadowolenia na twarzy, że wszystko wskazuje na to, iż owa nagła potrzeba wkrótce zaistnieje.

Dom był pusty. Giles jeszcze nie wrócił. Molly wstąpiła najpierw do kuchni, po czym weszła na górę zrobić przegląd świeżo przygotowanych sypialni. Dla pani Boyle południowy pokój mahoniowy z łóżkiem z baldachimem. Dla majora Metcalfa błękitny pokój dębowy. Dla pana Wrena wschodni z wykuszowym oknem. Wszystkie pokoje wyglądały przyjemnie — i jakież szczęście, że ciotka Catherine posiadała tak imponujący zapas bielizny pościelowej. Molly, wygładziwszy kapę na łóżku, zeszła na dół. Zrobiło się prawie ciemno. Dom wydał się nagle bardzo cichy i pusty. Położony był na odludziu, dwie mile do wioski, dwie mile, jak Molly to określała, donikąd.

Często przebywała w domu sama, lecz nigdy dotąd nie była świadoma tego faktu tak bardzo jak dziś.

Śnieg uderzał łagodnym podmuchem o szyby, co wywoływało stłumiony, niepokojący szum. A jeśli Giles nie będzie mógł wrócić — jeśli śnieg był tak obfity, że samochód nie przejedzie? A jeśli będzie musiała zostać tutaj sama — zostać sama jedna być może całe dni?

Rozejrzała się po kuchni — duża, wygodna kuchnia wydawała się aż prosić o tęgą, sympatyczną kucharkę rezydującą u szczytu stołu, która chrupałaby rytmicznie twarde jak skała ciasteczka, popijając czarną herbatę — a u jej boku zasiadałyby wysoka, starszawa pokojówka z jednej i okrągła, rumiana sprzątaczką z drugiej strony oraz pomocnica kuchenna na przeciwległym krańcu stołu, patrząca przestraszonym wzrokiem na swoje zwierchniczki. Lecz zamiast tego była tutaj jedynie ona sama, Molly Davis, grając rolę, w której nie czuła się jeszcze zbyt swobodnie. W tej chwili całe życie wydało jej się nierealne i Giles wydawał się nierealny. A ona grała rolę — tylko odgrywała rolę.

Gdy za oknem przemknął cień, podskoczyła. Obcy mężczyzna szedł po śniegu. Usłyszała trzask i po chwili nieznamy stanął w otwartych drzwiach otrzepując się. Obcy mężczyzna wszedł do pustego domu.

I nagle złudzenie pierzchnęło.

— Och, Giles! — krzyknęła. — Jakże się cieszę, że przyjechałeś!

— Witaj, mój skarbie! Co za okropna pogoda! Mój Boże, cały jestem przemarznięty. — Przytupywał nogami i chuchał w rękę.

Molly machinalnie wzięła płaszcz, który rzucił we właściwy sobie sposób na dębową komodę i powiesiła go na wieszaku, wyjmując z powypychanych kieszeni szalik, gazetę, kłębek sznurka oraz poranną korespondencję, wetkniętą tam w nieładzie. Położyła te przedmioty na kuchennym kredensie i postawiła czajnik na gazie.

— Kupiłeś siatkę? — zapytała. — Nie było cię całe wieki. — Nie znalazłem właściwego rodzaju, niczego, co by nam odpowiadało. Pojechałem jeszcze do drugiego składu, ale również i tam nie mieli nic odpowiedniego. A co ty porabiałaś? Jak sadzę, nikt się jeszcze nie pojawił?

— Pani Boyle przyjedzie dopiero jutro.

— Major Metcalf i pan Wren powinni być tutaj dzisiaj.

— Major Metcalf przysłał kartę z wiadomością, że przyjedzie jutro.

— A więc będziemy sami z panem Wrenem na kolacji. Jak myślisz, jaki on jest? Moim zdaniem, to ktoś w rodzaju emerytowanego urzędnika państwowego.

— A ja myślę, że to artysta.

— W takim razie — powiedział Giles — weźmy lepiej zapłatę za tydzień z góry.

— Och, Giles, oni przecież przywiozą bagaże. Jeśli nie będą płacić, zarekwirujemy je.

— A jeżeli ich bagaże okażą się kamieniami zawiniętymi w gazety? Prawda jest taka, Molly, że nawet w najmniejszym stopniu nie wiemy, na jakie trudności możemy natknąć się w tym interesie. Pozostaje mi żywić nadzieję, że przynajmniej nie zauważą, jakimi nowicjuszami jesteśmy.

— Pani Boyle zauważy z pewnością — stwierdziła Molly. — Ona jest tego rodzaju kobietą.

— Skąd wiesz? Przecież jej nie widziałas.

Molly odwróciła się. Rozłożyła gazetę na stole, przyniosła kawałek sera i zaczęła go ścierać na tarce.

— Co to jest? — zapytał jej mąż.

— To będzie grzanka z serem po walijsku — poinformowała Molly. — Tarta bułka, tłuczone kartofle i ociupinka sera, aby usprawiedliwić jej nazwę. .

— Czyż nie jesteś uzdolnioną kucharką? — powiedział jej zachwycony mąż.

— Wątpię. Potrafię robić tylko jedną rzecz naraz. Połączenie wielu czynności wymaga dużego doświadczenia. Najgorsze jest śniadanie.

— Dlaczego?

— Ponieważ wszystko dzieje się jednocześnie — jajka i bekon, gorące mleko, kawa i grzanki. Mleko kipi, grzanki się przypalają albo bekon skwierczy, albo jajka stają się twarde. Trzeba miotać się jak poparzony kot, żeby zdążyć wszystkiego przypilnować.

— Będę więc musiał jutro rano zakraść się cichaczem do kuchni, aby obejrzeć sobie to uosobienie poparzonego kota.

— Woda się gotuje — powiedziała Molly. — Może weźmiemy tacę do biblioteki i posłuchamy radia? Już prawie pora na wiadomości.

— Powinniśmy mieć radio również tutaj, ponieważ zanosি się na to, że prawie cały swój czas będziemy spędzać w kuchni.

— Tak. Jakże przyjemne są kuchnie. A tę uwielbiam. Bez wątpienia to najprzyjemniejsze miejsce w całym domu. Lubię kredens i talerze, i po prostu kocham to uczucie obfitości, które budzi przeogromna kuchnia węglowa — chociaż, oczywiście, jestem głęboko wdzięczna, że nie muszę już na niej gotować.

— Przypuszczam, że całoroczny przydział węgla poszedłby w jeden dzień.

— Z pewnością. Ale pomyśl tylko o tych wielkich udźcach, które tutaj pieczono, polędwicach wołowych i baranich combrach. Albo o tych olbrzymich, miedzianych patelniach pełnych dżemu truskawkowego domowej roboty, z funtami i funtami cukru, który się doń wsypywało. Epoka wiktoriańska — jakież to były urocze i przyjemne czasy! Spójrz na meble na górze, duże, solidne i trochę przeładowane ozdobami, ale, och, niebiańsko wygodne, z dużą ilością miejsca na rzeczy, które dawniej posiadano, i każda szuflada wsuwająca i wysuwająca się z taką łatwością. A pamiętasz to eleganckie, nowoczesne mieszkanie, które wynajmowaliśmy? Wszystko wbudowane w ściany, przesuwane — ale nigdy nic się nie suwało, tylko zacinało. I te suwane drzwi, które jeśli w ogóle udało się zamknąć, to nie można ich było otworzyć.

— Tak, to najgorsza strona wynalazków. Jeśli nie funkcjonują prawidłowo, jesteś załatwiony.

— No chodź, posłuchajmy wiadomości.

Wiadomości poświęcone były głównie ponurym ostrzeżeniom na temat pogody, niezmiennemu impasowi w sprawach zagranicznych, gwałtownym kłótniom w parlamencie oraz morderstwu na Culver Street w Paddington.

— Och! — powiedziała Molly, wyłączając radio. — Same nieszczęścia. Czy oni się spodziewają, że będziemy siedzieć i marznąć? Myślę, że nie powinniśmy otwierać pensjonatu zimą. Trzeba było poczekać do wiosny. — Po chwili dodała innym tonem: — Zastanawiałam się, jaka to była kobieta, którą zamordowano.

— Pani Lyon?

— Tak się nazywała? Ciekawa jestem, kto ją zamordował i dlaczego.

— Być może miała majątek ukryty pod podłogą.

— Kiedy mówi się, że policja pragnie przesłuchać mężczyznę „widzianego w okolicy”, czy to oznacza, że on właśnie jest mordercą?

— Myślę, że zazwyczaj tak, tyle że powiedziane w łagodnej formie.

„Przeraźliwy dźwięk dzwonka sprawił, że oboje podskoczyli.

— To do frontowych drzwi — powiedział Giles. — Wchodzi morderca — dodał żartobliwym tonem.

— Mogłoby tak być. Oczywiście, w teatrze. Pospiesz się. To z pewnością pan Wren. Zaraz się przekonamy, kto miał rację na jego temat, ty czy ja.

Pan Wren wszedł z impetem do środka, wnosząc ze sobą śnieżną zawieruchę. Stojąc w drzwiach biblioteki, Molly mogła dostrzec jedynie sylwetkę przybysza zarysowaną na tle białego światła na dworze. Jak podobni do siebie — pomyślała — stają się wszyscy mężczyźni w uniformach swojej cywilizacji. Ciemny płaszcz, szary kapelusz, szalik wokół szyi.

W chwilę później Giles zatrzasnął drzwi przed śnieżnym żywiołem, a pan Wren zdejmował szalik, stawiał walizkę i zrzucił kapelusz — wszystko, jak się zdawało, robiąc naraz — i jednocześnie mówił. Miał wysoki, nieomal kłótlivy głos i w świetle okazał się młodym mężczyzną o rozwichrzonej, jasnej, spalonej słońcem czuprynie i bladych, niespokojnych oczach.

— Straszna, aż nadto straszna — mówił. — Angielska zima W swoim najgorszym wydaniu — jak u Dickensa — Scrooge i Mafy Tim, i co tam jeszcze. Potrzeba niebywałego hartu, żeby stawić temu czoła. Nie sądzicie państwo? Odbyłem okropną podróż na przełaj Walii. Czy pani jest panią Davis? Jestem doprawdy zachwycony. — Ręka Molly została uwięziona w krótkim, kościstym uścisku. — Bynajmniej nie tak sobie panią wyobrażałem. Sądziłem, że przyjdzie mi poznać wdowę po generale armii indyjskiej. Straszliwie zasadniczą, wyniosłą memsahib, rozumie pani — Benares, coś w tym guście — maniery, jakżeby nie, prawdziwie wiktoriańskie. Tymczasem — boska, po prostu boska! Czy ma pani woskowe kwiaty? A może rajskie ptaki? Och, już wiem na pewno, że pokocham to miejsce. Obawiałem się, wie pani, że to będzie bardzo staromodna, bardzo pańska rezydencja — ma się rozumieć pełna grawerowanych mosiądzów z Benares. Tymczasem dom jest cudowny — kwintesencja prawdziwie wiktoriańskiego dostojęstwa. Proszę mi powiedzieć, czy macie państwo jeden z tych pięknych kredensów — mahoń — purpurowośliwkowy mahoń, z wielkimi, rzeźbionymi owocami?

— Faktycznie, mamy — powiedziała Molly nieco, ogłuszona tym potokiem słów.

— Nie! Mogę go zobaczyć? Zaraz. To tutaj?

Jego porywczność była trochę niepokojąca. Przekręcił klamkę w drzwiach do jadalni i zapalił światło. Molly weszła za nim do środka, kątem oka dostrzegając dezaprobatę na twarzy Gilesa.

Pan Wren przesunął swoimi długimi, kościstymi palcami po kunsztownym rzeźbieniu masywnego kredensu, wydając krótkie okrzyki zachwytu. Następnie obdarzył swoją gospodynię pełnym wyrzutu spojrzeniem.

— Nie ma dużego mahoniowego stołu jadalnego? Zamiast tego te wszystkie małe stoliczki porzucane tu i tam?

— Sądziłam, że goście tak będą woleli — odparła Molly.

— Oczywiście, moja droga, ma pani zupełną rację. Dałem się ponieść swemu sentymentowi dla tamtej epoki. Rzecz jasna, jeśli posiadałaby pani taki stół, powinna mieć pani również odpowiednią rodzinę skupioną wokół niego. Surowy i przystojny ojciec z brodą, płodna, przywiędła matka, jedenaścioro dzieci, sroga guwernantka i jakaś „biedna Harriet” — uboga krewna, działająca jako pomoc do wszystkiego i głęboko wdzięczna, że ofiarowano jej porządną dom. Proszę spojrzeć na to palenisko i pomyśleć o płomieniach skaczących od kominka i parzących w plecy biedną Harriet.

— Zaniosę pańską walizkę na górę — przerwał Giles. — Wschodni pokój?

— Tak — potwierdziła Molly.

Pan Wren wyskoczył za Gilesem do holu.

— A czy jest tam łóżko z perkalowym baldachimem w małe różyczki? — spytał.

— Nie, nie ma — odrzekł Giles i zniknął za zakrętem schodów.

— Nie wierzę, żeby pani mąż mnie polubił — powiedział pan Wren. — W czym on służył? W marynarce?

— Tak.

— Tak też myślałem. Oni są znacznie mniej tolerancyjni niż ci z sił lądowych i lotnictwa. Jak długo jesteście po ślubie? Jest pani w nim bardzo zakochana?

— Może zechciałby pan wejść i obejrzeć pokój.

— Tak, oczywiście. To było impertynenckie z mojej strony. Ale naprawdę chciałem wiedzieć — to znaczy — to interesujące wiedzieć wszystko o ludziach, nie sądzi pani? Rzecz jasna, nie to, kim są i co robią, tylko co czują i myślą.

— Przypuszczam — powiedziała Molly poważnym tonem — że pan jest panem Wrenem?

Młody człowiek nagle przystanął, schwycił się za głowę i zaczął szarpać za włosy.

— Ależ to straszne — nigdy nie robię najpierw tego, co należy. Oczywiście, nazywam się Christopher Wren — tylko proszę się nie śmiać. Moi rodzice byli niezwykle romantyczną parą. Mieli nadzieję, że zostanę architektem. Uznali za wspaniały pomysł ochrzcić mnie Christopher — w pewnym sensie to już pół drogi do celu.

— I jest pan architektem? — spytała Molly, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

— Tak — powiedział pan Wren z triumfem w głosie. — Przynajmniej, jak się zdaje, jestem tego bliski. Nie mam jeszcze pełnych kwalifikacji. W każdym razie to dobitny przykład, że choć raz spełniły się pobożne życzenia. Proszę sobie wyobrazić, że teraz moje nazwisko stanie się zawadą. Co prawda nigdy nie będę prawdziwym Christopherem Wrenem, tym niemniej osiedla z prefabrykatów projektowane przez Chrisa Wrena mogą zdobyć sławę.

Giles szedł na dół, więc Molly zaproponowała:

— Teraz pokażę panu pokój, panie Wren.

Kiedy w kilka minut później zjawiała się na dole, Giles zapytał:



— Jak mu się podobały dębowe meble?

— Tak bardzo zależało mu na łóżku z baldachimem, że zamieniłam mu pokój na różany.

Giles chrząknął i mruknął pod nosem coś, co kończyło się: „... młody pajac”.

— Posłuchaj, Giles — powiedziała Molly poważnym tonem. — Nie urządzamy domowego przyjęcia. To jest interes. Więc czy lubisz Christophera Wrena, czy nie...

— Nie lubię — wtrącił Giles.

— ... nie ma to nic do rzeczy. Płaci nam siedem gwinei za tydzień i tylko to się liczy.

— Tak, jeśli płaci.

— Ależ zgodził się zapłacić. Otrzymaliśmy jego list.

— Czy przeniosłaś jego walizkę do różanego pokoju?

— Zaniósł ją sam, oczywiście.

— Bardzo szarmancki. Lecz i tak byś się nie przedzwignęła. Z pewnością nie ma w niej kamieni owiniętych w gazetę. Jest tak lekka, że obawiam się, iż prawdopodobnie nic w niej nie ma.

— Szs... Nadchodzi — oznajmiła Molly ostrzegawczo.

Christopher Wren został wprowadzony do biblioteki, która zdaniem Molly wyglądała doprawdy przytulnie ze swoimi dużymi fotelami i polanami płonącymi na kominku. Kolacja miała być za pół godziny, a w odpowiedzi na pytanie gościa Molly wyjaśniła, że w tej chwili nie ma jeszcze innych osób. Christopher zaś zaproponował, czy wobec tego nie mieliby nic przeciwko, jeśliby poszedł do kuchni i pomógł.

— Potrafię usmażyć omelet, jeśli pani sobie życzy — powiedział ochoczo.

Następne czynności odbyły się w kuchni i Christopher ostatecznie pomógł w zmywaniu.

Tak czy inaczej Molly wyczuła, że nie był to zupełnie właściwy początek jak na typowy pensjonat, a Gilesowi całkiem się to nie podobało. „Och, mniejsza z tym — pomyślała Molly, kładąc się spać. — Jutro przyjadą następni goście i wszystko potoczy się inaczej”.

Ranek przywitał ich ciemnymi chmurami i śniegiem. Giles miał ponurą minę i Molly również podupadła na duchu. Zanościło się na to, że pogoda wszystko skomplikuje.

Taksówka, którą przybyła pani Boyle, miała łańcuchy na kołach, a jej kierowca przyniósł pesymistyczne informacje o stanie dróg.

— Do zmroku porobią się zasy — zapowiedział.

Pani Boyle swą osobą nie rozjaśniła panującego przygnębienia. Była mocno zbudowaną, groźnie wyglądającą kobietą. O donośnym głosie i władcym sposobie bycia. Jej wrodzoną agresywność pogłębiła jeszcze wojenna działalność, kiedy nieustępliwość i wojowniczość stały się cechami szczególnie użytecznymi.

— Jeśli nie miałabym przekonania, że jest to dobrze prosperująca firma, nigdy bym tu nie przyjechała — zakomunikowała. — Naturalnie, myślałam, że pensjonat jest prawidłowo założony i prowadzony według fachowych zasad.

— Nie jest pani zobowiązana tu pozostać, jeśli nie czuje się pani usatysfakcjonowana, pani Boyle — odparł Giles.

— Oczywiście. I sędzę, że właśnie tak uczynię.

— A więc, być może, pani Boyle, chciałaby pani zamówić taksówkę — powiedział Giles. — Drogi nie zostały jeszcze zablokowane. Jeśli zaszło tu jakieś nieporozumienie, prawdopodobnie będzie lepiej, jeżeli uda się pani gdzie indziej. — I dodał: — Otrzymaliśmy tak wiele ofert, że z łatwością znajdziemy kogoś na pani miejsce. Oczywiście, w przyszłości będziemy pobierać większą opłatę za nasze pokoje.

Pani Boyle rzuciła mu ostre spojrzenie.

— Z pewnością nie odjadę; zanim nie sprawdzę, jak tu jest. Może byłaby pani tak uprzejma dostarczyć mi duży ręcznik kąpielowy, pani Davis. Nie jestem przyzwyczajona wycierać się chusteczką do nosa.

Giles posłał Molly szeroki uśmiech za plecami odchodzącej pani Boyle.

— Kochanie, byłeś cudowny — powiedziała Molly. — Wspaniale stawieś jej czoła.

— Tacy ludzie łatwo spuszczaają z tonu, jeśli użyje się przeciw nim ich własnej broni — odparł Giles.

— Och, mój drogi — powiedziała Molly — ciekawa jestem, jak też ona się zgodzi z Christopherem Wrenem.

— Nie zgodzi się — odrzekł Giles.

I rzeczywiście, jeszcze tego samego popołudnia pani Boyle powiedziała do Molly z wyraźną dezaprobatą w głosie:

— To bardzo dziwny, młody człowiek.

Piekarz, który przybył dostarczyć chleb, wyglądał niczym badacz polarny. Ostrzegł, że jego następna wizyta za dwa dni może nie dojść do skutku.

— Wszędzie zatory — oznajmił. — Mam nadzieję, że porobiła pani zapasy?

— Och, tak — odparła Molly. — Mamy dużo puszek. Mimo to lepiej będzie, jeśli wezmę dodatkową mąkę.

Przypomniała sobie mgliście, że Irlandczycy wypiekali coś, co nazywało się chlebem sodowym. Jeśli nie będzie innego wyjścia, może uda jej się to zrobić.

Piekarz przywiózł również gazety, które Molly wyłożyła na stoliku w holu. Sytuacja międzynarodowa straciła na swej doniosłości. Pogoda i morderstwo pani Lyon zajmowały pierwszą stronę.

Wpatrywała się w niewyraźne zdjęcie twarzy zmarłej kobiety, kiedy usłyszała za sobą głos Christophera Wrena:

— Nikczemny mord, nie sądzi pani? Pospolicie wyglądająca kobieta i jakże pospolita ulica. Trudno podejrzewać, by kryła się za tym jakaś historia, czyż nie?

— Nie mam żadnych wątpliwości — odezwała się pani Boyle pogardliwym tonem — że ta kreatura dostała tylko to, na co sobie zasłużyła.

— Och — zwrócił się do niej z ujmującym uśmiechem pan Wren. — A więc sądzi pani, że to bez wątpienia morderstwo na tle seksualnym, czy tak?

— Nic takiego nie sugerowałam, panie Wren.

— Ona została uduszona, prawda? — Wyciągnął swoje długie, białe dłonie. — Zastanawiam się, jakie to uczucie dusić kogoś.

— Doprawdy, panie Wren!

Christopher przysunął się do niej bliżej i zniżył głos.

— A czy zastanawiała się pani, pani Boyle, jakie to uczucie — być duszonym?

Pani Boyle powtórzyła z jeszcze większym oburzeniem:

— Doprawdy, panie Wren!

Molly pospiesznie zaczęła czytać głośno:

— Mężczyzna, którego policja pragnie przesłuchać, ubrany był w ciemne palto i jasny kapelusz; był średniego wzrostu i nosił wełniany szalik.

— W istocie — powiedział Christopher Wren — wyglądał tak samo jak wszyscy inni. — Roześmiał się.

— Tak — przyznała Molly — jak wszyscy inni.

W swoim pokoju w Scotland Yardzie inspektor Parminter powiedział do detektywa sierżanta Kane'a:

— Przyjmę teraz tych dwóch robotników.

— Tak, sir.

— Jacy oni są?

— Porządni robotnicy. Niezbyt bystrzy, ale godni zaufania.

— Dobrze — inspektor Parminter skinął głową.

Niebawem dwóch mężczyzn, odświętnie ubranych i z wyrazem zakłopotania na twarzy, pojawiło się w pokoju. Parminter oszacował ich szybkim spojrzeniem, znany był z tego, że z łatwością potrafił stworzyć swobodną atmosferę.

— A więc, waszym zdaniem, macie informacje, które mogłyby nam się przydać w sprawie pani Lyon — powiedział. — Słusznie, że przyszlście. Proszę usiąść. Papierosa?

Odczekał chwilę, aż zapalili.

— Wyjątkowo paskudna pogoda.

— To prawda, sir.

— A zatem, przejdźmy do rzeczy.

W obliczu trudności, jakie nastęrczało opowiadanie, mężczyźni spojrzeli niepewnie jeden na drugiego.

— No zaczynaj, Joe — odezwał się wyższy z nich.

— Wie pan, to było tak — rozpoczął Joe. — Nie mieliśmy zapalek.

— Gdzie to było?

— Na Jarman Street. Pracowaliśmy tam przy rurach gazowych.

Inspektor Parminter skinął głową. Później ustali dokładnie szczegóły czasu i miejsca. Wiedział, że Jarman Street znajduje się w okolicy Culver Street, gdzie rozegrała się tragedia.

— Nie mieliście zapalek — podjął zachęcająco.

— Tak. Właśnie skończyło mi się pudełko, a zapalniczka Billa nie chciała się zapalić, więc zagadnąłem faceta, który przechodził. „Może pan nam dać zapalniczki, proszę pana?” — mówię. Nie myślałem wtedy nic szczególnego, naprawdę. On po prostu przechodził, tak jak wielu innych. Tylko przez przypadek poprosiłem właśnie jego.

Parminter znów skinął głową.

— No więc, on daje nam te zapalniczki. Daje nam i nic nie mówi. „Okrutne zimno” — powiedział Bill do niego, a on odpowiedział tylko jakoś tak szeptem: „To prawda”. Pomyślałem, że musiał się niezłe zaziębić. W każdym razie cały był okutany. „Dzięki” — mówię i zwracam mu zapalniczki, a on oddał się szybko, tak szybko, że kiedy widzę, że coś upuścił, jest już prawie za późno, żeby za nim wołać. To był mały notes — musiał wysunąć mu się z kieszeni, kiedy wyjmował zapalniczki. „Hej, panie!” — Wołam za nim. — „Upuścił pan coś!” Ale nie, Wyglądało na to, żeby usłyszał — widzę, że przyspiesza i znika za rogiem. Tak było, Bill?

— Tak było — przyznał Bili. — Czmychnął jak zając.

— Na Harrow Road już był i nie wyglądało na to, żebyśmy go dogonić, w każdym razie nie przy takim tempie, rozwiął. Było już za późno, a poza tym to był przecież tylko taki notesik — żaden portfel ani nic podobnego — może to wcale nie było ważne. „Dziwny gość” — mówię. — „W kapeluszu nasuniętym na oczy i cały pozapinany od stóp do głów, jak złodziej z obrazka” — powiadam do Billa, Czy nie tak było, Bill?

— Tak powiedziałaś — zgodził się Bill.

— Zabawne, że właśnie tak powiedziałem. Przecież nie dlatego, żebym cokolwiek wtedy pomyślał. Spiesz się do domu — to sobie pomyślałem i wcale nie miałem mu tego za złe. Było pioruńsko zimno.

— Jeszcze jak! — przyznał Bill.

— Więc mówię do Billa: „Rzućmy okiem na ten notesik. Zobaczmy, czy jest tu coś ważnego”. No i zerknąłem, sir. „Tylko dwa adresy” — mówię do Billa. — „Siedemdziesiąt cztery Culver Street i jeszcze nazwa jakiejś rezydencji”.

— Elegancka nazwa — parsknął Bill z dezaprobatą.

Joe kontynuował swoją opowieść, teraz już z werwą, jakby go nakręcono.

— „Siedemdziesiąt cztery Culver Street” — mówię do Billa — „to jest tuż za rogiem. Jak skończymy robotę, zaniemiemy to tam.” I naraz widzę, że coś zostało napisane na górze strony. „Co to jest?” — mówię do Billa, a on bierze i czyta: „Ślepe myszki trzy”. Gość musi być stuknięty” — powiada Bill i właśnie w tym momencie — tak, to było dokładnie w tym momencie, sir — słyszymy wrzask jakiejś kobiety: „Morderstwo!”, dwie ulice dalej.

Joe zrobił artystyczną pauzę.

— Wrzeszczała pioruńsko, no nie? — kontynuował. — „Ej, skocz tam” — mówię do Billa. Po chwili on wraca i mówi, że tam jest duży tłum i policja tam jest, i że jakiejś kobiecie podejrzięto gardło — a może ją uduszono, i że to gospodyni ją znalazła i wrzeszczała po policję. „Gdzie to było?” — mówię do niego. „Na Culver Street” — odpowiada. „Który numer?” — pytam, a on mówi, że dokładnie nie zauważył.

Bill chrząknął i zaszurał nogami z miną człowieka, który zdaje sobie sprawę, że się nie popisał.

— Więc powiadam: „Skoczmy tam i się upewnimy”. I kiedy znajdujemy ten numer siedemdziesiąt cztery, omawiamy sprawę. „Być może — mówi Bill — adres w notesie nie ma tym nic wspólnego”, a ja mówię, że może właśnie ma, no to w każdym razie, kiedy obgadaliśmy wszystko i usłyszeliśmy, że policja chce przesłuchać mężczyznę, który opuścił dom w tym czasie — więc decydujemy się przyjść tutaj i pytamy, czy możemy rozmawiać z inspektorem prowadzącym sprawę, no i jestem pewien — to znaczy mam nadzieję, że nie marnujemy wam czasu.

— Postąpiliście bardzo słusznie — po wiedział Parminter z aprobatą w głosie. — Czy macie notes ze sobą? Dziękuję. A teraz...

Jego pytania stały się szybkie i fachowe. Otrzymał informacje o czasie, miejscu i dacie zdarzenia. Jedyne, czego nie otrzymał, to opisu mężczyzny, który zgubił notes. Zamiast tego uzyskał taki sam opis, jaki dała mu już rozhisteryzowana gospodyni — opis kapelusza zsuniętego na oczy, szczelnie zapiętego palta, szalika owiniętego wokół twarzy, zachrypniętego głosu i rękawiczek na rękach.

Kiedy mężczyźni wyszli, inspektor dłuższą chwilę wpatrywał się w mały notes, leżący na jego biurku. Wkrótce trafi on do odpowiedniego wydziału, gdzie stwierdzą, czy odciski palców, jeśli jakieś były, mogą coś

wyjaśnić. Teraz uwagę inspektora przykuwały dwa adresy i linijka drobnego, ręcznego pisma na górze strony.

Odwrocił głowę do wchodzącego sierżanta Kane'a.

— Chodź tu, Kane. Spójrz na to.

Kane stanął za nim i przeczytał głośno:

— Ślepe myszki trzy! — Gwizdnął przeciągle. — Psiakość!

— Tak. — Parminter otworzył szufladę, wyjął z niej arkusik papieru i położył go obok notesu na biurku. — Tę kartkę papieru znaleziono starannie przypiętą do ciała zamordowanej kobiety. Było na niej napisane: To jest pierwsza, a poniżej widniał dziecinny rysunek trzech myszek i takt muzyki.

Kane zagwizdał cicho melodię: Ślepe myszki trzy, spójrz, jak biegną...

— Tak. To jest to. Ta melodia.

— Wariactwo, nieprawdaż, sir?

— Tak. — Parminter zmarszczył brwi. — Czy identyfikacja kobiety nie budzi wątpliwości?

— Nie, sir. Oto raport z wydziału daktyloskopii. Pani Lyon, za którą się podawała, w rzeczywistości nazywała się Maureen Gregg. Wypuszczono ją z Holloway dwa miesiące temu, gdzie odsiadywała wyrok.

— Udała się na Culver Street siedemdziesiąt cztery — powiedział Parminter w zamyśleniu — przedstawiając się jako Maureen Lyon. Od czasu do czasu popijała sobie, raz czy dwa przyprowadziła ze sobą mężczyznę do domu. Nie okazywała strachu przed niczym ani przed nikim. Nie ma powodu przypuszczać, by sądziła, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. Ten mężczyzna dzwoni do drzwi, pyta o nią i gospodyni mówi mu, aby wszedł na drugie piętro. Ona nie potrafi go nawet opisać. Twierdzi tylko, że był średniego wzrostu i wyglądał na bardzo przeziębionego, głos miał ochrypły. Wróciła do sutereny i nie słyszała nic podejrzanego. Nie słyszała, kiedy mężczyzna wychodził. Mniej więcej dziesięć minut później, kiedy zaniósła na górę herbatę, znalazła swą lokatorkę uduszoną. To nie było zwykle morderstwo, Kane. To zostało dokładnie zaplanowane — przerwał i dodał gwałtownie: — Zastanawiam się, ile domów w Anglii nosi nazwę Monkswell Manor?

— Być może jest tylko jeden taki dom, sir.

— To byłby nadmiar szczęścia. Ale bierzmy się do roboty. Nie ma czasu do stracenia.

Sierżant przypatrywał się z należytą uwagą dwóm adresom w notesie — 74 Culver Street; Monkswell Manor.

— Więc myśli pan... — powiedział.

— Tak — szybko odparł Parminter. — A pan?

— Być może. Monkswell Manor... Zaraz... Gdzie... Wie pan, «k, mógłbym przysiąc, że widziałem tę nazwę całkiem niedawno.

— Gdzie?

— Właśnie usiłuję sobie przypomnieć. Chwileczkę... Gazeta... Times. Ostatnia strona. Sekundę... Hotele i pensjonaty... Moment, sir... stary numer. Rozwiązywałem krzyżówkę.

Wybiegł z pokoju i powrócił z wyrazem triumfu na twarzy.

— Oto i ona, sir. Proszę spojrzeć.

Inspektor śledził wzrokiem wskazujący palec Kane'a. Monkswell Manor, Harpleden, Berks. Przynął sobie telefon. — Połączcie mnie z policją hrabstwa Berkshire.

Wraz z przyjazdem majora Metcalfa życie w Monkswell Manor zaczęło toczyć się według ustalonego porządku. Major Metcalf nie okazał się ani tak groźny jak pani Boyle, ani tak kapryśny jak Christopher Wren. Był to powściągliwy mężczyzna w średnim wieku o schludnej powierzchowności oficera, który wiele lat spędził w Indiach. Sprawiał wrażenie ego zarówno z pokoju, jak i umeblowania, i chociaż zrazu nie znaleźli z panią Boyle wspólnych przyjaciół, okazało się jednak, że znał kuzynów jej przyjaciół — „gałąź z Yorkshire” zamieszkałych w Poonah. Jego bagaż — jakby nie było dwie ciężkie walizy ze świńskiej skóry — zadowolił nawet podejrzliwą naturę Gilesa.

Prawdę mówiąc, Molly i Giles nie mieli zbyt dużo czasu na rozmyślanie o swoich gościach. Wspólnymi siłami sprawnie przygotowali kolację, podali, zjedli i pozmywali naczynia. Major Metcalf pochwalił kawę, tak więc Molly i Giles poszli spać zmęczeni, ale w radosnym nastroju.

Około drugiej nad ranem obudził ich uporczywy dźwięk dzwonka.

— Cholera — zaklął Giles. — To do frontowych drzwi. Co, u licha...

— Pospiesz się — powiedziała Molly. — Idź i zobacz. Posyłając jej pełne wyrzutu spojrzenie, Giles owinał się szlafrokiem i zszedł na dół. Molly usłyszała szcęk otwieranych zasuw i szmer głosów w holu. Wiedzona ciekawością wstała z łóżka i poszła podpatrzeć z góry, co się dzieje. Na dole w holu Giles pomagał brodatemu mężczyźnie zdjąć ośnieżone palto. Dobiegły ją strzępy rozmowy.

— Brrr. — Zabrzmiało to wyraźnie z cudzoziemska. — Mam tak zimne palce, że prawie ich nie czuję. A moje stopy... — Słysząc było przytupywanie.

— Proszę wejść tutaj. — Giles szybko otworzył drzwi do biblioteki. — Tu jest ciepło. Proszę tu zaczekać, a ja przygotuję pokój.

— Doprawdy, szczęściarz ze mnie — powiedział uprzejmie nieznajomy.

Molly przypatrywała się badawczo przez słupki balustrady. Zobaczyła starszego mężczyznę z małą, czarną bródką i brwiami Mefistofelesa, który poruszał się młodzieńczo, żwawym krokiem, pomimo siwizny na skroniach.

Giles zamknął za nim drzwi do biblioteki i wszedł szybko po schodach. Molly podniosła się ze skulonej pozycji.

— Kto to jest? — zapytała.

— Następny gość do pensjonatu. — Giles uśmiechnął się, — Samochód wywrócił mu się w zaspie. Wydostał się z niego i brnął drogą — wciąż szaleje zamieć, posłuchaj tylko — aż ujrzał naszą tablicę. Powiedział, że to było jak odpowiedź na modlitwę.

— Sądziś, że on jest... w porządku?

— Kochanie, w taką noc złodzieje nie kursują.

— Jest cudzoziemcem, prawda?

— Tak. Nazywa się Paravicini. Widziałem jego portfel — zapewne pokazał go celowo — cały wypchany banknotami. Który pokój mu damy?

— Zielony. Jest posprzątany i gotowy. Trzeba tylko pościć łóżko.

— Przypuszczam, że będę musiał pożyczyć mu piżamę. Wszystkie jego rzeczy zostały w samochodzie. Powiedział, że musiał wydostać się przez okno.

Molly przyniosła prześcieradła, poszewki i ręczniki. Kiedy pospiesznie przygotowywali łóżko, Giles odezwał się:

— Śnieg pada gęsto. Będziemy zasypani, Molly, całkowicie odcięci. W pewnym sensie podniecające, nieprawdaz?

— Nie wiem — odparła Molly z powątpiewaniem. — Myślisz, że potrafię upiec chleb na sodzie, Giles?

— Oczywiście, że potrafisz. Potrafisz zrobić wszystko — powiedział jej lojalny mąż.

— Nigdy nie próbowałam piec chleba. To taka rzecz, która zawsze po prostu jest. Może być świeży albo czerstwy, ale jest to coś, co przynosi piekarz. Ale kiedy zostaniemy zasypani, nie będzie piekarza.

— Ani rzeźnika, ani poczty, ani gazet. A także prawdopodobnie telefonu.

— Tylko radio przekazujące nam co robić?

— Dobrze, że przynajmniej możemy wytworzyć własny prąd.

— Musisz jutro znów uruchomić generator. I trzeba dobrze napalić w centralnym.

— Chyba następny transport koksu nie przybędzie, a nasz zapas się kończy.

— Niech to licha porwie! Giles, czuję, że czekają nas ciężkie czasy. Pospiesz się z tym Para... jak mu tam — wracani do łóżka.

Ranek potwierdził złe przeczucia Gilesa. Śnieg napadał na wysokość pięciu stóp, zasypując drzwi i okna. I nadal padało. Świat był biały, cichy i — w jakiś ledwie uchwytny sposób — groźny.

Pani Boyle usiadła do śniadania. Była sama w jadalni. Przy sąsiednim stoliku nakrycie majora Metcalfa zostało już sprząnięte. Stół pana Wrena wciąż był nakryty do śniadania. Jeden — poranny ptaszek, prawdopodobnie, a drugi śpioch. Pani Boyle ze swej strony wiedziała doskonale, że na śniadanie była tylko jedna właściwa pora — godzina dziewiąta.

Pani Boyle zjadła swój wyśmienity omlet i chrupała teraz grzanekę mocnymi, białymi zębami. Czowała się rozżalona i niezdecydowana. Monkswell Manor nie był dokładnie tym, czego oczekiwała. Liczyła na grę w brydża i towarzystwo przywiedłych, starych panien, którym mogłaby zaimponować własną pozycją społeczną i koneksjami oraz napomknąć o doniosłości i poufności swojej wojskowej służby.

Koniec wojny sprawił, że pani Boyle poczuła się odizolowana, jakby pozostawiona na bezludnym brzegu. Zawsze była kobietą zajętą, potoczyście rozprawiającą o sprawności działania i organizacji. Jej zapał i energia powstrzymywały ludzi od zastanawiania się, czy rzeczywiście była ona tak skuteczną i dobrą organizatorką. Wojenna działalność odpowiadała jej w całej rozciągłości. Komenderowała ludźmi, terroryzowała ich, napastowała szefów departamentów, ale — co trzeba jej przyznać — również siebie nigdy nie oszczędzała. Pomocnice biegały w tę i z powrotem, przestraszone nawet lekkim zmarszczeniem brwi. Teraz całe to ruchliwe i podniecające życie skończyło się. Musiała wrócić do dawnego, a przecież jej przedwojenne, prywatne życie nie istniało. Jej dom, w czasie wojny zabrany na użytek armii, wymagał poważnych napraw i odświeżenia, zanim mogłaby do niego wrócić, a trudności w zdobyciu pomocy domowej sprawiały, że powrót ten wydawał się w ogóle niemożliwy. Przyjaciele pani Boyle w większości rozjechali się, i rozproszyli. Niewątpliwie w niedługim czasie znajdzie sobie miejsce na ziemi, ale w tej chwili musiała jakoś zabić czas. Hotel albo pensjonat wydawał się najlepszym rozwiązaniem. Zdecydowała się przyjechać do Monkswell Manor.

Rozejrzała się dookoła z wyraźną urazą.

„Postąpili w najwyższym stopniu nieuczciwie — powiedziała do siebie — nie powiadamiając mnie, że dopiero zaczynają”.

Fakt, że śniadanie było doskonale przyrządzone i podane, z dobrą kawą i marmoladą, w dziwny sposób pogłębił jej urazę. Pozbawiło ją to uzasadnionej przyczyny wniesienia skargi. Łóżko również miała wygodne, z haftowaną pościelą i miękką poduszką. Pani Boyle lubiła komfort, ale także lubiła wynajdywać wady. To drugie prawdopodobnie sprawiło jej większą przyjemność niż pierwsze.

Podniósłszy się majestatycznie, pani Boyle opuściła jadalnię, mijając w drzwiach tego bardzo niezwykłego, młodego człowieka o rudawych włosach. Zwróciła uwagę na jego krawat w jadownicę zieloną kratkę.

„Cudaczny — powiedziała do siebie pani Boyle. — Zupełnie niedorzeczny”.

Sposób, w jaki na nią zerknął swoimi wyblakłymi oczami, nie spodobał się jej również. W tym lekko szyderczym spojrzeniu było coś irytującego, niepokojącego.

„Niezrównoważony umysłowo, nie powinnam się dziwić” — powiedziała do siebie pani Boyle.

Odpowiedziała na jego afektowany ukłon lekkim skinieniem głowy, po czym pomaszerowała do dużego salonu. Stały tutaj wygodne fotele, a szczególnie okazałe prezentował się jeden — duży, obity na różowo. Lepiej, jeśli postawi od razu sprawę jasno — to będzie jej fotel. Na wszelki wypadek położyła na nim ręczną robótkę, następnie podeszła do kaloryfera i dotknęła go ręką. Tak jak podejrzewała, był zaledwie ciepły — a nie gorący. W oczach pani Boyle pojawiły się wojownicze błyski. Będzie miała coś do powiedzenia na ten temat

Wyjrzała przez okno. Okropna pogoda, całkiem okropna. Cóż, nie zostanie tutaj długo, chyba że przyjedzie więcej osób i miejsce stanie się bardziej zajmujące.

Trochę śniegu osunęło się z dachu i pacnęło o ziemię. Pani Boyle podskoczyła.

— Nie — powiedziała na głos. — Nie zostanę tu długo.

Ktoś roześmiał się cichym, piskliwym chichotem. Raptownie odwróciła głowę. W drzwiach stał młody Wren i przyglądał się jej w swój osobliwy sposób.

— Przypuszczam — powiedział — że pani zostanie.

Major Metcalf pomagał Gilesowi odśnieżyć tylne drzwi. Okazał się użytecznym pomocnikiem i Giles nie omieszkał głośno wyrazić swej wdzięczności.

— Dobra gimnastyka — powiedział major Metcalf. — Muszę gimnastykować się codziennie. Trzeba zachować dobrą formę, rozumie pan.

Tak więc major okazał się fanatykiem gimnastyki, czego Giles się zresztą obawiał. Pociągało to za sobą konieczność podawania majorowi śniadania o wpół do ósmej.

— Bardzo miło ze strony pańskiej żony — powiedział major, jakby czytając w myślach Gilesa — że przygotowała mi wczesne śniadanie. Miło mi było również dostać świeżutkie jajko.

Giles wstał przed siódmą, co było konieczne w związku z prowadzeniem hotelu. Razem z Molly ugotowali jajka, zaparzyli herbatę i wysprząkali bawialnię. Wszystko wyglądało jak spod igły. Giles nie mógł jednak przestać myśleć, że jeśli sam byłby gościem swego pensjonatu, to w taki poranek jak dziś nic nie byłoby w stanie wypędzić go z łóżka aż do ostatniej możliwej chwili.

Major jednak wstał, zjadł śniadanie i wędrował po domu, w widoczny sposób szukając ujścia dla rozpirającej go energii.



„To dobrze — pomyślał Giles. — Jest jeszcze mnóstwo śniegu do odgarnięcia”.

Kątem oka zerknął na swego towarzysza. Doprawdy, niełatwy człowiek do rozgryzienia. Twardy, więcej niż w średnim wieku, coś dziwnie czujnego w oczach. Człowiek, który niczego nie daruje. Giles zastanawiał się, dlaczego major przyjechał do Monkswell Manor. Zdemobilizowany — prawdopodobnie — i bez pracy, do której mógłby pójść.

Pan Paravicini pojawił się na dole późno. Wypił kawę i zjadł grzanekę— skromne, kontynentalne śniadanie.

Molly zmieszała się nieco, gdy przywitał ją, niosącą mu śniadanie, wstając, kłaniając się jej w przesadny sposób i wykrzykując:

— Moja urocza gospodyni? Mam rację, czy też nie? — Molly przyznała krótko, że miał rację. O tej porze nie miała nastroju do słuchania komplementów.

— I dlaczego — powiedziała, wstawiając naczynia do zlewu — każdy je śniadanie o innej porze... To trochę kłopotliwe.

Postawiła talerze na suszarce i popędziła na górę słać łóżka. Tego poranka nie mogła spodziewać się pomocy ze strony Gilesa. Musiał oczyścić drogę do kotłowni i kurnika.

Posłała błyskawicznie łóżka w sposób, który powszechnie uważa się za pobieżny — jedynie wygładzając prześcieradła i naciągając pościel. Sprzątała łazienki, kiedy zadzwonił telefon. Zakłęta pod nosem niezadowolona, że jej przeszkodzono, lecz gdy zbiegała na dół, aby podnieść słuchawkę, poczuła lekką ulgę, że telefon ciągle działał. Zdyszana dotarła do biblioteki.

— Tak?

Na drugim końcu linii odezwał się serdeczny głos o lekkim, lecz przyjemnym, prowincjonalnym akcencie.

— Czy to Monkswell Manor?

— Pensjonat Monkswell Manor — opowiedziała Molly.

— Czy mogę rozmawiać z porucznikiem Davisem?

— Przykro mi, ale nie może teraz podejść do telefonu. Tu Molly Davis. Kto mówi?

— Nadinspektor Hogben z policji w Berkshire.

Molly wzięła głęboki oddech.

— Ach, tak... Słucham — powiedziała.

— Pani Davis, wynikła dość pilna sprawa. Nie chcę mówić zbyt wiele przez telefon, ale wysłałem do was detektywa — sierżanta Trottera. Powinien pojawić się tam łąda chwila.

— Ależ nikt się tutaj nie przedostanie. Jesteśmy zasypani, całkowicie zasypani. Drogi są nieprzejezdne.

— Trotter z pewnością do was dotrze — powiedział Hogben bez cienia wątpliwości w głosie. — I proszę uczulić męża, aby wysłuchał sierżanta bardzo uważnie i działał zgodnie z jego instrukcjami. To wszystko.

— Ale nadinspektorze Hogben, co...?

W odpowiedzi usłyszała jedynie trzask. Hogben oczywiście powiedział wszystko, co miał do powiedzenia i odłożył słuchawkę. Molly nacisnęła widełki aparatu raz i drugi, po czym dała spokój. Odwróciła się, gdy ktoś otworzył drzwi.

— Och, Giles, kochanie! Dobrze, że jesteś.

Giles miał śnieg we włosach i sporą ilość sadzy na twarzy. Wyglądał na zziąjanego.

— Co się stało, kochanie? Napełniłem wiadra węglem i przyniosłem drewno. Zaraz oporządzą kury, a potem zajrzą do bojlera. Wszystko w porządku? Co się stało, Molly? Wyglądasz na wystraszoną.

— Giles, to była policja.

— Policja? — W głosie Gilesa brzmiało niedowierzenie.

— Tak. Wysyłają tutaj inspektora czy sierżanta — kogoś w tym rodzaju.

— Ale po co? Co zrobiliśmy?

— Nie wiem. Jak myślisz, może chodzi o te dwa funty masła, które dostaliśmy z Irlandii?

Giles zmarszczył brwi.

— Nie zapomniałem chyba opłacić licencji za radio, prawda?

— Nie, jest w biurku. Giles, stara pani Bidlock dała mi pięć kartek w zamian za mój stary tweedowy płaszcz. Pewnie to nie w porządku, ale moim zdaniem zamiana jest zupełnie uczciwa. Mój Boże, skoro oddałam płaszcz, czemu nie miałabym dostać w zamian kartek. Och, cóż jeszcze takiego zrobiliśmy?

— Miałem drobną stłuczkę pewnego dnia. Ale na pewno to była wina tamtego kierowcy. Na pewno.

— Musieliśmy coś zrobić — jęknęła Molly.

— Problem polega na tym, że wszystko, co teraz się robi, jest nielegalne — stwierdził ponuro Giles. — Dlatego ma się ciągle poczucie winy. Przypuszczam, że ta sprawa ma coś wspólnego z prowadzeniem pensjonatu. Taką działalność regulują zapewne niezliczone przepisy, o których nie mamy zielonego pojęcia.

— Sądziłam, że w grę może wchodzić jedynie pijaństwo. Nie daliśmy nikomu żadnego alkoholu. Dlaczego więc nie moglibyśmy prowadzić własnego domu tak, jak chcemy?

— Tak. To brzmi słusznie. Ale, jak mówię, w dzisiejszych czasach wszystko jest mniej lub bardziej zabronione.

— O Boże — westchnęła Molly. — Żałuję, żeśmy w ogóle zaczęli. Będziemy zasypani przez wiele dni i każdy będzie niezadowolony i zjedzą nam wszystkie zapasy konserw...

— Rozchmurz się, kochanie — powiedział Giles. — Przechodzimy teraz zły okres, ale jeszcze będzie dobrze. — Pocałował ją w czubek głowy, po czym dodał zmienionym głosem:

— Wiesz, Molly, jeśli się dobrze zastanowić, chyba musi to być coś naprawdę poważnego, skoro każą sierżantowi policji brnąć tutaj w taką pogodę. — Zrobił ruch ręką w kierunku śniegu za oknem. — To musi być coś naprawdę pilnego...

Patrzyli na siebie w milczeniu, kiedy otworzyły się drzwi i weszła pani Boyle.

— Ach, jest pan tutaj, panie Davis — odezwała się pani Boyle. — Czy pan wie, że kaloryfery w salonie są praktycznie zimne jak lód?

— Przykro mi, pani Boyle. Mamy mało koks i... Pani Boyle przerwała mu bezlitośnie:

— Płacę siedem gwinei za tydzień — siedem gwinei. I nie zamierzam tutaj zamarznąć.

Giles poczerwieniał.

— Pójdę i napalę — stwierdził krótko.

Wyszedł z pokoju, pani Boyle zwróciła się do Molly:

— Pozwoli pani sobie powiedzieć, panie Davis, że gości tu pani bardzo dziwnego, młodego człowieka. Jego maniery — i jego krawaty... I czy on nigdy się nie czesze?

— To znakomity młody architekt — powiedziała Molly.

— Słucham panią?

— Christopher Wren jest architektem i...

— Moja droga, młoda pani — powiedziała zgryźliwie pani Boyle — słyszałam oczywiście o sir Christopherze Wrenie.

Doskonale wiem, że był architektem. Zbudował katedrę Św. Pawła. Wam, młodym, wydaje się, że edukację zapoczątkował dopiero Akt Edukacyjny.

— Miałam na myśli tego Wrena. Ma na imię Christopher. Rodzice tak go ochrzczili, ponieważ mieli nadzieję, że zostanie architektem. I został nim, lub prawie, tak więc dobrze się złożyło.

— Hmm — parsknęła pani Boyle. — Moim zdaniem ta historyjka brzmi podejrzanie. Na pani miejscu zasięgnęłabym o nim informacji. Co pani o nim właściwie wie?

— Tyle samo co o pani, pani Boyle, to znaczy, że oboje płaciecie nam siedem gwinei za tydzień. To właściwie wszystko, co potrzebuję wiedzieć, prawda? I tylko to mnie obchodzi. Nie ma znaczenia, czy lubię swoich gości, czy — Molly spojrzała bardzo stanowczo na panią Boyle — czy też nie.

Pani Boyle poczerwieniała z gniewu.

— Jest pani młoda i niedoświadczona, więc powinna pani przyjąć dobrą radę od kogoś mądrzejszego od siebie. A kimże jest ten dziwaczny cudzoziemiec? Kiedy on przyjechał?

— W środku nocy.

— Rzeczywiście. Przedziwne. To niezbyt odpowiednia pora.

— Odprawianie z kwitkiem uczciwych podróżnych byłoby wbrew prawu, pani Boyle. — I Molly dodała słodko: — Być może pani nie zdaje sobie z tego sprawy.

— Mogę jedynie powiedzieć, że ten Paravicini, czy jak on tam się nazywa, wydaje mi się...

— Uwaga, uwaga, droga pani. O wilku mowa, a...

Pani Boyle drgnęła gwałtownie, jakby zobaczyła diabła. Tymczasem Paravicini, który zakradł się do pokoju tak cicho, że żadna z kobiet go nie zauważyła, śmiał się i zacierał ręce ze starczą, sataniczną wesołością.

— Przestraszył mnie pan — powiedziała pani Boyle.

— Poruszam się na paluszkach — odezwał się pan Paravicini — tak więc nikt nigdy nie słyszy, jak wchodzę i wychodzę. Uważam to za bardzo zabawne. Czasami uda mi się coś podsłuchać. To również mnie bawi. — I dodał ciszej: — Nie zapominam tego, co słyszę.

— Doprawdy? — odparła pani Boyle słabym głosem. — Muszę pójść po swoją robótkę. Zostawiłam ją w salonie.

Pospiesznie opuściła pokój, zostawiając Molly wpatrzoną w Paraviciniego z wyrazem zakłopotania na twarzy.

— Moja urocza gospodyni wygląda na zmartwioną. — Podeszedł do niej podrygując i nim mogła zaprotestować, ujął jej dłoń i pocałował. — Co się stało, droga pani?

Molly cofnęła się o krok. Nie miała pewności, czy naprawdę lubi pana Paraviciniego. Spoglądał na nią pożądliwie jak stary satyr.

— Wszystko jest dość trudne dzisiejszego poranka — powiedziała miękko. — Z powodu śniegu.

— Tak. — Pan Paravicini odwrócił głowę, aby spojrzeć przez okno. — Śnieg wszystko bardzo utrudnia, nieprawdaż? Albo też bardzo ułatwia.

— Nie wiem, co pan przez to rozumie.

— Tak — powiedział w zamyśleniu. — Jest jeszcze wiele rzeczy, których pani nie wie. Po pierwsze, jak sadzę, nie wie pani zbyt wiele o prowadzeniu pensjonatu.

— Zapewne nie wiemy. — Molly uniosła wojowniczo podbródek. — Ale zamierzamy odnieść sukces.

— Brawo, brawo!

— Ostatecznie — głos Molly zdradzał lekką obawę — nie jestem taką złą kucharką...

— Jest pani, bez wątpienia, zachwycającą kucharką — powiedział pan Paravicini.

„Jakież utrapienie z tymi cudzoziemcami” — pomyślała Molly. Być może Paravicini odgadł jej myśli, ponieważ nagle zmienił swoje zachowanie. Zaczął mówić cicho i całkiem poważnie.

— Czy mogę udzielić pani kilku słów ostrzeżenia, pani Davis? Oboje z mężem nie możecie być zbyt łatwo wierni, rozumie pani. Czy zebrała pani wiarygodne informacje o swoich gościach?

— Czy to się praktykuje? — Molly wyglądała na zakłopotaną. — Myślałam, że ludzie po prostu... po prostu przyjeżdżają.

— Zawsze dobrze jest wiedzieć co nieco o ludziach, których przyjmuje się pod swój dach. — Przybierając groźną minę, pochylił się do przodu i poklepał ją po ramieniu. — Weźmy na przykład mnie. Przybywam w środku nocy. Twierdzę, że samochód wywrócił mi się w zaspie. Co pani właściwie o mnie wie? Absolutnie nic. I prawdopodobnie nie wie pani również nic o pozostałych gościach.

— Pani Boyle — zaczęła Molly, lecz urwała, gdy ta we własnej osobie, trzymając w ręku robótkę, ponownie wkroczyła do pokoju.

— W salonie jest za zimno. Posiedzę tutaj. — Zbliżyła się do kominka.

Paravicini wykonał przed nią błyskawiczny piruet.

— Pozwoli pani, że rozniecę dla niej ogień.

Molly była zdumiona, podobnie jak poprzedniej nocy, młodzieńczą żwawością jego kroku. Zauważyła, że zawsze starał się ustawić tyłem do światła, i teraz, gdy ukląkł grzebiąc w kominku, odkryła tego przyczynę. Twarz Paraviciniego bez wątpienia nosiła ślady zręcznego makijażu.

Czyżby stary dureń usiłował wyglądać na młodszego niż był? W każdym razie nie osiągnął zamierzonego celu. Wyglądał nie tylko na swój wiek, ale nawet starzej. Jedyne młodzieńczy sposób poruszania się nie pasował do reszty. Niewykluczone, że i to miał starannie wystudiowane.

Nagle wejście majora Metcalfa przerwało jej rozmyślenia i wróciła do przykrej rzeczywistości.

— Pani Davis, obawiam się, że rury w... — ściszył skromnie głos — w ubikacji na dole zamarzły.

— O Boże! — jęknęła Molly. — Co za straszny dzień. Najpierw policja, a teraz rury.

Pogrzebacz wysunął się Paraviciniemu z rąk i z brzękiem upadł na palenisko. Pani Boyle przerwała dzierganie. Molly zaintrygowała nagła zmiana w majorze Metcalfie. Zastygł nieruchomo, a jego twarz przybrała trudny do opisu wyraz. Nie mogła go w żaden sposób rozszyfrować. Twarz majora wyglądała jak pozbawiona wszelkich uczuć drewniana maska.

Powiedział krótko, akcentując sylaby:

— Powiedziała pani: policja?

Molly zdawała sobie sprawę, że wstrząsały majorem jakieś silne emocje, które usiłował pokryć sztywnym zachowaniem. To mógł być strach lub czujność, albo podniecenie, ale coś było. „Ten człowiek — powiedziała do siebie — może być niebezpieczny”.

— O co chodzi z tą policją? — odezwał się znowu, tym razem już z umiarkowanym zainteresowaniem.

— Dzwonili — odparła Molly. — Właśnie teraz. Powiedzieli, że wysyłają tutaj sierżanta. — Spojrzała w stronę okna. — Sądzę jednak, że nie uda mu się tu przedostać — dodała z nadzieją w głosie.

— Dlaczego wysyłają tu policjanta? — Zrobił krok w jej stronę, ale nim zdołała coś odpowiedzieć, drzwi otworzyły się i wszedł Giles.

— W tym przeklętym koksie jest więcej niż połowa kamieni — rzucił gniewnie i dodał ostro: — Coś się stało?

— Słyszę, że przybywa tu policja — zwrócił się do niego major! — W jakim celu?

— Och, wszystko w porządku — załagodził Giles. — Nikt się przez to nie przedrze. Patrzcie, zaspę sięgają pięciu stóp. Droga jest zasypana. Nikt się tu dzisiaj nie dostanie.

I właśnie w tym momencie dały się słyszeć trzy wyraźne stuknięcia w okno.

Wszystkich ogarnął strach. Przez chwilę nie potrafili zlokalizować dźwięku. Zabrział wymownie i groźnie niczym przestroga. Nagle Molly krzyknęła i wskazała balkonowe okno. Stojący za nim mężczyzna stuknął w szybę, a narty, które miał na nogach, wyjaśniały tajemnicę jego przybycia.

Giles przeszedł przez pokój, przez chwilę mocował się niezdarnie z zamkiem, wreszcie otworzył drzwi.

— Dziękuję, sir — powiedział nowo przybyły. Miał nieco pospolity, wesoły głos i mocno opalona twarz. — Detektyw-sierżant Trotter — przedstawił się.

Pani Boyle spojrzała na niego nieprzychylnie sponad swej robótki.

— Nie może pan być sierżantem — oświadczyła z dezaprobatą. — Jest pan na to za młody.

Mężczyznę, który rzeczywiście był bardzo młody, widać dotknęła ta krytyka, gdyż odparł lekko urażonym tonem:

— Nie jestem taki młody, na jakiego wyglądam, proszę pani. — Powiódł wzrokiem po zebranych i zatrzymał się na Gilesie. — Pan jest panem Davisem? Mogę odpiąć narty i gdzieś je odstawić?

— Oczywiście, proszę pójść za mną.

Gdy drzwi na korytarz zamknęły się za nimi, pani Boyle stwierdziła cierpko:

— Jak widać, w dzisiejszych czasach płacimy naszej policji za to, żeby umiała sobie czas uprawianiem sportów zimowych.

Paravicini zbliżył się do Molly. Słysząc było niemal syk w jego głosie, gdy cicho zapytał:

— Dlaczego wezwała pani policję, pani Davis?

Molly cofnęła się uderzona zajadłą złością w jego spojrzeniu. To był nowy Paravicini. Przez chwilę czuła, że się go boi.

— Ależ nie zrobiłam tego, nie zrobiłam — powiedziała bezradnie.

W tym momencie wkroczył do pokoju podniecony Christopher Wren i zaczął mówić od progu wysokim, scenicznym szeptem.

— Kim jest ten mężczyzna w hallu? Skąd się tu wziął? Taki strasznie rzeński po całej tej śnieżnej przeprawie.

Głos pani Boyle zagłuszył stukot jej drutów.

— Może pan wierzyć lub nie, ale ten człowiek jest policjantem. Policjant jeżdżący na nartach!

„Do czego to doszło w tych niższych warstwach!” — zdawała się mówić.

— Przepraszam, pani Davis, czy mogę skorzystać z telefonu? — zapytał cicho major Metcalf.

— Oczywiście, majorze.

Podszedł do aparatu, a Christopher Wren kontynuował piskliwym głosem:

— On jest niezwykle przystojny, nie uważacie? Sądzę, że policjanci zawsze są strasznie atrakcyjni.

— Halo, halo... — Major Metcalf zirytowany naciskał widelki. Zwrócił się do Molly: — Pani Davis, ten telefon jest głuchy, kompletnie głuchy.

— Przed chwilą działał. Ja...

Urwała. Christopher Wren śmiał się piskliwym, źli wy m, niemal histerycznym śmiechem.

— A więc jesteśmy teraz całkiem odcięci. Zupełnie odcięci. To zabawne, nieprawdaż?

— Nie widzę powodu do śmiechu — powiedział sztywno major Metcalf.

— To prawda — poparła go pani Boyle.

Christopher nadal zwiijał się ze śmiechu.

— To taki mój mały, prywatny żarcik — powiedział. — Szsz — położył palec na ustach. — Nadchodzi detektyw.

Wszedł Giles z sierżantem Trotterem, który zdążył już odstawić narty i otrzepać się ze śniegu, i teraz trzymał w ręce duży notes i ołówek. Wniósł ze sobą atmosferę rzeczowej, prawniczej procedury.

— Molly — powiedział Giles — sierżant Trotter chce z nami rozmawiać na osobności.

Molly wyszła za nimi z pokoju.

— Przejdźmy do gabinetu — zaproponował Giles. Weszli do małego pokoju na końcu korytarza, górnolotnie nazywanego gabinetem. Sierżant Trotter starannie zamknął za sobą drzwi.

— Co takiego zrobiliśmy, sierżancie? — zapytała żałośnie Molly.

— Zrobiliście? — Sierżant Trotter popatrzył na nią uważnie, a następnie roześmiał się głośno. — Och, nic z tych rzeczy, proszę pani. Przykro mi, jeśli zaszło tu jakieś nieporozumienie. Chodzi o coś zupełnie innego, pani Davis. To raczej sprawa ochrony policyjnej, jeśli mnie państwo dobrze rozumieją.

Nic nie rozumiejąc, wpatrywali się w niego pytającymi wzrokiem.

— Sprawa wiąże się ze śmiercią pani Lyon, pani Maureer Lyon, którą zamordowano w Londynie dwa dni temu — kontynuował gładko sierżant Trotter. — Mogliście państwo o tym przeczytać.

— Tak — potwierdziła Molly.

— Po pierwsze chciałbym wiedzieć, czy znali państwo panią Lyon?

— Nigdy o niej nie słyszeliśmy — powiedział Giles, a Molly przytaknęła mu cicho.

— Tak przypuszczaliśmy. Ale rzecz w tym, że Lyon nie było prawdziwym nazwiskiem zamordowanej kobiety. Ponieważ była notowana na policji, posiadaliśmy jej odciski palców i mogliśmy bez trudu ją zidentyfikować. Jej prawdziwe nazwisko brzmiało Gregg, Maureen Gregg. John Gregg — jej zmarły mąż — był farmerem i mieszkał na farmie Longridge niedaleko stąd. Mogliście słyszeć o sprawie farmy Longridge

W pokoju zapadło milczenie. Tylko jeden dźwięk zmałpiał ciszę — niespodziewane pacnięcie, gdy śnieg osunął się z dachu i upadł miękko na ziemię — tajemniczy, jakby złowieszczy odgłos.

— Troje ewakuowanych dzieci — kontynuował Trotter — zostało zakwaterowanych u Greggów na farmie Longridge w 1940 roku. Jedno z tych dzieci zmarło później w wyniku kryminalnego zaniedbania i złego traktowania. Sprawa nabrała rozgłosu i małżonkowie Gregg zostali skazani na więzienie. Gregg uciekł w drodze do więzienia, ukradł samochód i miał wypadek podczas próby ucieczki przed policją. Zginął na miejscu. Pani Gregg odsiedziała swój wyrok i została zwolniona dwa miesiące temu.

— I teraz została zamordowana — dokończył Giles. — Jak sądzą w policji, kto to zrobił?

Sierżant Trotter nie dał się jednak ponaglać.

— Pamięta pan tę sprawę, sir? — zapytał.

Giles potrząsnął przecząco głową.

— W 1940 byłem młodym oficerem marynarki i służyłem na Morzu Śródziemnym.

— Ja... rzeczywiście coś o tym słyszałam — powiedziała Molly przejętym głosem. — Ale dlaczego pan zwraca się do pas? Co my mamy z tym wspólnego?

— Chodzi o to, pani Davis, że znajdujecie się w niebezpieczeństwie.

— W niebezpieczeństwie? — powtórzył Giles z niedowierzaniem.

— Na to wygląda, sir. Znalaziono notes w pobliżu miejsca zbrodni. Były w nim zapisane dwa adresy. Pierwszy to siedemdziesiąt cztery Culver Street.

— To tam, gdzie zamordowano tę kobietę? — wtrąciła Molly.

— Tak, pani Davis. Drugim adresem był Monkswell Manor.

— Co? — Głos Molly zabrzmiał niedowierzająco. — Ależ to niezwykle.

— Tak. Właśnie dlatego nadinspektor Hogben uznał za konieczne sprawdzić, czy wiedzą państwo o jakimkolwiek związku między wami, tym domem i sprawą farmy Longridge...

— Nie wiemy nic, absolutnie nic — powiedział Giles. — To jakiś zbieg okoliczności.

— Nadinspektor Hogben nie uważa tego za zbieg okoliczności — powiedział łagodnie sierżant Trotter. — Przybyłby tu sam, jeśli byłoby to możliwe. Zważywszy na pogodę oraz to, że jestem doskonałym narciarzem, wysłał mnie z poleceniem, abym zebrał wyczerpujące informacje o wszystkich mieszkańcach tego domu i przekazał mu je telefonicznie, i żebym podjął stosowne kroki dla zapewnienia wam bezpieczeństwa.

— Bezpieczeństwa? — odezwał się ostro Giles. — Wielki Boże, myśli pan, że ktoś zostanie tutaj zamordowany?

— Nie chciałbym zdenerwować pani — usprawiedliwił się Trotter — ale tak, tak właśnie sądzi nadinspektor Hogben.

— Ale jakąż mogłaby być przyczyna... — Giles urwał.

— Jestem właśnie po to, aby ją znaleźć — odparł Trotter.

— Cała ta sprawa jest zwariowana.

— I właśnie dlatego wydaje mi się niebezpieczna, sir.

— Jest jeszcze coś, o czym nam pan nie powiedział, prawda sierżancie? — zapytała Molly.

— Tak, proszę pani. W znalezionym notesie, na górze strony zostało napisane Ślepe myszki trzy. Do ciała zmarłej kobiety natomiast przypięto kartkę z napisem Ta jest pierwsza, a poniżej tej adnotacji widniał rysunek trzech myszek i muzyki. Melodia do dziecinnej rymowanki Ślepe myszki trzy.

Molly zanuciła cicho:

Ślepe myszki trzy,

Spójrz, jak one biegną.

Pobiegly wszystkie do farmera żony!

Ona...

Przerwała.

— To okropne — okropne. — Tam było troje dzieci, czy tak?

— Tak, pani Davis. Chłopiec piętnastoletni, dziewczynka czternastoletnia i chłopiec dwunastoletni, który zmarł.

— Co się stało z pozostałymi dziećmi?

— Dziewczynka została — jak przypuszczam — zaadoptowana. Nie mogliśmy jej odszukać. Chłopiec musi mieć teraz około dwudziestu trzech lat. Straciliśmy jego ślad. Mówiono o nim, że zawsze był trochę niezrównoważony. Zaciągnął się do wojska w wieku osiemnastu lat. Później zdezerterował. Od tego czasu słuch po nim zaginął. Wojskowy psychiatra twierdzi z pełnym przekonaniem, że chłopak jest nienormalny.

— Czy sądzi pan, że to właśnie on zabił panią Lyon? — zapytał Giles. — I że on jest zbrodniczym maniakiem, który może się tu pojawić z jakiejś niewiadomej przyczyny?

— Sądzimy, że musi istnieć związek pomiędzy kimś stąd i sprawą farmy Longridge. Wówczas, kiedy ustalimy, jaki to związek, będziemy przygotowani na niebezpieczeństwo. Oświadczam pan więc, że nie ma nic wspólnego z tą sprawą. To samo odnosi się do pani, pani Davis?

— Ja... Och, tak... Tak.

— Może zechcą państwo powiedzieć mi dokładnie, kto jeszcze znajduje się w domu?

Podali mu nazwiska. Pani Boyle. Major Metcalf. Pan Christopher Wren. Pan Paravicini. Sierżant zapisał je w notesie.

— Służba?

Nie mamy żadnej służby — powiedziała Molly. — To przypomina mi, że muszę pójść wstawić ziemniaki.

Kiedy Molly opuściła gabinet, Trotter zwrócił się do Gilesa:

— Co pan wie o tych ludziach, sir?

— Ja... My... — Giles zająknął się, a potem powiedział cicho: — Tak naprawdę to nic o nich nie wiemy, sierżancie Trotter. Pani Boyle napisała do nas z hotelu w Bournemouth. Major Metcalf z Leamington. Pan Wren z prywatnego hotelu w South Kensington. Pan Paravicini po prostu spadł z nieba albo raczej wyłonił się ze śniegu, jego samochód wywrócił się w zaspie niedaleko stąd. Przypuszczam, że posiadają oni dowody osobiste, książeczki żywnościowe czy coś w tym rodzaju.

— Sprawdzę to, oczywiście.

— W pewnym sensie mamy szczęście, że pogoda jest taka okropna — powiedział Giles. — Mordercy nie będzie łatwo zjawić się tutaj, nieprawdaż?

— Być może nie będzie musiał, panie Davis.

— Co pan przez to rozumie?

Sierżant Trotter zawahał się chwilę, a potem rzekł:

— Musimy brać po uwagę, sir, że być może on już tu jest.

Giles utkwiał wzrok w sierżancie.

— Co pan przez to rozumie?

— Pani Gregg została zabita dwa dni temu. Wszyscy pańscy goście przybyli tu po tym zdarzeniu, panie Davis.

— Tak, ale oni zapowiedzieli swój przyjazd wcześniej — jakiś czas przedtem — z wyjątkiem Paraviciniego.

Sierżant Trotter westchnął. Jego głos zdradzał zmęczenie

— Te zbrodnie zostały zaplanowane z góry.



— Zbrodnie? Ależ popełniono tylko jedną zbrodnię. Skąd pan wie, że będzie następna?

— Czy do niej dojdzie, nie wiem. Mam nadzieję, że uda się temu zapobiec. Ale że będzie próba — jestem pewny.

— Ale... jeśli pan ma rację — Giles mówił w podnieceniu — tylko jedna osoba wchodzi tu w grę. Tylko jedna osoba jest w odpowiednim wieku — Christopher Wren!

Sierżant Trotter odnalazł Molly w kuchni.

— Będę zadowolony, pani Davis, jeśli uda się pani ze mną do biblioteki. Pan Davis był tak uprzejmy i przygotował...

— Dobrze, niechże tylko uporam się z tymi ziemniakami. Czasami chciałabym, żeby Sir Walter Raleigh nigdy nie odkrył tych wszystkich, nieznośnych rzeczy.

Sierżant Trotter zachował milczenie, w którym nie czuło się aprobaty.

— Wprost nie mogę uwierzyć, rozumie pan... — zaczęła Molly przepraszająco. — To zbyt fantastyczne...

— To wcale nie jest fantastyczne, pani Davis. To są oczywiste fakty.

— Macie rysopis tego mężczyzny? — zapytała Molly.

— Średniego wzrostu, szczupłej budowy ciała, ubrany w ciemne palto i jasny kapelusz; mówił szeptem, jego twarz zakrywał szalik. Widzi pani — to mógłby być każdy. — Urwał i dodał po chwili: — Trzy ciemne paltta i jasne kapelusze wiszą u pani w holu, pani Davis.

— Nie sądzę, aby któryś z moich gości przyjechał z Londynu.

— Nie sądzi pani? — Sierżant Trotter podszedł szybko do kredensu i wziął leżącą tam gazetę. — Evening Standard z dziewiętnastego lutego. Sprzed dwóch dni. Ktoś przywiózł tę gazetę, pani Davis.

— Ależ to zadziwiające — Molly wpatrywała się w gazetę ze zdumieniem. Jakieś niejasne wspomnienie ożyło w jej pamięci — Skąd się wzięła ta gazeta?

Nie powinna pani brać wszystkiego, co ludzie mówią, za dobrą monetę, pani Davis. Tak naprawdę nic pani nie wie o tych ludziach, których przyjęła pani pod swój dach. — I dodał: — Przypuszczam, że dopiero zaczynacie prowadzić ten pensjonat?

— Tak — przyznała Molly i nagle poczuła się młoda, głupia i dziecinna.

— Prawdopodobnie również od niedawna jesteście małżeństwem?

— Tylko rok. — Zarumieniła się lekko. — To stało się dość nagle.

— Miłość od pierwszego wejrzenia — powiedział z sympatią sierżant Trotter.

Molly nie czuła się na siłach przywołać go do porządku.

— Tak — wyznała i dodała w przypiływie zaufania: — Zналиśmy się zaledwie dwa tygodnie.

Cofnęła się myślami do tych czternastu dni burzliwych zalotów. Nie było żadnych wątpliwości — wiedzieli o tym oboje. W udręczonym, zrujnowanym świecie odnaleźli siebie w cudowny sposób. Nieśmiały uśmiech zagościł na jej wargach.

Wróciła do rzeczywistości i spostrzegła, że sierżant Trotter przyglądał jej się pobłaźliwie.

— Pani mąż nie pochodzi z tych stron, prawda?

— Nie — powiedziała Molly niepewnie. — Pochodzi z Lincolnshire.

Niewiele wiedziała o dzieciństwie i wychowaniu Gilesa. Jego rodzice nie żyli, a on zawsze unikał rozmów na te tematy. Wyobrażała sobie, że miał nieszczęśliwe dzieciństwo.

— Obydwoje jesteście zbyt młodzi, jeśli wolno mi zauważyć, na prowadzenie tego typu działalności — odezwał się sierżant Trotter.

— Och, nie wiem. Mam dwadzieścia dwa lata i... Urwała, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Giles.

— Wszystko przygotowane. Przedstawiłem im sprawę w ogólnych zarysach — powiedział. — Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem, sierżancie?

— To oszczędzi czasu — odparł Trotter. — Jest pani gotowa, pani Davis?

Gdy sierżant Trotter wkroczył do biblioteki, cztery głosy odezwały się chórem.

Najwyższy i najbardziej przenikliwy należał do Christophera Wrena, który oświadczał, że to było doprawdy zbyt, zbyt wstrząsające, żeby mógł zasnąć dzisiejszej nocy, i że chciałby — bardzo prosi — poznać wszystkie potworne szczegóły.

Wtórował mu donośny bas pani Boyle.

— Całkowicie oburzające — zwykła nieudolność — policja nie powinna pozwalać mordercom włóczyć się po kraju.

Elokwencja pana Paraviciniego polegała głównie na gestykulacji rękami i było to bardziej wymowne niż słowa zagłuszane basem pani Boyle. Od czasu do czasu dał się słyszeć dobitny, skandujący głos majora Metcalfa. Major domagał się faktów.

Trotter odczekał chwilę, potem uniósł rozkazująco rękę i dość niespodziewanie zapadła cisza.

— Dziękuję — powiedział. — Pan Davis wyjaśnił państwu pobieżnie, dlaczego tu jestem. Chcę wiedzieć jedno i tylko jedno, i chcę to wiedzieć natychmiast. Kto z państwa ma coś wspólnego ze sprawą farmy Longridge?

Zapadło milczenie. Cztery pozbawione wyrazu twarze zwróciły się ku sierżantowi Trotterowi. Uczucia, które odzwierciedlały jeszcze kilka chwil wcześniej — podniecenie, oburzenie, histeria, ciekawość — zniknęły niczym ślady kredy starte gąbką.

Sierżant Trotter powtórzył z większym naciskiem:

— Proszę mnie dobrze zrozumieć. Mamy powody sądzić, że ktoś spośród państwa znajduje się w niebezpieczeństwie — śmiertelnym niebezpieczeństwie. Muszę wiedzieć, kto to jest?

Nikt się nie odezwał ani się nie poruszył.

— Więc dobrze. — W głosie Trottera pojawił się jakby gniew. — Będę pytał każdego po kolei. Pan Paravicini?

Słaby uśmiech przemknął przez twarz Paraviciniego. Podniósł ręce w wymownym dla cudzoziemców geście protestu.

— Ależ ja jestem obcy w tych stronach, inspektorze. Nie wiem nic, zupełnie nic o tutejszych sprawach sprzed lat.

Trotter nie tracił czasu. Rzucił ostro:

— Pani Boyle?

— Doprawdy, nie rozumiem, chcę powiedzieć, że nie rozumiem, dlaczego właśnie ja miałabym mieć coś wspólnego z tą żalną sprawą?

— Pan Wren?

— Byłem zaledwie dzieckiem w tym czasie — powiedział piskliwie Christopher. — Nie pamiętam nawet, żebym o tym słyszał.

— Major Metcalf?

— Czytałem o tym w prasie — powiedział major ostro. — Stacjonowałem wówczas w Edynburgu.

— Czy to wszystko, co mają państwo do powiedzenia, każdy z was?

Znów cisza.

Trotter westchnął z wyraźną irytacją.

— Jeśli ktoś z was zostanie zamordowany — stwierdził — sami będziecie sobie winni, — Odwrócił się gwałtownie i opuścił pokój.

— Mój Boże! — odezwał się Christopher. — Jakiż melodramatyczny! — I dodał: — On jest bardzo przystojny, nieprawdaż? Naprawdę podziwiam policję. Tacy surowi i twardzi. Wstrząsająca — cała ta sprawa. Ślepe myszki trzy. Jak to leci? — zagwizdał cicho melodię.

— Proszę przestać! — krzyknęła mimowolnie Molly.

Zakręcił się wokół niej i roześmiał.

— Ależ kochanie — powiedział — to mój muzyczny zwiastun. Nigdy dotąd nie wzięto mnie za mordercę i sprawia mi to kolosalną przyjemność.

— Teatralny wygląd — odezwała się pani Boyle. — Nie wierzę w ani jedno słowo.

W jasnych oczach Christophera zabłyśły figlarne ogniki.

— Proszę tylko poczekać, pani Boyle — ściszył głos — aż zaczną się za panią i poczuje pani moje ręce na swojej szyi.

Molly cofnęła się z drżeniem.

— Denerwuje pan moją żonę, Wren — powiedział Giles gniewnie. — To cholernie głupi żart.

— To nie jest temat do żartów — odezwał się major Metcalf.

— Och, ależ tak — odparł Christopher. — Przecież to właśnie jest żart szaleńca, co czyni całą sprawę tak cudownie makabryczną. — Powiódł po nich wzrokiem i roześmiał się znowu.

— Szkoda, że nie możecie zobaczyć swoich twarzy — dodał i szybko opuścił pokój.

Pierwsza oprzytomniała pani Boyle.

— Szczególnie źle wychowany i neurotyczny, młody człowiek — rzekła. — Zapewne uchyla się od służby wojskowej ze względów religijnych.

— Opowiadał mi, że był zasypany przez czterdzieści osiem godzin podczas nalotu lotniczego, zanim zdołano go odkopać — poinformował major Metcalf. — Przypuszczam, że to wiele wyjaśnia.

— Ludzie znajdują wiele usprawiedliwień, gdy nie potrafią panować nad swoimi nerwami — zauważyła kwaśno pani Boyle. — Jestem pewna, że przeszłam więcej niż ktokolwiek inny w czasie wojny, a moje nerwy są w porządku.

— Być może tylko w pani przypadku tak się szczęśliwie złożyło, pani Boyle.

— Jak pan to rozumie?

— Była pani urzędnikiem do spraw kwaterunku w tym okręgu w 1940 roku — powiedział spokojnie major Metcalf i spojrzał na Molly, która skinęła głową z poważną miną. — Czy mam rację, pani Boyle?

Rumieniec gniewu pojawił się na twarzy pani Boyle.

— I co z tego? — zapytała.

— To pani była odpowiedzialna za wysłanie trojga dzieci na farmę Longridge — odparł Metcalf poważnym tonem.

— Doprawdy, majorze Metcalf, nie rozumiem, jak mogę ponosić odpowiedzialność za to, co się stało. Gospodarze na farmie wydawali się bardzo mili i bardzo pragnęli mieć dzieci. Nie uważam, żeby można mnie było winić za cokolwiek albo żebym ponosiła odpowiedzialność... — Jej głos stopniowo zanikł.

— Dlaczego nie powiedziała pani tego sierżantowi Trotterowi? — zapytał ostro Giles.

— To nie jest sprawa policji — wtrącił cicho major Metcalf, po czym również opuścił pokój.

— Oczywiście, była pani urzędniczką do spraw kwaterunku — powiedziała Molly półgłosem. — Pamiętam.

— Molly, wiedziałaś? — Giles wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

— Oddała pani duży dom do wspólnego użytku, prawda?

— Został zarekwirowany — odparła pani Boyle — i kompletnie zrujnowany. Zdewastowany. To niegodziwe — dodała gorzko.

W tym momencie, bardzo cicho, Paravicini zaczął się śmiać. Odrzucił głowę do tyłu i śmiał się bez opamiętania.

— Musicie mi wybaczyć — wysapał, z trudem łapiąc oddech — ale naprawdę wszystko to wydaje mi się niezwykle zabawne. Bawię się — tak, bawię się świetnie.

W tejże chwili powrócił do pokoju sierżant Trotter. Obrzucił Paraviciniego spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

— Cieszę się — powiedział kwaśno — że wszystkich to tak bardzo bawi.

— Przepraszam, drogi inspektorze. Naprawdę przepraszam. Popsułem efekt pańskiego poważnego ostrzeżenia.

— Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby postawić sprawę jasno — odparł Trotter, wzruszając ramionami.

— Poza tym nie jestem inspektorem. Jestem tylko sierżantem. Chciałbym skorzystać z telefonu, pani Davis.

— Wyrażam skruchę — powiedział pan Paravicini — i wycofuję się.

Daleki od unізoności opuścił pokój swym żwawym, młodzieńczym krokiem, który już wcześniej zaintrygował Molly.

— Dziwny facet — skomentował Giles.

— Przystępczy typ — powiedział Trotter. — Nie można mu za grosz wierzyć.

— Och — westchnęła Molly. — Myśli pan, że on... Ależ on jest za stary... Chociaż czy on jest stary? Stosuje makijaż, bardzo widoczny i ma młodzieńczy krok. Być może, maluje się, aby wyglądać starzej. Sierżancie Trotter, czy sądzi pan...

— Niczego nie osiągniemy, czyniąc jałowe spekulacje, pani Davis — przerwał jej ostro sierżant Trotter. — Muszę powiadomić nadinspektora Hogbena. — Skierował się do telefonu.

— Nie może pan zadzwonić — oświadczyła Molly. — Telefon jest głuchy.

— Co? — Trotter obrócił się na pięcie. Jego alarmujący głos wywarł na wszystkich wrażenie. — Głuchy? Od kiedy?

— Major Metcalf próbował z niego skorzystać tuż przed pana przybyciem.

— Ale przecież wcześniej działał. Otrzymaliście wiadomość od nadinspektora Hogbena?

— Tak. Przypuszczam, że linia została zerwana przez śnieżycę.

Sierżant Trotter miał nadal poważną minę.

— Zastanawiam się — powiedział. — Mogła równie dobrze zostać przecięta.

— Tak pan sądzi? — Molly popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Zaraz się upewnię.

Wyszedł szybko z pokoju, a po chwili wahania pospieszył za nim Giles.

— Wielkie nieba! — wykrzyknęła Molly. — Już prawie czas na obiad. Muszę go wstawić, inaczej nie będzie nic do jedzenia.

Kiedy wybiegła z pokoju, pani Boyle mruknęła pod nosem:

— Nieudolne dziewczę! Co za miejsce! Nie będę płaciła siedmiu gwinei za coś podobnego.

Sierżant Trotter pochylony śledził bieg telefonicznego przewodu.

— Czy jest gdzieś drugie gniazdko? — spytał Gilesa.

— Tak, w naszej sypialni na górze. Mam iść i sprawdzić?

— Jeśli pan może.

Trotter otworzył okno i odgarniając śnieg z parapetu, wychylił się. Giles tymczasem pospieszył na schody.

Pan Paravicini znajdował się w dużym salonie. Podszedł do fortepianu, otworzył wieko i, usiadłszy na taborecie, zaczął po cichu wystukiwać jednym palcem melodię.

Ślepe myszki trzy,

Spójrz, jak one biegną...

Christopher Wren chodził tam i z powrotem po swej sypialni, pogwizdując z werwą. Nagle gwizd zamarł mu na ustach. Usiadł na brzegu łóżka, schował twarz w dłonie i zaczął szlochać.

— Dłużej tak nie mogę — wyszeptał głosem nadąsanego dziecka.

Po chwili zmienił mu się nastrój. Wstał, rozprostował ramiona. — Muszę — powiedział — muszę sobie z tym poradzić.

Giles stał przy telefonie w swojej małżeńskiej sypialni. Pochylił się nad listwą podłogową. Leżała tam rękawiczka Molly. Gdy ją podnosił, wypadł z niej różowy bilet autobusowy. Giles patrzył, jak bilet sfruwa na ziemię. Twarz mu się zmieniła. Wyglądał jak nie ten sam człowiek, kiedy powoli, jak gdyby we śnie, podszedł do drzwi, otworzył je i przystanął na chwilę, obserwując korytarz biegnący w kierunku szczytu schodów,

Molly skończyła obierać ziemniaki, wrzuciła je do garnka i postawiła na ogniu. Zajrzała do piekarnika. Wszystko było przygotowane zgodnie z planem.

Na kuchennym stole leżał Evening Standard sprzed dwóch dni. Spojrzawszy na niego, Molly zmarszczyła brwi. Jeśli tylko mogłaby sobie przypomnieć...

Nagle zakryła oczy rękami.

— Och, nie! — powiedziała. — Och, nie!

Powoli opuściła ręce. Rozejrzała się po kuchni jak po obcym miejscu. Było tu tak przytulnie, wygodnie i przestronnie, a w powietrzu unosiły się smakowite zapachy gotowanych potraw.

— Och, nie! — wypowiedziała znów półgłosem.

Ruszyła wolno, jak lunaticzka, w kierunku drzwi na korytarz. Otworzyła je. Dom był cichy. Dało się słyszeć jedynie czyjeś pogwizdywanie.

Ta melodia...

Molly wzdrygnęła się i wycofała. Odczekała minutę lub dwie, jeszcze raz obrzucając spojrzeniem znajome kuchenne sprzęty. Tak, wszystko było w najlepszym porządku i szło sprawnie. Ponownie zbliżyła się do kuchennych drzwi.

Major Metcalf zszedł cichutko tylnymi schodami. W holu poczekał chwilę, po czym otworzył duży schowek pod schodami i penetrował go wzrokiem. Wszędzie było spokojnie. Nikogo wokół. Najlepszy moment, aby zrobić to, co miał do zrobienia...

W bibliotece pani Boyle przekreśliła z irytacją gałkę radia. Przy pierwszej próbie trafiła na środek pogadanki o pochodzeniu i znaczeniu dzieciennych wierszyków, Ostatnia rzecz, jakiej chciała słuchać. Szukała niecierpliwie dalej. Kulturalny głos z radia objaśniał: „Psychologię strachu trzeba dokładnie zrozumieć. Powiedzmy, że znajdują się państwo sami w pokoju. Drzwi otwierają się cicho za waszymi plecami...”

Drzwi otworzyły się.

Pani Boyle odwróciła się szybko w nagłym przestraszu.

— Och — odetchnęła z ulgą na widok wchodzącej osoby. — Nadają w tym radiu idiotyczne programy. Nie mogę znaleźć nic wartego słuchania!

— Nie musi pani słuchać, pani Boyle.

— A cóż innego mam do roboty? — parsknęła pani Boyle. — Zamknięta w domu z potencjalnym mordercą — oczywiście, nie wierzę w tę melodramatyczną historię...

— Nie wierzy pani, pani Boyle?

— Dlaczego... Co to znaczy...

Pasek od przeciwdeszczowego płaszcza zacisnął się wokół jej szyi tak szybko, że chyba nie zdążyła zdać sobie sprawy, co to oznacza. Radio zostało głośniejsze podkręcone. Wykładowca psychologii strachu wykrzykiwał teraz swoje uczone wywody na cały pokój, zagłuszając odgłosy towarzyszące śmierci pani Boyle. Tych odgłosów nie było za wiele. Zabójca miał dużą wprawę.

Wszyscy stłoczyli się w kuchni. Na gazie wesoło perkotały ziemniaki. Z piekarnika unosił się smakowity zapach cynaderek.

Czworo wstrząśniętych ludzi patrzyło na siebie rozszerzonymi oczami, piąta — Molly, blada i drżąca, sączyła whisky ze szklanki, do czego zmusił ją szósty — sierżant Trotter. Ten ostatni, z zagniewaną i nieruchomą twarzą, rozglądał się po zgromadzonym towarzystwie. Minęło zaledwie pięć minut od czasu, gdy przeraźliwe krzyki Molly sprowadziły go razem z pozostałymi do biblioteki.

— Została zamordowana na chwilę przed pani wejściem, pani Davis — powiedział. — Czy jest pani pewna, że nie widziała ani nie słyszała niczego, kiedy przechodziła pani przez hall?

— Gwizdanie — odezwała się Molly słabym głosem. — Ale to było wcześniej. Myślę — nie jest pewna — że słyszałam zamykające się gdzieś cicho drzwi — właśnie, kiedy... kiedy wchodziłam do biblioteki.

— Które drzwi?

— Nie wiem.

— Proszę pomyśleć, pani Davis. Niech pani spróbuje się zastanowić: na górze — na dole, na prawo — na lewo?

— Mówię panu, że nie wiem — krzyknęła Molly. — Nawet nie jestem pewna, czy coś słyszałam.

— Czy nie może pan przestać się nad nią znęcać? — powiedział Giles ze złością. — Nie widzi pan, że jest wykończona?

— Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa, panie Davis — przepraszam — poruczniku Davis.

— Nie używam wojskowego stopnia, sierżancie.

— Słusznie, sir. — Trotter zawiesił głos, jak gdyby poczynił jakąś błyskotliwą uwagę. — A więc, jak mówię, prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa. Do tej pory nikt nie traktował tej sprawy poważnie. Pani Boyle również. Zataiła przede mną informacje. Wszyscy je zatailiście. I teraz pani Boyle nie żyje. Jeśli nie wyjaśnimy sobie wszystkiego i to szybko, zapamiętajcie — następna osoba może zginąć.

— Następna? Nonsens. Dlaczego?

— Ponieważ — poważnie oświadczył sierżant Trotter — były trzy małe, ślepe myszki.

— Każda z nich oznacza śmierć? — powiedział Giles z niedowierzaniem. — Więc ktoś jeszcze musiałby mieć związek ze sprawą.

— Tak, musiałyby tak być.

— Ale dlaczego następna zbrodnia miałaby być popełniona tutaj?

— Ponieważ w notesie widniały tylko dwa adresy. Na Culver Street siedemdziesiąt cztery mieszkała tylko jedna potencjalna ofiara. I ona nie żyje. Tu w Monkswell Manor istnieje szersze pole do działania.

— Nonsens, Trotter. Byłby to najbardziej nieprawdopodobny zbieg okoliczności, gdyby akurat tu przybyły przypadkowo aż dwie osoby zamieszane w sprawę farmy Longridge.

— Zważywszy pewne szczegóły, nie byłby to aż tak wielki zbieg okoliczności. Niech pan to przemyśli, panie Davis. — Zwrócił się do pozostałych: — Mam już zeznania państwa, gdzie każdy z was był w momencie śmierci pani Boyle. Sprawdzę je jeszcze raz. Pan, panie Wren, znajdował się w swoim pokoju, kiedy usłyszał pan krzyki pani Davis, tak?

— Tak, sierżancie.

— Panie Davis, pan sprawdzał drugi telefon na górze w sypialni?

— Tak — potwierdził Giles.

— Pan Paravicini był w salonie i grał na pianinie. Nawiasem mówiąc, nikt pana nie słyszał, panie Paravicini.

— Grałem bardzo, bardzo cicho, sierżancie, za ledwie jednym palcem.

— Jaka, to była melodia?

— Ślepe myszki trzy, sierżancie — uśmiechnął się. — To ta sama melodia, którą na górze gwizdał pan Wren. Melodia, która wszystkim chodzi po głowie.

— To okropna melodia — odezwała się Molly.

— A co z kablem telefonicznym? — zainteresował się Metcalf. — Został rozmyślnie przecięty?

— Tak, majorze Metcalf. Został przecięty na zewnątrz, na wysokości okna jadalni. Zlokalizowałem to miejsce akurat wtedy, kiedy pani Davis krzyknęła.

— Ależ to szaleństwo. Jak on może mieć nadzieję, że mu to ujdzie na sucho? — zapytał ostro Christopher.

Sierżant zmierzył go badawczym spojrzeniem.

— Może zbytnio o to nie dba — powiedział — lub też uważa się za znacznie sprytniejszego od nas. Mordercy tacy są. — dodał: — W trakcie szkolenia przechodzimy kurs psychologii. Mentalność schizofrenika jest niezwykle interesująca.

— Czy nie moglibyśmy ograniczyć ilości słów? — zapytał Giles.

— Oczywiście, panie Davis. Interesują nas w tej chwili tylko dwa słowa — morderstwo i niebezpieczeństwo. Na nich musimy się skoncentrować. A więc, majorze Metcalf, proszę wyjaśnić mi swoje posunięcia. Twierdzi pan, że był w piwnicy. Po co?

— Rozejrzeć się — odparł major. — Zajrzałem do tego schowka pod schodami i zauważyłam tam drzwi. Otworzyłem je i, widząc schodki, zszedłem na dół. Macie państwo ładną piwnicę — zwrócił się do Gilesa. — Jak krypta starego klasztoru, można by powiedzieć.

— Nie prowadzimy historycznych poszukiwań, majorze Metcalf. Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa. Pani Davis, proszę dobrze słuchać. Zostawię otwarte drzwi do kuchni. — Wyszedł; delikatnie skrzyknęły drzwi. — Czy to ten dźwięk pani słyszała, pani Davis? — zapytał, pojawiając się znowu w otwartych drzwiach.

— Ja... Rzeczywiście, to był podobny dźwięk.

— To były drzwi do schowka pod schodami. Mogło się tak zdarzyć, że po zabiciu pani Boyle, morderca, uciekając przez hol, usłyszał, że pani wychodzi z kuchni, wśliznął się więc do schowka, zamykając za sobą drzwi.

— Zatem wewnątrz schowka będą jego odciski palców — wykrzyknął Christopher.

— Moje już tam są — powiedział major Metcalf.

— Właśnie — oświadczył sierżant Trotter. — Ale mamy na to zadowalające wyjaśnienie, czyż nie? — dodał gładko.

— Proszę posłuchać, sierżancie — odezwał się Giles. — Niewątpliwie sprawuje pan pieczę nad tą sprawą, ale to jest mój dom i w pewnym stopniu czuję się odpowiedzialny za jego mieszkańców. Czy nie powinniśmy przedsięwziąć środków ostrożności?

— Na przykład jakich?

— Szczerze mówiąc, chodzi o to, aby ograniczyć swobodę ruchów osobie, która wydaje się najbardziej podejrzana.

Spojrzał prosto na Christophera Wrena. Christopher Wren rzucił się do przodu, a jego głos przybrał ton piskliwy i histeryczny.

— To nieprawda! Nieprawda! Wszyscy jesteście przeciwko mnie. Zawsze wszyscy są przeciwko mnie. Chcecie mnie w to wrobić. To jest prześladowanie... prześladowanie.

— Spokojnie, młodzieńcze — powiedział major Metcalf.

— W porządku, Chris. — Molly zbliżyła się do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. — Nikt nie jest przeciwko tobie. Proszę powiedzieć mu, że wszystko w porządku — zwróciła się do sierżanta Trottera.

— Nie fabrykujemy oskarżeń przeciwko ludziom — odparł sierżant Trotter.

— Proszę mu powiedzieć, że nie macie zamiaru go aresztować.

— Nie zamierzam nikogo aresztować. Aby to zrobić, potrzebuję dowodu. Nie ma dowodu — na razie.

— Jesteś szalona, Molly — krzyknął Giles. — I pan też, sierżancie. Jest tylko jedna osoba, która pasuje jak ulał, i...



— Zaczekaj, Giles, zaczekaj... — przerwała mu Molly. — Och, uspokój się. Sierzancie Trotter, czy mogę... Czy mogę z panem porozmawiać?

— Zostaję — powiedział Giles.

— Nie, Giles, ty także, proszę.

Twarz Gilesa stała się ponura jak burza.

— Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, Molly.

Opuścił wraz z innymi pokój, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

— O co chodzi, pani Davis?

— Sierzancie Trotter, kiedy opowiadał nam pan o sprawie farmy Longridge, sugerował pan, że to najstarszy chłopiec musi być... odpowiedzialny za to wszystko. Ale pan tego nie wie, prawda?

— To prawda, pani Davis. Ale istnieje prawdopodobieństwo — niezrównoważenie psychiczne, dezercja z wojska, raport psychiatry.

— Och, wiem, i dlatego wszystko wskazuje na Christophera. Ale ja nie wierzę, że to Christopher. Muszą być inne... możliwości. Czy ta trójka dzieci nie miała żadnych krewnych — na przykład rodziców?

— Matka nie żyła, a ojciec służył za granicą.

— I co z nim? Gdzie jest teraz?

— Nie mamy danych. Otrzymał papiery demobilizacyjne w zeszłym roku.

— Skoro syn był niezrównoważony psychicznie, może ojciec również.

— To prawda.

— Tak więc mordercą może być ktoś w średnim wieku albo starszy. Pamiętam, że major Metcalf był bardzo zdenerwowany, kiedy powiedziałałam mu, że był telefon z policji. Naprawdę był zdenerwowany.

— Proszę mi wierzyć, pani Davis — powiedział spokojnie sierżant Trotter — rozważyłem już wszystkie możliwości. Chłopiec, Jim... Ojciec... Nawet siostra. To mogła być przecież kobieta. Niczego nie przeoczyłem. Wewnętrznie mogę być prawie przekonany, ale nie wiem na pewno, Bardzo trudno coś naprawdę wiedzieć o czymkolwiek lub kimkolwiek, szczególnie w dzisiejszych czasach. Byłaby pani zaskoczona wiedząc, z jakimi przypadkami spotykamy się w policji. Zwłaszcza jeśli chodzi o małżeństwa. Szybkie małżeństwa, wojenne małżeństwa. Rozumie pani — nie istnieje przeszłość, nie poznaje się rodziny ani krewnych. Po prostu zawiera się słowem drugiego człowieka. Facet mówi, że jest pilotem albo majorem w armii, a dziewczyna wierzy mu bez zastrzeżeń. Czasami nie orientuje się przez rok lub dwa, że ma do czynienia ze zbiegłym urzędnikiem bankowym obciążonym żoną i rodziną albo ze zwykłym dezercerem z wojska. — Przerwał na chwilę i podjął znowu: — Dobrze wiem, o czym pani myśli, pani Davis. Tylko jedną rzecz chciałbym pani powiedzieć. Morderca dobrze się bawi. To jedyna rzecz, której jestem całkiem pewny.

Skierował się do drzwi, zostawiając Molly sztywną, milczącą i z wypiekami na policzkach. Stała przez chwilę nieruchomo, potem podeszła do kuchenki, uklękła i otworzyła drzwiczki piekarnika. Doszedł ją smakowity, znajomy zapach. Od razu zrobiło jej się lżej na sercu. Miała wrażenie, jak gdyby nagle powróciła do miłej, swojskiej codzienności. Gotowanie, sprzątanie, prowadzenie domu — zwykłe, prozaiczne życie.

Od niepamiętnych czasów kobiety gotowały dla swoich mężczyzn. Świat pełen niebezpieczeństw i szaleństwa był gdzieś daleko. W swojej kuchni kobieta pozostawała bezpieczna — niezmiennie bezpieczna przez wieki.

Drzwi do kuchni otworzyły się. Odwróciła głowę i ujrzała wchodzącego Christophera Wrena. Był lekko zadyszany.

— Moja droga — powiedział — ale awantura! Ktoś ukradł sierżantowi narty!

— Narty? Ależ dlaczego ktoś miałby to zrobić?

— Zupełnie nie mam pojęcia. Jeśli sierżant zdecydowałby się odjechać i nas zostawić, przypuszczam, że morderca byłby niezmiernie zadowolony. To rzeczywiście nie ma sensu, prawda?

— Giles postawił je w schowku pod schodami.

— Teraz ich tam nie ma. Intrygujące, no nie? — roześmiał się wesoło. — Sierżant jest okropnie zły z tego powodu. Kłapie paszczą jak krokodyl. Rzucił się na biednego majora Metcalfa, a staruszek upiera się, że nie zauważył, czy narty były w schowku, kiedy zaglądał tam tuż przed śmiercią pani Boyle. Trotter twierdzi, że musiał to zauważyć. Moim zdaniem — Christopher ściszył głos i pochylił głowę do przodu — ta sprawa zaczyna Trottera przytłaczać.

— Wszystkich nas przytłacza — stwierdziła Molly.

— Mnie nie. Uważam, że jest niebywale podniecająca. Wszystko jest tak czarująco nierealne.

— Nie powiedziałaś tego — zaprotestowała Molly — gdybyś... gdybyś to ty ją znalazł. Mam na myśli panią Boyle. Stale o tym myślę, nie mogę zapomnieć. Jej twarz... cała spuchnięta i purpurowa...

Zadrżała. Christopher podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

— Wiem. Idiota ze mnie. Przepraszam. Nie pomyślałem o tym.

W piersiach Molly wzbierał dławiony szloch.

— Wydaje się, że już wszystko w porządku... Gotowanie... Kuchnia... — powiedziała bezładnie, z zakłopotaniem. — I potem nagle wszystko znowu wraca jak nocny koszmar.

Twarz Christophera Wrena przybrała dziwny wyraz, kiedy tak stał i patrzył z góry na pochyloną Molly.

— Rozumiem. — Odsunął się. — Lepiej będzie, jak się wyniosę i nie będę ci przeszkadzał.

— Nie odchodź! — krzyknęła Molly, kiedy trzymał już rękę na klamce.

Odwrócił się z pytającym spojrzeniem, po czym powoli podszedł do niej z powrotem.

— Mówisz to poważnie?

— Co?

— Naprawdę nie chcesz, żebym sobie poszedł?

— Tak. Nie chcę być sama. Boję się zostać sama.

Christopher usiadł przy stole. Molly nachyliła się nad piekarnikiem, przestawiła zapiekankę na wyższy ruszt, zamknęła drzwiczki, po czym podeszła do Christophera.

— To bardzo ciekawe — powiedział spokojnie.

— Co takiego?

— Że nie boisz się być sama... ze mną. Nie boisz się, prawda?

— Nie, nie boję się. — Potrząsnęła głową.

— Dlaczego, Molly?

— Nie wiem. Po prostu nie boję się.

— A jednak jestem jedyną osobą, która... pasuje. Jedynym odpowiadającym opisowi mordercy.

— Nie — powiedziała Molly. — Istnieją inne możliwości. Rozmawiałam o nich z sierżantem Trotterem.

— Zgodził się z tobą?

— Nie zaprzeczył — odparła wolno Molly.

Niektóre słowa ustawicznie dźwięczały jej w uszach. Szczególnie to ostatnie zdanie: „Dobrze wiem, o czym pani myśli, pani Davis”. Czy wiedział? Czy możliwe, żeby wiedział? Powiedział również, że morderca dobrze się bawi. Czy była to prawda?

— W rzeczywistości wcale się dobrze nie bawisz, prawda? — zwróciła się do Christophera. — Wbrew temu, co przed chwilą powiedziałaś.

— Dobry Boże, nie — Christopher rozszerzył oczy ze zdumienia. — Co za dziwaczne stwierdzenie.

— Och, ja tego nie powiedziałam. To sierżant Trotter. Nienawidzę tego człowieka! On... On kładzie ci do głowy rzeczy... rzeczy, które nie są prawdziwe... które w żaden sposób nie mogą być prawdziwe.

Zakryła oczy rękami. Christopher bardzo delikatnie odstonił jej twarz.

— Posłuchaj, Molly. Co to wszystko znaczy? Pozwoliła mu posadzić się na krześle przy kuchennym stole. Jego zachowanie nie było już ani histeryczne, ani dziecinne.

— O co chodzi, Molly? — zapytał.

Popatrzyła na niego długim, badawczym spojrzeniem i spytała bez związku:

— Jak długo ja ciebie znam, Christopher? Dwa dni?

— Mniej więcej. Pewnie myślisz, że choć minęło tak niewiele czasu, chyba poznaliśmy się dość dobrze.

— Tak. To dziwne, prawda?

— Och, nie wiem. Istnieje między nami pewien rodzaj sympatii. Być może dlatego, że oboje stanęliśmy już w życiu w obliczu trudnych spraw.

To nie było pytanie. To było stwierdzenie. Molly zignorowała je.

— Naprawdę nie nazywasz się Christopher Wren — powiedziała bardzo cicho. Znowu zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

— Nie.

— Dlaczego...

— Wybrałem to nazwisko? Och, to był zabawny kaprys. W szkole zwykle wyśmiewano się ze mnie i nazywano mnie Christopher Robin. Robin — Wren — na zasadzie skojarzenia, jak sądzę.\*

— A jak się naprawdę nazywasz?

— Nieważne — odparł Christopher spokojnie. — Nic by to ci nie powiedziało. Nie jestem też architektem. Tak naprawdę to jestem dezercerem z wojska.

Na jedną chwilę w oczach Molly pojawił się ostrzegawczy błysk. Christopher zauważył to.

— Tak — oznajmił — jak nasz nieznany morderca. Powiedziałem ci już, że jestem jedynym pasującym do schematu.

— Nie bądź głupi — odrzekła Molly. — Powiedziałam ci, że nie wierzę, abyś był mordercą. Mów dalej, opowiedz mi o sobie. Co było powodem dezercji — nerwy?

— Myślisz, że się bałem? Nie, dość ciekawe, nie bałem się, w każdym razie nie bardziej niż inni. Właściwie odznaczałem się nawet zimną krwią w czasie ostrzału. Nie, to było coś całkiem innego. Chodziło o... moją matkę.

— Twoją matkę?

— Tak. Została zabita... podczas nalotu lotniczego. Zasypana. Musieli ją odkopać. Nie wiem, co się ze mną stało, kiedy się o tym dowiedziałem. Przypuszczam, że trochę zwariowałem. Zdawało mi się,

rozumiesz, że to mi się przydarzyło. Poczułem, że muszę dostać się szybko do domu i... i odkopać się sam. Nie potrafię tego wyjaśnić, to wszystko było pogmatwane. — Opuścił głowę na ręce i powiedział: — Błąkałem się długi czas, szukając jej, a może samego siebie, nie wiem kogo z nas. A potem, kiedy rozjaśniło mi się w głowie, bałem się zgłosić do wojska. Wiedziałem, że nigdy nie uda mi się tego wytłumaczyć. Od tamtej pory byłem właściwie... nikim.

Wpatrywał się w Molly, a na jego młodej twarzy malowała się rozpacz.

— Nie powinieneś tak się czuć — powiedziała łagodnie. — Możesz zacząć od początku.

— Czyżby można to było zrobić?

— Oczywiście. Jesteś przecież młody.

— Tak, ale zrozum — jestem skończony.

— Nie — zaproponowała Molly — wcale nie jesteś skończony. Tylko ty tak myślisz. Wierzę, że każdy przynajmniej raz w życiu doznaje uczucia, że to już koniec, że nie podoła dłużej.

— Znasz to uczucie, prawda, Molly? Musisz znać, skoro potrafisz mówić w ten sposób.

— Tak.

— Co to było?

— Spotkało mnie to samo, co przydarzyło się wielu innym dziewczętom. Byłam zaręczona z pilotem myśliwca i on zginął.

— Nie kryło się za tym nic więcej?

— Chyba tak. Kiedy byłam młodsza, przeżyłam poważny szok. Zetknęłam się z czymś okrutnym i bestialskim, co skłoniło mnie do myśli, że życie jest straszne. Śmierć Jacka jedynie utwierdziła mnie w przekonaniu, że całe życie jest okrutne i perfidne.

— Rozumiem. A potem, jak się domyślam — powiedział Christopher, obserwując ją — pojawił się Giles.

— Tak. — Delikatny, prawie nieuchwytny uśmiech zadrżał na jej wargach. — Pojawił się Giles, wszystko stało się proste, bezpieczne i szczęśliwe. Giles!

Z ust Molly zniknął uśmiech. Twarz jej nagle poszarzała. Zadrżała, jakby zrobiło jej się zimno.

— Co się stało, Molly? Co cię przestraszyło? Jesteś przestraszona, prawda?

Skinęła głową.

— To ma coś wspólnego z Gilesem? Z czymś, co powiedział lub zrobił?

— Nie, to nie Giles. To ten okropny człowiek!

— Jaki okropny człowiek? — Christopher był zdziwiony. — Paravicini?

— Nie, nie. Sierżant Trotter.

— Sierżant Trotter?

— Sugeruje, robi aluzje, zasiewa w mojej głowie okropne myśli na temat Gilesa — myśli, o które się nie podejrzewałam. Och, nienawidzę go... Nienawidzę.

— Giles? — Christopher uniósł ze zdziwienia brwi. — Giles! Oczywiście, jesteśmy prawie w tym samym wieku. Wygląda trochę poważniej niż ja, ale chyba nie jest starszy. Tak, Giles równie dobrze mógłby pasować. Ale posłuchaj, Molly, to wszystką bzdura. W dniu, w którym zamordowano tę kobietę w Londynie, Giles był z tobą w domu.

Molly nie odpowiedziała.

— Nie było go tutaj? — Christopher spojrzał na nią ostro.

Molly wyrzuciła z siebie jednym tchem bezładny potok słów:

— Cały dzień był poza domem — w samochodzie — pojechał na drugi koniec hrabstwa po drucianą siatkę, którą tam sprzedawano... Przynajmniej tak powiedział — i ja tak myślałam, aż... aż...

— Aż co?

Wolno wyciągnęła rękę i pokazała Evening Standard, leżący na kuchennym stole.

— Wydanie londyńskie sprzed dwóch dni — powiedział Christopher, przyglądając się gazecie.

— Był w kieszeni Gilesa, kiedy wrócił do domu. On... On musiał być w Londynie.

Christopher wytrzeszczył oczy. Gapił się to na gazetę, to na Molly. Ściągnął usta i zaczął gwizdać, lecz nagle zmitygował się. Nie wypadło gwizdać tej melodii właśnie teraz.

Bardzo ostrożnie dobierając słowa i unikając wzroku Molly, powiedział:

— Co tak naprawdę wiesz na temat Gilesa?

— Przestań — krzyknęła. — Przestań! Właśnie to powiedział, czy też sugerował ten podły Trotter. Jego zdaniem, kobiety często nic nie wiedzą o mężczyznach, których poślubiają, szczególnie w czasie wojny. One... One po prostu oceniają mężczyzn na podstawie tego, co oni sami o sobie mówią.

— Przypuszczam, że to prawda.

— Przynajmniej ty tak nie mów! Nie mogę tego znieść. Wszyscy jesteśmy w takim stanie, tak bardzo zdenerwowani, że bylibyśmy skłonni ulec każdej fantastycznej sugestii. A to nieprawda! Ja...

Urwała, gdy drzwi do kuchni otworzyły się, i wszedł Giles. Miał groźną minę.

— Nie przeszkadzam? — zapytał.

— Pobieram właśnie lekcje sztuki kulinarnej. — Christopher odsunął się od stołu.

— Rzeczywiście? A więc posłuchaj, Wren, przebywanie sam na sam nie jest w obecnej chwili wskazane. Trzymaj się z dala od kuchni, słyszysz?

— Och, ależ z pewnością...

— Nie zbliżaj się do mojej żony, Wren. Ona nie będzie następną ofiarą.

— O to właśnie się martwię — oznajmił Christopher.

Jeśli słowa te miały ukryte znaczenie, Giles najwyraźniej tego nie zauważył. Jego twarz przybrała ciemnoczerwony kolor.

— To moje zmartwienie — powiedział. — Potrafię zaopiekować się własną żoną. Wynoś się stąd, do diabła.

— Proszę cię, idź, Christopher — odezwała się Molly dźwięcznym głosem. — Tak... Naprawdę.

Christopher podszedł wolno do drzwi.

— Nie odejdę za daleko. — Słowa te skierowane były do Molly i miały wyraźnie określony sens.

— Wyniesiesz się stąd wreszcie?

— Aj, aj, poruczniku — Christopher parsknął dziecinnym chichotem.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Giles zwrócił się do Molly:

— Na litość boską, Molly, nie masz za grosz rozumu? Zamknąć się tutaj sama z niebezpiecznym, zbrodniczym maniakiem!

— On nie jest niebezpiecznym... — szybko się poprawiła: — On nie jest niebezpieczny. W każdym razie mam się na baczności. Mogę sama się troszczyć o siebie.

Giles zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Tak jak pani Boyle.

— Och, Giles, przestań.

— Przepraszam, kochanie, ale jestem wściekły. Ten łajdak. Nie mogę zrozumieć, co ty w nim widzisz.

— Żal mi go — wyznała wolno Molly.

— Żal ci zbrodniczego szaleńca?

Molly obrzuciła go dziwnym spojrzeniem.

— Mogłabym żałować nawet zbrodniczego szaleńca — powiedziała.

— I również nazywać go „Christopher”. Od kiedy to jesteście po imieniu?

— Och, Giles, nie bądź śmieszny. W dzisiejszych czasach wszyscy tak do siebie mówią. Wiesz, że to prawda.

— Nawet po kilku dniach znajomości? Ale może za tym coś się kryje. Może znałaś pana Christophera Wrena, fałszywego architekta, zanim tu przyjechał? Może zaproponowałaś mu, żeby tu przyjechał? Może uknuliście to wszystko razem?

Molly rozszerzyła oczy ze zdumienia.

— Giles, czyś ty postradał zmysły? Co, u licha, sugerujesz?

— Przypuszczam, że Christopher Wren jest twoim dobrym znajomym, z którym jesteś w bliższych stosunkach, niż chciałabyś się do tego przyznać.

— Giles, chyba zwariowałeś!

— Jak sądzę, będziesz się upierać, że nigdy go nie widziałaś, zanim tu przyjechał. Czy to nie dziwne, że zatrzymał się w takiej zapadłej dziurze?

— A, czy nie dziwi cię bardziej, że uczynił to major Metcalf i... i pani Boyle?

— Owszem. Czytałem, że tacy bełkotliwi pomyleńcy szczególnie fascynują kobiety. Wygląda na to, że to prawda. Jak go poznałaś? Jak długo to trwa?

— Jesteś zupełnie niedorzeczny, Giles. Nigdy nie widziałam Christophera Wrena, zanim nie pojawił się tutaj.

— Nie pojechałaś więc dwa dni temu do Londynu, aby się z nim spotkać i omówić jego przyjazd tutaj w charakterze nieznanego?

— Doskonale wiesz, Giles, że nie było mnie w Londynie od tygodni.

— Czyżby? To interesujące. — Wyciągnął z kieszeni futrzaną rękawiczkę. — To jedna z rękawiczek, w których wychodziłaś przedwczoraj, prawda? W dniu, w którym byłem w Sailham w poszukiwaniu siatki.

— W dniu, w którym byłeś w Sailham w poszukiwaniu siatki — powtórzyła Molly, przypatrując mu się uważnie. — Tak, założyłam te rękawiczki wychodząc.

— Powiedziałaś, że poszłaś do wioski. Jeśli tak było, to co to tutaj robi?

Oskarżycielskim gestem wyciągnął z rękawiczki różowy bilet autobusowy. Zapadła chwila milczenia.

— Pojechałaś do Londynu — stwierdził Giles.

— W porządku — powiedziała Molly, unosząc podbródek. — Pojechałam do Londynu.

— Na spotkanie z tym facetem.

— Nie, nie na spotkanie z Christopherem.

— A więc po co pojechałaś?

— Chwileczkę, Giles. Nie zamierzam ci powiedzieć.

— Potrzeba czasu na wymyślenie jakiejś stosownej historyjki.

— Mam wrażenie — powiedziała Molly — że cię nienawidzę.

— Chciałbym cię nienawidzić — odparł wolno Giles — ale tak nie jest. Czuję tylko, że w ogóle cię nie znam, że nic o tobie nie wiem.

— Mam to samo uczucie. Jesteś... Jesteś właściwie obcym człowiekiem. Mężczyzną, który mnie okłamuje...

— Kiedyż to cię okłamałem?

— Sądzisz, że uwierzyłam w twoją historyjkę o drucianej siatce? — Molly roześmiała się. — Tego dnia również byłeś w Londynie.

— Przypuszczam, że mnie tam widziałś — powiedział Giles — i nie miałś do mnie wystarczająco dużo zaufania...

— Zaufania? Nigdy nikomu nie zaufam... nigdy... więcej. Żadne z nich nie zauważyło, że drzwi do kuchni zostały po cichu otwarte. Pan Paravicini subtelnie zakaszał.

— Doprawdy, jestem zażenowany — odezwał się półgłosem. — Pozostaje mi mieć nadzieję, że wy, młodzi ludzie, często mówicie więcej, niż naprawdę myślicie. Takie miłosne sprzeczki zdarzają się nader często.

— Miłosne sprzeczki — powiedział Giles ironicznym tonem. — W porządku.

— Właśnie, właśnie — podjął pan Paravicini. — Wiem, jak pan się czuje. Doświadczyłem tego wszystkiego sam, kiedy byłem młodszy. Ale przyszedłem tu, aby wam oznajmić, że pan inspektor koniecznie się domaga, abyśmy wszyscy udali się do salonu. Zdaje się, że ma jakiś pomysł. — Pan Paravicini cicho zachichotał. — Często się słyszy, że policja znajduje klucz do sprawy. Ale pomysł? Mocno w to wątpię. Gorliwy i pracowity jest niewątpliwie ten nasz sierżant Trotter, ale — jak sądzę — niezbyt z niego tęga głowa.

— Idź, Giles — powiedziała Molly. — Muszę dokończyć obiad. Sierżant Trotter może działać beze mnie.

— Jeśli już mowa o gotowaniu — wtrącił się Paravicini, podskakując żwawo do Molly — czy próbowała pani kiedyś kurzych wątróbek podawanych na grzance grubo posmarowanej foie gras i ozdobionej cieniutkim plasterkiem bekonu z francuską musztardą?

— Trudno dzisiaj o foie gras — odezwał się Giles. — Chodźmy, panie Paravicini.

— Czy mógłbym zostać i dotrzymać towarzystwa drogiej pani?

— Pójdzie pan do salonu, Paravicini — rzucił Giles.

— Pani mąż obawia się o panią. — Paravicini zaśmiał się cicho. — Całkiem naturalne. Nie dopuszcza myśli o pozostawieniu pani ze mną. Przerażają go nie tyle moje nieczne zamiary, co sadystyczne skłonności. Poddaję się. — Skłonił się z wdziękiem i ucałował koniuszki jej palców.

— Och, panie Paravicini, jestem pewna... — zaczęła Molly niezadowolonym tonem.

Paravicini pokiwał głową i zwrócił się do Gilesa:

— Jest pan bardzo rozsądny, młodzieńcze. Nie ryzykować. Czy mogę udowodnić panu albo inspektorowi, że nie jestem zbrodniczym maniakiem? Nie, nie mogę. Bardzo trudno udowodnić, że kimś się nie jest.

Zaczął wesoło nucić. Molly wzdrygnęła się.

— Proszę, panie Paravicini, nie tę okropną melodię.

— Ślepe myszki trzy — rzeczywiście! Prześladowuje mnie ona. W gruncie rzeczy to makabryczny wierszyk. Wcale nie jest sympatyczny, ale dzieci lubią makabryczne rzeczy. Może pani to zauważyła? Ten wierszyk jest szalenie angielski — niby sielankowa, okrutna angielska prowincja. Ona ostrym nożem obcięła im ogony. Oczywiście, dziecku to się może podobać. Mógłbym powiedzieć pani o dzieciach takie rzeczy...

— Proszę nie opowiadać — przerwała mu Molly słabym głosem. — Myślę, że pan jest również okrutny. — Podniosła histerycznie głos. — Śmieje się pan i uśmiecha, zachowuje się pan jak kot, który bawi się z myszą... Który bawi się... — Zaczęła się śmiać.

— Uspokój się, Molly — powiedział Giles. — Chodź, pójdziemy wszyscy razem do salonu. Trotter może się niecierpliwić. Nie zwracaj sobie głowy gotowaniem. Morderstwo jest ważniejsze od jedzenia.

— Nie jestem pewny, czy się z panem zgadzam — powiedział pan Paravicini, idąc za nimi swoim drobnym, skocznym krokiem. — Zawsze się mówi, że skazaniec zjada obfite śniadanie.

W holu przyłączył się do nich Christopher Wren, któremu Giles posłał gniewne spojrzenie, a Christopher zerknął niespokojnie na Molly, lecz ona, z głową wysoko podniesioną, szła, patrząc prosto przed siebie. Pomaszzerowali jak w procesji do drzwi salonu. Pochód zamykał pan Paravicini, idąc jak zwykle drobnym, skocznym kroczkiem.

Sierżant Trotter i major Metcalf czekali już w salonie. Major wyglądał na zaszępionego, natomiast sierżanta rozpieęła energia.

— Poprosiłem wszystkich — zakomunikował, kiedy weszli — bo chcę przeprowadzić pewien eksperyment.

— Czy to długo potrwa? — spytała Molly. — Mam sporo pracy w kuchni. Mimo wszystko musimy od czasu do czasu coś jeść.

— Tak — powiedział Trotter. — Rozumiem to, pani Davis, ale, proszę mi wybaczyć, są rzeczy ważniejsze od jedzenia! Pani Boyle, na przykład, nie potrzebuje już jeść.

— Doprawdy, sierżancie — odezwał się major Metcalf — wyraża się pan dziwnie, rzekłbym nietaktownie.

— Przykro mi, majorze, ale oczekuję od każdego z was współpracy.

— Czy znalazł pan swoje narty? — zapytała Molly. Młody człowiek zaczerwienił się.

— Nie, nie znalazłem, pani Davis. Ale mógłbym powiedzieć, że mam uzasadnione podejrzenie, kto to zrobił i dlaczego. W tej chwili nie powiem nic więcej.

— Niech pan nie mówi — poprosił pan Paravicini. — Zawsze uważam, że wyjaśnienia powinny nastąpić na końcu. Wie pan, w pasjonującym, ostatnim rozdziale.

— To nie jest zabawa, sir.

— Czyżby? Myślę, że jest pan w błędzie. To jest zabawa... dla kogoś.

— Morderca dobrze się bawi — mruknęła cichutko Molly. Wszyscy spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Zarumieniła się.

— Cytuję tylko słowa sierżanta Trottera — usprawiedliwiła się.

Sierżant Trotter nie wyglądał na zadowolonego.

— No tak, pan Paravicini mówi tu o ostatnich rozdziałach, jakbyśmy mieli do czynienia z tajemniczą powieścią sensacyjną. To jednak jest rzeczywistość. To dzieje się na naszych oczach.

— Byłe tylko — wtrącił Christopher Wren, delikatnie pocierając szyję — to nie przytrafiło się mnie.

— Dość tego, chłopcze — odezwał się major Metcalf. — Obecny tu sierżant ma zamiar powiadomić nas, do czego nas potrzebuje.



Sierżant Trotter odchrząknął i podjął oficjalnym tonem:

— Niedawno udzielili mi państwo pewnych wyjaśnień, gdzie każdy z was przebywał w momencie śmierci pani Boyle. Pan Wren i pan Davis znajdowali się w swoich sypialniach, pani Davis w kuchni, major Metcalf w piwnicy, a pan Paravicini był tutaj, w tym pokoju. — Zawiesił głos na chwilę, po czym kontynuował: — Takie zeznania złożyliście, a ja nie mam możliwości ich sprawdzić. Mogą być prawdziwe albo fałszywe. Wyrażając się zupełnie jasno — cztery zeznania są prawdziwe, jedno jest fałszywe. Które? — Nikt się nie odezwał. — Czworo z was mówi prawdę, jedno kłamie. Mam plan, który mógłby mi pomóc w zdemaskowaniu kłamcy. I jeśli odkryję, kto z państwa mnie okłamuje, wtedy będę wiedział, kto jest mordercą.

— Niekoniecznie — wtrącił ostro Giles. — Ktoś mógł skłamać z jakiegoś innego powodu.

— Raczej w to wątpię, panie Davis.

— Ale na czym polega pański pomysł? Przed chwilą powiedział pan, że nie ma żadnych możliwości sprawdzenia naszych zeznań.

— Nie mam. Proponuję jednak, abyście udali się jeszcze raz tam, gdzie byliście w momencie zbrodni.

— Ba — westchnął major Metcalf lekceważąco. — Rekonstrukcja zbrodni. Dziwny pomysł.

— Nie rekonstrukcja zbrodni, lecz posunięcie pozornie niewinnych osób.

— I czego spodziewa się pan dowiedzieć?

— Wybacz pan, że nie wyjaśnię tego w tej chwili.

— A więc chce pan — spytała Molly — żebyśmy odegrali powtórnie swe role?

— Mniej więcej, pani Davis.

Zapadło milczenie — milczenie, w jakiś sposób krępujące.

„To pułapka — pomyślała Molly. — Pułapka, ale nie rozumiem, w jaki sposób...”

Można by pomyśleć, że w pokoju znajdowało się pięciu winnych, zamiast jednego winnego i czworga niewinnych ludzi. Wszyscy bez wyjątku zerkali podejrzliwie na pewnego siebie i uśmiechniętego młodego człowieka, który zaproponował ten pozornie niewinny eksperyment.

— Ale nie rozumiem — wykrzyknął piskliwie Christopher — doprawdy, nie mogę pojąć, czego spodziewa się pan po tym eksperymencie, który ma polegać jedynie na odtworzeniu tego, co robiliśmy przedtem. To wydaje mi się po prostu bezsensowne!

— Tak pan sądzi, panie Wren?

— Oczywiście, sierżancie — powiedział wolno Giles — pana słowa są rozkazem. Będziemy współpracować. Czy wszyscy mamy robić dokładnie to co przedtem?

— Te same ruchy zostaną wykonane, tak. Zaniepokojony pewną niejasnością tego zdania major podniósł gwałtownie głowę. Sierżant Trotter mówił dalej:

— Pan Paravicini powiedział nam, że siedział przy pianinie i grał pewną melodię. Panie Paravicini, może byłby pan tak uprzejmy i pokazał nam dokładnie, co pan robił?

— Ależ oczywiście, drogi sierżancie.

Pan Paravicini w żwawych podskokach przemierzył pokój i zasiadł na taborecie przy fortepianie.

— Mistrz fortepianu zagra teraz melodię zwiastującą mordercę — zapowiedział się szumnie.

Roześmiał się szeroko i w wyszukany, manieryczny sposób wystukał jednym palcem melodię Ślepe myszki trzy.

„On się dobrze bawi — pomyślała Molly. — On się dobrze bawi”.

Ciche, przytłumione dźwięki wywołały w dużym pokoju niesamowity efekt.

— Dziękuję panu — powiedział sierżant Trotter do pana Paraviciniego. — Jak rozumiem, zagrał pan tę melodię dokładnie tak samo jak poprzednim razem?

— Tak, sierżancie. Powtórzyłem ją trzy razy.

Sierżant Trotter zwrócił się do Molly:

— Czy gra pani na pianinie, pani Davis?

— Tak, sierżancie.

— Czy mogłaby pani wystukać melodię tak, jak zrobił to pan Paravicini, dokładnie w ten sam sposób?

— Oczywiście, mogę.

— A więc zechce pani usiąść przy fortepianie i poczekać, aż dam pani znak.

Molly wyglądała na trochę zdezorientowaną. Podeszła do fortepianu.

Pan Paravicini podniósł się z taboretu, głośno protestując:

— Ależ sierżancie, zrozumiałem, że mamy odegrać poprzednie role. To ja siedziałem przy fortepianie.

— Te same czynności zostaną wykonane tak jak poprzednim razem, ale niekoniecznie muszą być wykonywane przez te same osoby.

— Nie rozumiem, jaki to ma sens — oświadczył Giles.

— To ma sens, panie Davis. To sposób na sprawdzenie autentyczności zeznań, zwłaszcza jednego. A teraz wyznaczę państwu wasze miejsca. Pani Davis będzie tutaj, przy fortepianie. Panie Wren, byłby pan uprzejmy pójść do kuchni? Niech pan rzuci okiem na naszą kolację. Panie Paravicini, zechce pan udać się do sypialni pana Wrena? Może pan tam ćwiczyć swój muzyczny talent, gwizdząc Ślepe myszki trzy. tak jak robił to pan Wren. Majorze Metcalf, pójdzie pan do sypialni pana Davisa i sprawdzi tam telefon, dobrze? A pan, panie Davis, zajrzy do schowka w holu, a potem zejdzie do piwnicy.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem cztery osoby skierowały się powoli ku drzwiom. Trotter poszedł za nimi.

— Proszę policzyć do pięćdziesięciu i potem zacząć grać, pani Davis — rzucił przez ramię do Molly i opuścił pokój.

Zanim zamknęły się drzwi, Molly usłyszała przenikliwy głos pana Paraviciniego.

— Nie wiedziałem, że policja tak lubi gry towarzyskie.

— Czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt. Molly posłusznie odliczyła i zaczęła grać. I znów duży salon rozbrzmiał echem cichej, okrutnej melodyjki.

Ślepe myszki trzy,

Spójrz, jak one biegną...

Molly czuła, że serce bije jej coraz szybciej. Tak jak powiedział Paravicini, wierszyk był dziwnie niepokojący i makabryczny. Zawierał w sobie ten rodzaj dziecięcej nieczułości, która przeraża u człowieka dorosłego.

Bardzo niewyraźnie dochodziła do niej ta sama melodia, gwizdana na górze w sypialni przez Paraviciniego, który odtwarzał rolę Christophera Wrena.

Nagle za ścianą w bibliotece zaczęło grać radio. Sierżant Trotter musiał je nastawić. On sam więc grał rolę pani Boyle. Ale dlaczego? Jaki był sens tego wszystkiego? Gdzie była pułapka? Co do tego, że istniała pułapka, nie miała wątpliwości. Nagle poczuła na karku powiew zimnego powietrza. Gwałtownie odwróciła

głowę. Z pewnością ktoś otworzył drzwi i wszedł do pokoju... Ale nie, pokój był pusty. Nagle przestraszyła się. A jeśliby ktoś wszedł? Przypuśćmy, że pan Paravicini pojawiłby się w drzwiach, podskoczyłby do pianina, zaciskając nerwowo swoje długie palce...

A więc gra pani dla siebie samej żałobnego marsza, droga pani, udany pomysł... — Nonsens — nie bądź głupia — masz urojenia. Przecież słyszysz jego gwizdanie nad swoją głową, tak samo dobrze, jak on słyszy ciebie.

O mało co nie oderwała rąk od fortepianu, kiedy dotarła do niej ta myśl! Przecież nikt nie słyszał gry pana Paraviciniego. Czy to właśnie była pułapka? Być może Paravicini w ogóle nie grał? Może nie był w salonie tylko w bibliotece? W bibliotece, gdzie dusił panią Boyle? Czy było to możliwe?

Był zły, bardzo zły, kiedy Trotter zarządził, żeby ona grała. Położył specjalny nacisk na delikatny sposób, w jaki wystukiwał melodię. Oczywiście, podkreślając to, sugerował, że dźwięki być — może były zbyt ciche, aby można je było usłyszeć poza pokojem. Więc jeśli ktoś, kto nie słyszał ich przedtem, usłyszałby je teraz... W ten oto sposób Trotter mógłby dostać to, czego chciał — osobę, która kłamała.

Drzwi do salonu otworzyły się. Molly zesztyniała, niemalże krzyknęła, spodziewając się, że to Paravicini. Ale był to tylko sierżant Trotter. Wszedł w momencie, kiedy właśnie skończyła grać melodię po raz trzeci.

— Dziękuję pani — powiedział.

Wyglądał na niezmiernie zadowolonego z siebie. Był ożywiony i pełen werwy.

— Uzyskał pan to, czego chciał? — spytała Molly, zdejmując ręce z klawiatury.

— Tak, rzeczywiście. — Nie posiadał się z radości. — Uzyskałem dokładnie to, czego chciałem.

— Który? Kto?

— Nie wie pani, pani Davis? To nie takie trudne. A przy okazji, jeśli wolno mi tak powiedzieć, była pani bezgranicznie głupia. Pozwoliła mi pani na poszukiwania trzeciej ofiary, a w rezultacie sama znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie.

— Ja? Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

— Myślę, że nie była pani ze mną szczerą, pani Davis. Nie posłuchała mnie pani — tak samo jak pani Boyle.

— Nie rozumiem.

— Och, ależ rozumie pani. Kiedy po raz pierwszy wspomniałem o sprawie farmy Longridge, wiedziała pani o niej wszystko. Tak, wiedziała pani. Była pani zdenerwowana. I to pani potwierdziła, że pani Boyle sprawowała funkcję urzędnika do spraw kwaterunku w tym rejonie. Obydwie pochodziłyście z tych stron. A więc kiedy zacząłem zastanawiać się nad trzecią możliwą ofiarą, od razu postawiłem na panią. Zdradziła się pani wiadomościami z pierwszej ręki na temat farmy Longridge. Wie pani, my policjanci, nie jesteśmy tacy głupi, na jakich wyglądamy.

— Nie rozumie pan — powiedziała cicho Molly. — Nie chciałam sobie tego przypominać.

— Rozumiem. — Głos mu się trochę zmienił. — Pani panieńskie nazwisko brzmi Wainwright, czy tak?

— Tak.

— I jest pani trochę starsza, niż chce się pani przyznać. W 1940, kiedy to się wydarzyło, była pani nauczycielką w szkole w Abbeyvale.

— Nie!

— Och tak, była pani, pani Davis.

— Mówię panu, że nie.

— Chłopiec, który zmarł, zdołał jeszcze wysłać pani list. Ukradł nawet znaczek. W liście błagał o pomoc, błagał o pomoc swoją ukochaną nauczycielkę. To sprawa nauczyciela dowiedzieć się, dlaczego dziecko nie chodzi do szkoły. Nie zrobiła pani tego. Zlekceważyła pani list tego biedaka.

— Dość. — Policzki Molly płonęły. — Mówi pan o mojej siostrze. Ona była dyrektorką szkoły. Wcale nie zlekceważyła tego listu. Była wtedy chora na zapalenie płuc. Zobaczyła list dopiero po śmierci dziecka. To ją okropnie zdenerwowało... Okropnie... Była niezwykle wrażliwą osobą. To wszystko stało się nie z jej winy. Przejęła się tym tak strasznie, że przypominanie sobie tego zawsze było dla niej nie do zniesienia. To był koszmar.

Molly zakryła oczy rękami. Kiedy je opuściła, stwierdziła, że Trotter bacznie jej się przyglądał.

— A więc to była pani siostra — powiedział cicho, dziwnie się uśmiechając. — No cóż, mimo wszystko... to nie ma większego znaczenia, prawda? Pani siostra... Mój brat... — Wyjął coś z kieszeni, błogo się uśmiechając.

Molly wpatrywała się w przedmiot, który trzymał w ręce.

— Zawsze myślałam, że policjanci nie noszą rewolwerów — powiedziała.

— Policjanci nie noszą — odparł młody człowiek. — Ale, widzi pani, ja nie jestem policjantem. Jestem Jim — brat Georgie'ego. Sądziła pani, że jestem policjantem, ponieważ zadzwoniłem z budki w miasteczku i powiedziałem, że sierżant Trotter jest w drodze. Kiedy się tu dostałem, przeciąłem kabel telefoniczny na zewnątrz budynku tak, żeby nie mogła pani zadzwonić na posterunek policji.

Molly wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami. Rewolwer wymierzony był teraz w jej stronę.

— Proszę się nie ruszać, pani Davis, i nie krzyczeć... w przeciwnym razie od razu pociągnę za spust.

Cały czas się uśmiechał. Molly z przerażeniem zdała sobie sprawę, że był to dziecinny uśmiech. A kiedy mówił, jego głos stawał się dziecinnym głosem.

— Tak — powiedział — jestem bratem Georgie'ego. Georgie zmarł na farmie Longridge. Ta wstrętna kobieta nas tam wysłała, a żona farmera była dla nas okrutna, i pani nie chciała nam pomóc, nam — trzem małym, ślepym myszkom. Powiedziałem sobie, że zabiję was wszystkich, kiedy podrosnę. Powiedziałem to poważnie i myślałem o tym stale od tamtego czasu. — Nagle zrobił niezadowoloną minę. — Dokuczali mi bardzo w wojsku. Ten lekarz wciąż zadawał mi pytania... Musiałem uciekać. Bałem się, że przeszkodzą mi w zrobieniu tego, co chciałem zrobić. Teraz jestem dorosły. Dorosli mogą robić, co im się podoba.

Molly opanowała się. „Mów do niego — powiedziała do siebie. — Odwróć jego uwagę”.

— Jim, posłuchaj — odezwała się. — Nie uda ci się bezpiecznie stąd uciec.

— Ktoś schował mi narty. — Twarz mu spochmurniała. — Nie mogę ich znaleźć. — Roześmiał się. — Ale nie wątpię, że wszystko się uda. To rewolwer pani męża. Wyjąłem go z jego szuflady. Wszyscy pomyślą zapewne, że to on panią zabił. Tak czy owak — zbytnio o to nie dbam. To było takie zabawne — wszystko. To udawanie! Ta kobieta w Londynie — jej twarz, kiedy mnie rozpoznała. Ta głupia kobieta dziś rano! — Pokiwał głową

Nagle rozległo się wyraźne gwizdanie, stwarzając pełen grozy efekt. Ktoś gwizdał melodię Ślepe myszki trzy.

Trotter drgnął, rewolwer drgnął mu w ręku. Jakiś głos krzyknął:

— Pani Davis, na ziemię!

Molly padła na podłogę, a major Metcalf, wyłoniwszy się ze swej kryjówki za kanapą obok drzwi, rzucił się na Trottera. Rewolwer wystrzelił i kula utkwiała w jednym z olejnych płócien, wprawdzie nie najwyższego lotu, lecz tak drogich sercu zmarłej panny Emory.

W chwilę później rozpętało się istne piekło — wtargnął Giles, a za nim Christopher i pan Paravicini.

Major Metcalf, nie wypuszczając Trottera z rąk, wyrzucał z siebie gwałtowne, krótkie zdania.

— Wszedłem, kiedy pani grała. Wśliznąłem się za kanapę. Muszę przyznać, że miałem go na oku od samego początku. Wiedziałem, że nie jest oficerem policji. Ja nim jestem — inspektor Tanner. Ustaliliśmy z Metcalfem, że przyjadę, zamiast niego. Scotland Yard uznał za wskazane mieć tu kogoś na miejscu. A teraz, chłopcze — zwrócił się łagodnie do potulnego już Trottera — pójdiesz ze mną. Nikt ci nie zrobi krzywdy. Wszystko będzie dobrze. Zaopiekujemy się tobą.

— Georgie nie będzie się na mnie gniewał? — zapytał opalony, młody człowiek żałosnym, dziecięcym głosem.

— Nie. Georgie nie będzie się gniewał — odpowiedział major. — Zupełnie pomyłony, biedaczysko — mruknął, przechodząc obok Gilesa.

Obydwaj opuścili pokój. Pan Paravicini dotknął ramienia Christophera Wrena.

— Ty również, przyjacielu — powiedział — chodź za mną.

Pozostawieni sami, Giles i Molly spojrzeli na siebie. Po chwili byli już w swoich ramionach.

— Kochanie — powiedział Giles — jesteś pewna, że cię nie zranił?

— Nie, nic mi nie jest. Giles, miałam taki straszny zamęt w głowie. Nieomal myślałam, że... Dlaczego pojechałeś tego dnia do Londynu?

— Kochanie, chciałem kupić ci prezent urodzinowy na jutro. Nie chciałem, żebyś wiedziała.

— Nadzwyczajne! A ja pojechałam do Londynu po prezent dla ciebie i też nie chciałam, żebyś się o tym dowiedział.

— Byłem szaleńczo zazdrosny o tego neurotycznego błazna. Chyba zachowywałem się nienormalnie. Wybacz, kochanie.

Otworzyły się drzwi i wszedł pan Paravicini, podskakując w charakterystyczny sposób niczym kózka. Promieniał radością.

— Przeszkadzam w pojednaniu... Cóż za urocza scena... Ale, niestety, muszę się pożegnać. Zdołał się tu przedrzeć policyjny wóz terenowy. Przekonam ich, żeby zabrali mnie ze sobą. — Nachylił się i tajemniczym szeptem powiedział Molly do ucha: — Być może wkrótce czekają mnie pewne kłopoty, ale jestem pewien, że uda mi się wszystko załagodzić. Więc jeśli otrzyma pani paczkę, powiedzmy, z gęsią, indykiem, kilkoma puszkami foie gras, szynką — czy nylonowymi pończochami, to... rozumie pani? To będzie mój dowód przyjaźni dla tak czarującej damy. Panie Davis, zostawiłem czek na stoliku w holu. — Pocałował Molly w rękę i pomknął w podskokach do drzwi.

— Nylony? — mruknęła Molly — Foie gras? Kimże jest ten Paravicini? Świętym Mikołajem?

— Czarnorynkowa firma, podejrzewam — powiedział Giles. Christopher Wren nieśmiało wsunął głowę do pokoju.

— Kochani — odezwał się — mam nadzieję, że nie przeszkadzam, ale z kuchni dochodzi straszny zapach spalenizny. Czy powinienem coś z tym zrobić?

Z bolesnym okrzykiem: „Moja zapiekanka!” Molly wybiegła z pokoju.

## UKRYTY SKARB

— A— oto — powiedziała Jane Helier, dopełniając prezentacji — panna Marple!

Jak przystało na aktorkę, potrafiła wywołać odpowiednie wrażenie. Najwyraźniej był to punkt kulminacyjny, triumfalny finał! W jej głosie brzmiała jednocześnie nuta pełnego czci lęku, jak i triumfu.

O dziwo, tak szumnie zapowiadana osoba była jedynie miłą, dobrodusznie wyglądającą, leciwą, starą panną. W oczach dwojga młodych ludzi, którzy przed chwilą dzięki uprzejmości Jane zawarli z nią znajomość, pojawił się odcień niedowierzania i konsternacji. Obydwoje wyglądali sympatycznie. Charmian Stroud była szczupłą, ciemnowłosą dziewczyną, zaś Edward Rossiter jasnowłosym, przystojnym dryblasem.

— Ogromnie miło nam panią poznać — powiedziała Charmian jednym tchem, ale wyraźnie była rozczarowana. Skierowała pytający wzrok na Jane Helier.

— Kochanie — odezwała się Jane, jakby w odpowiedzi na jej spojrzenie — ona jest po prostu cudowna. Zostawcie to jej. Powiedziałam ci, że ją przyprowadzę, i zrobiłam to. — Zwróciła się do panny Marple: — Wiem, że załatwi to pani dla nich. Dla pani to będzie drobnostka.

Panna Marple skierowała swe pogodne, porcelanowobłękite oczy na pana Rossitera.

— Zechce mi pan opowiedzieć, o co tutaj chodzi? — zapytała.

— Jane jest naszą przyjaciółką — wtrąciła niecierpliwie Charmian. — Jesteśmy z Edwardem w dość trudnej sytuacji. Jane powiedziała, że jeśli przyjdziemy na jej przyjęcie, to przedstawi nas komuś, kto był... kto byłby... kto mógłby...

Edward pospieszył jej z pomocą:

— Jane mówi, że jest pani wyrocznią wśród detektywów, panno Marple!

W oczach leciwej damy pojawił się błysk, ale skromnie zaprotestowała:

— Och, skądże! Nic podobnego. Po prostu kiedy się mieszka na wsi tak jak ja, człowiek dowiaduje się wielu ciekawych rzeczy o ludzkiej naturze. Ale doprawdy zaciekawiliście mnie. Opowiedzcie mi o swoich kłopotach.

— Obawiam się, że to okropnie banalna sprawa — po prostu ukryty skarb — powiedział Edward.

— Rzeczywiście? To brzmi ogromnie podniecająco!

— Wiem, jak w Wyspie Skarbów. Tylko że nasz problem pozbawiony jest tych charakterystycznych, romantycznych dodatków. Nie ma punktu na mapie zaznaczonego czaszką i skrzyżowanymi pischcelami, ani wskazówek w rodzaju: „trzy kroki na lewo, kierunek północno— zachodni”. Sprawa jest okropnie prozaiczna — po prostu chcemy wiedzieć, gdzie powinniśmy kopać.

— A w ogóle próbowaliście?

— Przekopaliśmy około dwóch akrów kwadratowych! Cały teren można śmiało zamienić w warzywny ogród. Właśnie naradzamy się, czy posadzić dynie, czy kartofle.

— Naprawdę możemy wszystko pani opowiedzieć? — zapytała gwałtownie Charmian.

— Ależ oczywiście, moja droga.

— A więc znajdziemy jakieś spokojne miejsce. Chodźmy, Edwardzie. — Wyprowadziła ich z zatłoczonego i zadymionego pokoju, i zabrała do małego saloniku na drugim piętrze.

Gdy tylko zdążyli usiąść, Charmian szybko zaczęła mówić:

— A zatem, historia zaczyna się od wuja Mathew, wuja lub raczej praprawuja dla nas obojga. On był niewiarygodnie stary. Ja i Edward byliśmy jego jedynymi krewnymi. Bardzo nas lubił i zawsze twierdził, że gdy umrze, zostawi nam do podziału swoje pieniądze. Umarł w marcu i pozostawił wszystko, co miał, mnie i Edwardowi. To, co przed chwilą powiedziałam, zabrzmiało może dość chłodno — oczywiście wcale nie uważam, że dobrze się stało, iż zmarł. Tak naprawdę ogromnie go lubiliśmy. Ale był już chory od pewnego czasu. Sęk w tym, że „wszystko”, co pozostawił, praktycznie okazało się niczym. Szczerze mówiąc, był to dla nas cios, nieprawdaż, Edwardzie?

Sympatyczny Edward zgodził się.

— Widzi pani — powiedział — liczyliśmy trochę na te pieniądze. To jest tak — jak człowiek wie, że czeka na niego spora sumka, nie zabiera się poważnie sam do zrobienia pieniędzy. Służę w wojsku, nie mam niczego poza swoją pensją, a Charmian także jest bez grosza. Pracuje w teatrze jako kierownik sceny — nawet interesujące zajęcie i ona je lubi — ale nie ma z tego pieniędzy. Liczyliśmy na to, że Się pobierzemy, i nie martwiliśmy się stroną materialną, wiedząc, że pewnego dnia będziemy już wspaniale sytuowani.

— A teraz, jak pani widzi, nie jesteśmy! — rzuciła Charmian. — Co więcej, Ansteys, naszą rodzinną posiadłość, którą oboje z Edwardem bardzo kochamy, prawdopodobnie będziemy musieli sprzedać. I Edward, i ja czujemy, że nie będziemy mogli tego znieść! Lecz jeśli nie odnajdziemy pieniędzy wuja Mathew, będziemy musieli to zrobić.

— Zauważ, Charmian, że ciągle nie doszliśmy do sedna sprawy — wtrącił Edward.

— A więc opowiadaj.

— Wie pani, chodzi o to — zwrócił się Edward do panny Marple — że wuj Mathew w miarę jak się starzał, stawał się coraz bardziej podejrzliwy. Do nikogo nie miał zaufania.

— To bardzo rozsądne z jego strony — zauważyła panna Marple. — Deprawacja ludzkiej natury jest niewiarygodna.

— Być może ma pani rację. W każdym razie wuj Mathew tak myślał. Miał przyjaciela, który stracił pieniądze w banku, i drugiego przyjaciela, który został zrujnowany przez nieuczciwego doradcę prawnego. Sam wuj również stracił trochę pieniędzy w nieuczciwej spółce: Przyzwyczał się do szczegółowego rozprawiania o tym, że jedyną rozsądną i bezpieczną rzeczą jest zamiana pieniędzy na solidne sztaby złota i zakopanie ich.

— Ach, zaczynam rozumieć — powiedziała panna Marple.

— Przyjaciele spierali się z nim, wyjaśniali mu, że w ten sposób pozbawia się odsetek, ale on utrzymywał, że to w gruncie rzeczy nie ma znaczenia. „Przeważająca część twoich pieniędzy — powiedział — powinna być trzymana w pudełku pod łóżkiem, albo zakopana w ogrodzie”. To były jego słowa.

— I kiedy zmarł — kontynuowała Charmian — prawie nic nie pozostawił w papierach wartościowych, chociaż był bardzo bogaty. Myślmy więc, że musiał wszystko zakopać, tak jak mówił.

— Dowiedzieliśmy się — wyjaśnił Edward — że wuj sprzedał papiery wartościowe i od czasu do czasu podejmował duże sumy, ale nikt nie wie, co z nimi robił. Wydaje się prawdopodobne, że zgodnie ze swoimi zasadami kupił złoto i zakopał.

— Czy zanim umarł, niczego nie powiedział? Nie zostawił żadnej wiadomości, żadnego listu?

— To właśnie jest irytujące. Niczego nie zostawił. Przez kilka ostatnich dni był nieprzytomny, ale nim zmarł, odzyskał świadomość. Patrzył na nas oboje i zaśmiał się — nikłym, słabym chichotem, po czym

odezwał: „Niczego wam nie zabraknie, moje śliczne gołąbki”. A potem delikatnie puknął się w oko — w prawe oko — i mrugnął do nas. Potem zmarł. Biedny, stary wuj Mathew.

— Puknął się w oko — powiedziała w zamyśleniu panna Marple.

— Czy to coś pani mówi? — zareagował żywo Edward. — Mnie to przywodzi na myśl jedną z przygód Arsene'a Łupina, tę ze szklanym okiem, w którym coś było ukryte. Ale wuj Mathew nie miał szklanego oka.

— Nie... — panna Marple potrząsnęła głową. — Nie myślę w tej chwili o niczym.

— Jane zapewniała nas, że pani od razu nam powie, gdzie kopać! — powiedziała Charmian z rozczarowaniem.

— Nie jestem wróżką. — Panna Marple uśmiechnęła się. — Nie znałam waszego wuja, nie wiem, jakiego rodzaju był człowiekiem, nie znam domu ani terenu.

— A jeśliby pani to wszystko wiedziała? — zapytała Charmian.

— To musi być zupełnie proste, czyż nie? — zawyrokowała panna Marple.

— Proste! — zawołała Charmian. — Proszę więc przyjechać do Ansteys, a zobaczy pani, jakie to proste!

Prawdopodobnie nie sądziła, że zaproszenie zostanie potraktowane poważnie, ale panna Marple zareagowała natychmiast:

— Dobrze. Doprawdy, moja droga, to bardzo miło z pani strony. Zawsze chciałam poszukiwać zaginionego skarbu. — I dodała, spoglądając na nich z promiennym, wiktoriańskim uśmiechem: — Dla samej bezinteresownej przyjemności!

— No i widzi pani! — zawołała Charmian, wykonując dramatyczny gest.

Zakończyli właśnie wielki obchód po Ansteys. Obejrzeni tylny ogród — dokładnie przekopany; przemierzili mały lasek, gdzie każde znaczniejsze drzewo zostało okopane dookoła; smutnym wzrokiem ogarnęli pokrytą dołami powierzchnię niegdyś gładkiego trawnika. Zlustrowali zarówno strych — gdzie zawartość starych kufrów i skrzyń została już przetrząśnięta — jak również piwnice, w których nawet kamienne płyty powyrywano z podłoża. Sprawdzili i ostukali ściany; wreszcie pokazali panie Marple wszystkie antyczne meble, które zawierały, albo mogły zawierać ukryte szuflady.

Na stole w saloniku leżał stos papierów. Były tu wszystkie dokumenty, jakie pozostawił po sobie zmarły Mathew Stroud. Nie zniszczono najmniejszego papierka, a Charmian i Edward stale powracali na nowo do dokładnego odczytywania rachunków, zaproszeń i oficjalnej korespondencji, za każdym razem z nową nadzieją, że może nareszcie uda się znaleźć klucz do rozwiązania zagadki.

— Czy przychodzi pani na myśl jakieś miejsce, do którego jeszcze nie zaglądaliśmy? — zapytała Charmian z pewną nadzieją w głosie, ale panna Marple potrząsnęła przecząco głową.

— Wydaje mi się, że byliście niezmiernie dokładni, moi drodzy. Jeśli wolno mi zauważyć — być może nawet zbyt dokładni. Myślę, że zawsze trzeba umieć przewidywać. Przypomina mi się moja przyjaciółka, pani Eldritch. Miała taką miłą pokojówkę, która cudownie polerowała linoleum, ale w wyniku nadmiernej sumiennosci wypolerowała podłogę w łazience do przesady i kiedy pani Eldritch wychodziła z wanny, korkowa mata wysliznęła jej się spod stóp i biedaczka upadła tak niefortunnie, że złamała nogę. Na domiar złego drzwi do łazienki były oczywiście zamknięte, tak więc ogrodnik musiał przystawić drabinę i wejść przez okno, co dla pani Eldritch, niezwykle skromnej kobiety, było doprawdy rozpaczliwie żenujące.

Edward poruszył się niespokojnie.



— Wybaczcie mi, proszę, moje skłonności do dygresji — usprawiedliwiła się szybko panna Marple — ale jedna rzecz przypomina mi o drugiej. Czasami to bardzo pomaga. Staram się tylko powiedzieć, że być może, jeśli wyteżymy nasze umysły i zastanowimy się nad prawdopodobnym miejscem...

— Niech pani bierze pod uwagę tylko jeden mózg. Nasze są zupełnie wyjałowione — wtrącił Edward z niezadowolaniem.

— O Boże, oczywiście, to musi być dla was bardzo męczące. Jeśli nie macie nic przeciwko, przejrzę to wszystko. — Wskazała na leżące na stole papiery. — Oczywiście, jeżeli nie ma tu nic osobistego. Nie chciałabym sprawić wrażenia osoby wścibskiej.

— Ależ naturalnie. Obawiam się jednak, że nic pani nie znajdzie.

Panna Marple usiadła przy stole i zaczęła metodycznie wertować plik dokumentów, sortując je przy okazji na porządne, małe kupki. Kiedy skończyła pracę, siedziała kilka minut nieruchomo, patrząc przed siebie.

— No i co, panno Marple? — zagaił Edward nie bez nutki złośliwości w głosie.

— Och, przepraszam. — Panna Marple otrząsnęła się z chwilowego odrętwienia. — To było bardzo pomocne.

— Znalazła pani coś godnego uwagi?

— Och, nie, nic szczególnego. Natomiast wiem już, jakiego rodzaju człowiekiem był wasz wuj Mathew. Trochę podobny do mojego wuja Henryka, jak sądzę. Miłośnik oczywistych żartów. Kawaler, rzecz jasna... Zastanawiam się, dlaczego — być może rozczarowanie w młodym wieku? Systematycznie roztrząsający wszystkie argumenty, ale niezbyt skorzy do wiązania się — tacy już są niektórzy kawalerowie!

Za plecami panny Marple Charmian dała znak Edwardowi, jakby chciała powiedzieć: Ona jest kompletnie zdziecinniała!

Tymczasem panna Marple z niezmałym spokojem kontynuowała opowiadanie o swym zmarłym wuju Henryku.

— Bardzo lubił wymyślać kalambury, a wielu ludzi kalambury ogromnie złością. Zwykła gra słów może być nieznośnie irytująca. Był również podejrzliwym człowiekiem. Uważał, że służba go stale okrada. Czasami oczywiście tak było, ale nie zawsze. To w nim narastało — biedny człowiek. Przed końcem podejrzewał służących, że go trują, i w efekcie odmówił jedzenia czegokolwiek poza gotowanymi jajkami. Mawiał, że nikt nie jest w stanie manipulować wnętrzem gotowanego jajka. Drogi wuj Henryk, w swoim czasie taki był z niego, wesoły człowiek! Uwielbiał pić kawę po obiedzie i zawsze mówił: „To jest kawa po mauretańsku” — co znaczyło, że jest jej za mało i chciałby dostać jeszcze trochę.

Edward poczuł, że jeśli usłyszy coś więcej o wuju Henryku, to oszaleje.

— Także lubił młodych ludzi — ciągnęła dalej panna Marple — ale miał skłonności do drażnienia się z nimi trochę — jeśli wiecie, co mam na myśli. Na przykład kładł torebki z cukierkami w takich miejscach, żeby dziecko nie mogło dosięgnąć.

— To brzmi okropnie — wtrąciła Charmian, porzucając dobre maniery.

— Och, nie, moja droga, to tylko stary kawaler — rozumie pani — nie przyzwyczajony do dzieci. Doprawdy, był całkiem niegłupi. Trzymał sporą ilość pieniędzy w domu, gdzie miał zamontowany sejf. Robił wiele hałasu wokół niego, stale podkreślając, jakie to bezpieczne urządzenie. I w rezultacie tej gadaniny pewnej nocy włamali się złodzieje i wycięli dziurę w sejfie przy użyciu chemicznego środka.

— Dobrze mu tak! — rzucił Edward.

— Ale w sejfie nic nie było — powiedziała panna Marple. — W rzeczywistości trzymał pieniądze zupełnie gdzie indziej, za tomami kazań w bibliotece. Twierdził, że tego rodzaju książek ludzie nigdy nie wyjmują z półki.

— Właśnie, to jest pomysł — przerwał w podnieceniu Edward. — Co z biblioteką? /

— Sądzisz, że o tym nie pomyślałam? — Charmian potrząsnęła głową z lekceważeniem. — Przerzuciłam wszystkie książki we wtorek w zeszłym tygodniu, kiedy pojechałam do Portsmouth. Wyjęłam każdą po kolei, wytrząsnęłam. Nic tam nie było.

Edward westchnął, po czym wstał, usiłując taktownie pozbyć się gościa, który najwyraźniej ich rozczarował.

— Bardzo miło z pani strony, że pani przyjechała i próbowała nam pomóc — powiedział. — Przykro mi, że sprawa zakończyła się fiaskiem. Mam wrażenie, że niepotrzebnie zajęliśmy pani tyle czasu. Podrzucę panią samochodem, tak że zdąży pani jeszcze na pociąg o piętnastej trzydzieści...

— Och — przerwała mu panna Marple — ale przecież nie znaleźliśmy pieniędzy, nieprawdaż? Nie można się tak poddawać, panie Rossiter. Jeśli na początku ci się nie powiedzie, próbuj i jeszcze raz próbuj.

— Czy to oznacza, że zamierza pani dalej próbować?

— Ścisłe mówiąc, jeszcze nie zaczęłam. „Najpierw złap zająca...” — jak pisze pani Beeton w swojej książce kucharskiej — cudowna książka, ale bardzo kosztowna, większość przepisów zaczyna się tak: „Weź kwartę śmietany i tuzin jaj”. Ale, ale, o czym to ja mówiłam? Ach, tak. My, jakby tu powiedzieć, złapaliśmy naszego zająca — oczywiście, mam na myśli waszego wuja Mathew, i teraz musimy tylko zdecydować, gdzie mógł schować pieniądze. To powinno być całkiem proste.

— Proste? — zdziwiła się Charmian.

— Och, tak, moja droga. Jestem przekonana, że zrobiłby rzecz oczywistą. Sekretna szuflada — oto moje rozwiązanie.

— Nie można włożyć sztab złota do sekretnej szufladki — odezwał się oschle Edward.

— Oczywiście, że nie. Ale nie ma powodu sądzić, że pieniądze są w złocie.

— Ale on zawsze mówił...

— Tak samo jak wuj Henryk o swoim sejfie! Mocno podejrzewani, że to był po prostu kamuflaż. Diamenty, na przykład — one mogą zmieścić się w tajnej szufladzie bez problemu.

— Ale myśmy przeszukali już wszystkie sekretne szuflady. Sprowadziliśmy stolarza-specjalistę, który sprawdził meble.

— Naprawdę, kochani? To mądrze z waszej strony. Sugerowałabym, że najbardziej prawdopodobne miejsce — to biurko waszego wuja. Czy był nim ten wysoki sekretarz przy ścianie?

— Tak. Pokażę go pani. — Charmian podeszła do sekretarzyka i opuściła klapę. Wewnątrz znajdowały się małe przegródki i szufladki. Otworzyła maleńkie drzwiczki pośrodku i dotknęła sprężyny wewnątrz szufladki po lewej stronie. Denko środkowej przegródki zgrzytnęło i wysunęło się do przodu. Charmian wyjęła je, odkrywając poniżej płytki zakamarek. Był pusty.

— Czyż to nie jest zbieg okoliczności? — wykrzyknęła panna Marple. — Wuj Henryk miał taki sam sekretarz, tyle tylko, że jego był z niepolerowanego orzecha, ten zaś jest mahoniowy.

— W każdym razie — powiedziała Charmian — nic tu nie ma, sama pani widzi.

— Przypuszczam — odparła panna Marple — że wasz stolarz to młody człowiek. Nie wiedział wszystkiego. W dawnych czasach ludzie byli bardzo przebiegli, gdy robili sobie skrytki. Otóż istnieje coś takiego jak skrytka w skrytce.

Wyjęła ze swego starannie upiętego siwego koka szpilkę do włosów i wyprostowawszy ją, wetknęła w coś, co wyglądało na maleńką dziurkę wydrążoną przez kornika w bocznej ścianie tajnej skrytki, po czym pokonując niewielki opór, wysunęła małą szufladkę. Wewnątrz znajdował się plik wyblakłych listów i kartka złożonego papieru.

Edward i Charmian rzucili się na znalezisko. Drżącymi palcami Edward rozłożył papier, ale po chwili wypuścił go z rąk z okrzykiem rozgoryczenia.

— Cholerny przepis kucharski. Pieczona szynka! Charmian rozwiązała wstążkę, którą przewiązane były listy. Wyjęła jeden i spojrzawszy na niego, zawołała:

— Listy miłosne!

— Jakież to interesujące! — zareagowała panna Marple z zapalem. — Może dowiemy się, dlaczego wasz wuj nigdy się nie ożenił.

Charmian przeczytała na głos:

Mój zawsze ukochany Mathew, muszę wyznać, że od otrzymania Twojego ostatniego listu czas mi się naprawdę bardzo dłużył. Próbuje zajmować się wyznaczonymi mi zadaniami i stale sobie powtarzam, że jestem naprawdę szczęśliwa, poznając świat, chociaż przyjeżdżając do Ameryki, nie sądziłam, że przyjdzie mi wyjechać aż na te odległe wyspy! — Charmian przerwała: — Skąd to jest? Och! Hawaje! — zawołała, po czym czytała dalej:

Niestety, tubylcy ciągle są nieoświeceni. Żyją w stanie dzikości; chodzą nadzy i większość czasu spędzają napływaniu, tańczeniu i przystrajaniu siebie girlandami kwiatów. Pan Gray nawrócił kilku z nich, ale to żmudna praca i zarówno on, jak i pani Gray stają się coraz bardziej zniechęceni. Ja też chodzę często smutna z przyczyny, która nie powinna być dla Ciebie tajemnicą, drogi Mathew. Niestety, rozłąka jest ciężką próbą dla kochającego serca. Powtórzone przez Ciebie przysięgi i deklaracje uczuć ogromnie mnie uradowały. Teraz i zawsze moje wierne i oddane serce należy do Ciebie, drogi Mathew, i pozostaję na zawsze Twoją prawdziwą miłością — Betty Martin.

P.S. Przesyłam mój list, jak zwykle, na adres naszej wspólnej przyjaciółki, Matildy Graves. Mam nadzieję, że niebiosy wybaczą mi ten mały podstęp.

— Kobieta— misjonarz! — Edward gwizdnął. — A więc to była miłość wuja Mathew. Zastanawiam się, dlaczego nigdy się nie pobrali?

— Wygląda na to, że podróżowała po całym świecie — powiedziała Charmian, przeglądając listy. — Mauritius, różne miejsca. Pewnie zmarła na żółtą febrę albo coś podobnego.

Cichy chichot sprawił, że drgnęli. Panna Marple wyglądała najwyraźniej na bardzo rozbawioną.

— Tak, tak — odezwała się. — Wyobraźcie sobie to teraz! Czytała przepis na pieczoną szynkę. Widząc ich zaciekawione spojrzenia, przeczytała na głos:

— Pieczona szynka ze szpinakiem. Weź ładny kawałek szynki, nadziej goździkami i posyp brązowym cukrem. Piecz na wolnym ogniu. Podawaj z bordiurą z pureé ze szpinaku. — Co o tym sądzicie?

— Dla mnie to brzmi obrzydliwie — oświadczył Edward.

— Och, nie, to mogłoby być bardzo dobre, ale co myślicie o całej sprawie?

— Sądzi pani, że to jest jakiś szyfr? — Twarz Edwarda się ożywiła. Chwycił kartkę. — Spójrz, Charmian, to może być szyfr! Nie ma powodu, żeby chować zwykły przepis kulinarny w tajnej szufladzie.

— Oczywiście — potwierdziła panna Marple. — To bardzo, bardzo znaczące.

— Już wiem, co to może być — niewidzialny atrament! — zawołała Charmian. — Podgrzejmy papier. Włącz grzejnik.

Edward wykonał polecenie, ale żaden ślad pisma nie ukazał się w wyniku tego zabiegu. Panna Marple chrząknęła.

— Doprawdy, uważam, że zbytnio komplikujecie sprawę. Przepis jest tylko wskazówka, że się tak wyrażę. Sądzę, że to listy są ważne.

— Listy?

— A szczególnie podpis — oświadczyła panna Marple. Ale Edward ledwie ją słyszał. Zawołał podniecony:

— Charmian! Chodź tutaj! Ona ma rację. Spójrz — koperty są stare, ale same listy były pisane o wiele później.

— Otóż to — odrzekła panna Marple.

— One są tylko podrobione na stare. Założę się o wszystko, że drogi wujaszek Mat sfabrykował je osobiście.

— Dokładnie tak — powiedziała panna Marple.

— Cała rzecz jest mistyfikacją. Nigdy nie było żadnej kobiety-misjonarza. To musi być szyfr.

— Moje drogie, drogie dzieci, doprawdy nie trzeba tak komplikować sprawy. Wasz wuj był w rzeczywistości bardzo prostodusznym człowiekiem. Po prostu musiał zrobić mały żart — to wszystko.

Po raz pierwszy skoncentrowali na jej słowach całą swoją uwagę.

— Co właściwie pani ma na myśli, panno Marple? — zapytała Charmian.

— Myślę, moja droga, że już w tej chwili trzyma pani pieniądze w ręku.

Charmian wpatrywała się w list.

— Podpis, moja droga. On wyjaśnia wszystko. Przepis jest tylko wskazówką. Odrzucając goździki, brązowy cukier i całą resztę, co pozostaje? Oczywiście — szynka i szpinak! Szynka i szpinak! — to przecież nonsens. Oczywiście więc, że ważne są listy. Zwróćcie uwagę, co wasz wuj zrobił tuż przed śmiercią. Puknął się w oko — powiedzieliście. To daje klucz do rozwiązania zagadki.

— Czy to my jesteśmy szaleni, czy pani? — odezwała się Charmian.

— Z pewnością, moja droga, musiała pani słyszeć wyrażenie oznaczające, że coś nie jest prawdą: „Całe moje oko i Betty Martin”. Czyżby ono w dzisiejszych czasach już całkiem poszło w zapomnienie?

Edward westchnął, spuszczając wzrok na list, który trzymał w ręce.

— Betty Martin...

— Oczywiście, panie Rossiter. Tak jak pan powiedział, nie istnieje i nie istniała taka osoba. Listy zostały napisane przez pańskiego wuja i jestem pewna, że pisanie ich było dla niego świetną zabawą! Pismo na kopertach jest starsze, a więc koperty nie mogły należeć do listów, w każdym razie znaczek na tej, którą pan ma w ręce, pochodzi z 1851 roku. — Zrobiła wymowną przerwę. — 1851 — to wyjaśnia wszystko, nieprawdaż?

— Mnie niczego nie wyjaśnia — odparł Edward.

— Tak, oczywiście. Przypuszczam, że mnie również niewiele by to mówiło, gdyby nie mój cioteczny wnuk Lionel. Taki kochany chłopczyk i zagorzały kolekcjoner znaczków. Wie o nich wszystko. On właśnie opowiedział mi o rzadkich, drogich znaczkach, jakie pojawiają się na aukcjach. Teraz przypominam sobie, że wspominał o niebieskiej dwucentówce z 1851 roku, która osiągnęła wartość około 25000 dolarów. Wyobrażacie sobie? Przypuszczam, że pozostałe znaczki na kopertach są również rzadkie i kosztowne. Bez wątplenia wasz wuj kupował je przez pośredników i starannie zacierał za sobą ślady — jak to się mówi w powieściach detektywistycznych.

Edward jęknął. Usiadł i schował twarz w dłoniach.

— Co się stało? — zapytała Charmian.

— Nic. To tylko ta straszna myśl, że gdyby nie panna Marple, moglibyśmy po dżentelmeński! spalić te listy!

— Ach — powiedziała panna Marple — z tego właśnie ci starsi panowie, którzy uwielbiają robić dowcipy, nigdy nie zdają sobie sprawy. Pamiętam, że wuj Henryk wysłał swojej ulubionej siostrzeńcy pięćofuntowy banknot w prezencie gwiazdkowym. Umieścił go wewnątrz świątecznej karty, skleił ją, a na odwrocie napisał: Serdeczne uściski i najlepsze życzenia. Przykro mi, ale to wszystko na co mnie w tym roku stać. Biedaczka posądziła go o skąpstwo i zirytowana wrzuciła kartę do kominka. No i potem, oczywiście, wuj musiał wysłać jej następny banknot.

Uczucia Edwarda w stosunku do wuja Henryka uległy gwałtownej i kompletnej przemianie.

— Panno Marple — oświadczył — idę po butelkę szampana. Wzniesiemy toast za pani wuja Henryka.

## SZPILKA

Panna Politt ujęła kołatkę wiszącą na drzwiach małego domku i dyskretnie zastukała. Po stosownej przerwie zastukała ponownie. Poprawiła paczkę, która w tym czasie wysunęła się spod jej lewego ramienia. Pakunek zawierał nową, zimową, zieloną suknię pani Spenlow, przygotowaną do miary. Na lewej ręce panny Politt wisiał czarny, jedwabny woreczek mieszczący centymetr krawiecki, poduszczkę do szpilek oraz parę dużych, krawieckich nożyczek.

Panna Politt była wysoką, wychudzoną kobietą o ostrym nosie, ściągniętych ustach i rzadkich, stalowosiwych włosach. Zawahała się, nim posłużyła się kołatką po raz trzeci. Rzuciwszy okiem na ulicę, spostrzegła szybko zbliżającą się postać. Panna Hartnell — wesoła, ogorzała pięćdziesięcioletka, zawołała swoim charakterystycznym tubalnym głosem:

— Dzień dobry, panno Politt!

— Dzień dobry, panno Hartnell — odpowiedziała krawcowa. Jej głos był cienki i nieco pretensjonalny. Swą zawodową karierę zaczynała jako pokojówka. — Przepraszam — ciągnęła — ale nie wie pani przypadkiem, czy pani Spenlow jest w domu?

— Nie mam pojęcia — odrzekła panna Hartnell.

— Widzi pani, niefortunnie się stało. Dziś po południu pani Spenlow miała dokonać przymiarki sukni. Umówiła się na wpół do czwartej.

— Jest już trochę po wpół do czwartej — stwierdziła panna Hartnell, rzucając okiem na zegarek.

— Pukałam trzy razy, ale zdaje się, że nikogo nie ma. Zastanawiam się, czy to możliwe, żeby pani Spenlow wyszła i zapomniała. Z reguły nie zapomina o ustalonych terminach, a tę suknię chciała założyć pojutrze.

Panna Hartnell otworzyła furtkę i podeszła ścieżką do panny Politt stojącej przed drzwiami Laburnam Cottage.

— Dlaczego Gladys nie otwiera? — zdziwiła się. — Ależ oczywiście, przecież to czwartek, Gladys ma wolny dzień. Przypuszczam, że pani Spenlow zasnęła. Pewnie nie zastukała pani wystarczająco głośno. — Chwycając kołatkę, wykonała ogłuszające rata-tata-tat, w dodatku uderzając w drzwi ręką i zawołała donośnym głosem: — Czy jest tam kto?

Nie było odpowiedzi.

— Och, myślę, że pani Spenlow musiała zapomnieć i wyszła — powiedziała cicho panna Politt. — Zajrzę innym razem. — Zaczęła powoli wycofywać się w kierunku furtki.

— Nonsens — orzekła stanowczo panna Hartnell. — Nie mogła wyjść. Spotkałabym ją. Zajrzę przez okno i sprawdzę, czy są jakieś oznaki życia.

Roześmiała się serdecznie, dając do zrozumienia, że to był żart, i zerknęła przez najbliższą szybę, lustrując pobieżnie frontowy pokój — pobieżnie, ponieważ dobrze wiedziała, że pokój ten był rzadko używany. Państwo Spenlow woleli mały salonik położony na tyłach domu.

Lustracja, chociaż pobieżna, osiągnęła jednak swój cel. Panna Hartnell w istocie nie zauważyła żadnych oznak życia. Przeciwnie, zobaczyła przez okno panią Spenlow leżącą na dywaniku przed kominkiem — martwą.

— Oczywiście — powiedziała panna Hartnell, opowiadając później tę historię — udało mi się zachować przytomność umysłu. Ta biedna Politt nie miała by najmniejszego pojęcia, co robić. „Głowa do góry — powiedziałam do niej. — Proszę to zostać, a ja sprowadzę posterunkowego Palka.” — Wspomniała coś, że nie chce zostać sama, ale nie zwróciłam na to najmniejszej uwagi. Trzeba być twardym z tego rodzaju ludźmi. Oni zwykle robią niepotrzebnie dużo zamieszania. Właśnie odchodziłam, gdy za rogiem domu pojawił się pan Spenlow.

W tym miejscu panna Hartnell zrobiła znaczącą przerwę, która pozwoliła zaciekawionym słuchaczom wtrącić pytanie:

— Proszę nam opowiedzieć, jak on wyglądał?

— Szczerze mówiąc — ciągnęła panna Hartnell — od razu coś podejrzewałam. Był za bardzo spokojny. Nie wydawał się w najmniejszym stopniu zdziwiony. Cokolwiek by nie powiedzieć, nie jest rzeczą naturalną, gdy mężczyzna nie okazuje żadnych uczuć, słysząc, że jego żona nie żyje.

Wszyscy zgodzili się z tym stwierdzeniem.

Policja również była tego zdania. Podejrzliwie patrząc na obojętność panna Spenlowa, szybko zainteresowano się, w jaki sposób śmierć małżonki wpłynie na jego sytuację finansową. Kiedy ustalili, że pan Spenlow był współnikiem swej żony i że dziedziczy wszystkie jej pieniądze zgodnie ze sporządzonym przez nią tuż po ślubie testamentem, stali się jeszcze bardziej podejrzliwi.

Panna Marple, leciwa osoba o słodkiej twarzy i — jak niektórzy twierdzili — ciętym języku, mieszkająca w domku obok probostwa, została przesłuchana od razu, w niespełna pół godziny po odkryciu zbrodni.

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym zadać pani kilka pytań — zwrócił się do niej posterunkowy Palk, bębniąc palcami po notesie dla dodania sobie animuszu.

— W związku z zamordowaniem pani Spenlow? — spytała panna Marple.

— Czy wolno mi zapytać, skąd pani się o tym dowiedziała? — Palk wyglądał na zaskoczonego.

— Ryba — odparła panna Marple.

Dla posterunkowego Pałka odpowiedź ta była całkowicie zrozumiała. Prawidłowo wywnioskował, że chłopiec ze sklepu rybnego przyniósł pannie Marple tę wiadomość razem z wieczornym posiłkiem.

— Znalaziono ją leżącą na podłodze w salonie, uduszoną, prawdopodobnie bardzo cienkim paskiem — ciągnęła spokojnie panna Marple. — Cokolwiek to jednak nie było, zostało zabrane.

— Skąd ten młody Fred dowiaduje się wszystkiego... — twarz Pałka wyrażała oburzenie.

— Ma pan szpilkę w mundurze — przerwała mu sprytnie panna Marple.

Posterunkowy Palk spojrział zaskoczony na swą marynarkę.

— Znajdziesz szpilkę i podniesiesz, a dzień szczęście ci przyniesie. — rzucił.

— Mam nadzieję, że tak się stanie. Proszę mi teraz powiedzieć, czym mogę panu służyć?

Posterunkowy Palk odchrząknął, zrobił ważną minę i zerknął do swojego notesu.

— Arthur Spenlow, mąż zmarłej, złożył zeznanie. Twierdzi, że około drugiej trzydzieści zatelefonowała do niego panna Marple z prośbą, by przyszedł do niej około trzeciej piętnaście, ponieważ pragnęła zasięgnąć jego porady. Czy jest to prawdą, proszę pani?

— Absolutnie nie — odparła panna Marple.

— Nie zadzwoniła pani do pana Spenlowa o drugiej trzydzieści?

— Ani o drugiej trzydzieści, ani o żadnej innej godzinie.

— Aha — posterunkowy Palk przygryzł wąsy z wyrazem pełnej satysfakcji na twarzy.

— Co jeszcze powiedział pan Spenlow?

— Zeznał, że wyszedł z domu o trzeciej dziesięć i przyszedł do pani, gdzie został poinformowany przez pani służącą, że „panny Marple nie ma w domu”.

— Ta część jest prawdziwa — stwierdziła panna Marple. — Przyszedł tutaj, ale ja byłam w Instytucie Kobięcym.

— Aha — powiedział znowu posterunkowy Palk.

— Proszę mi powiedzieć, czy podejrzewa pan pana Spenlowa?

— Nie można niczego twierdzić na tym etapie śledztwa, ale na mój gust ktoś — nie wymieniając nazwisk — próbuje być bardzo przebiegły.

— Pan Spenlow? — Panna Marple zamyśliła się. Lubiła tego niedużego, skromnego mężczyznę o chłodnym, konwencjonalnym sposobie wystawiania się. Cieszył się powszechnym szacunkiem. Dotychczas zawsze mieszkał w miastach i było trochę dziwne, że przeniósł się na prowincję. Kiedyś wyznał pannie Marple: „Od najmłodszych lat zawsze myślałem, że pewnego dnia przeniosę się na wieś i będę miał własny ogród. Zawsze bardzo lubiłem kwiaty. Widzi pani, moja żona miała kiedyś kwaciarnię. Tam właśnie zobaczyłem ją po raz pierwszy. Suche stwierdzenie, ale można było sobie wyobrazić ten romantyczny widok — młodszą wówczas i piękniejszą panią Spenlow na tle kwiatów. Tak naprawdę to pan Spenlow zupełnie się nie znał na kwiatach. Nie miał pojęcia o nasionach, o przycinaniu, przesadzaniu, o roślinach jednorocznych i bylinach. Miał tylko swoją wizję — wizję małego ogródka gęsto obsadzonego słodko

pachnącym, różnokolorowym kwieciem. W niemal rozczulający sposób prosił pannę Marple o instrukcje i zapisywał jej wskazówki w swoim notesie.

Był człowiekiem spokojnym i systematycznym. Być może właśnie te cechy sprawiły, że policja zainteresowała się nim, gdy znaleziono jego żonę zamordowaną. Działając cierpliwie i wytrwale, policja dowiedziała się wiele o zmarłej pani Spenlow, a wkrótce wiedziało o tym również całe St. Mary Mead.

Pani Spenlow zaczęła swe zawodowe życie jako pokojówka w dużym domu. Zrezygnowała z tego zajęcia, aby poślubić zastępcę ogrodnika, z którym otworzyła kwiaciarnię w Londynie. Sklep dobrze prosperował, w przeciwieństwie do ogrodnika, który w niedługim czasie rozchorował się i zmarł.

Wdowa prowadziła kwiaciarnię sama i nawet w ambitny sposób ją powiększyła. W dalszym ciągu powodziło jej się bardzo dobrze. Następnie sprzedała sklep, uzyskując za niego godziwą sumkę i powtórnie wyszła za mąż — za pana Spenlowa, jubilera w średnim wieku, który odziedziczył niewielki i borykający się z trudnościami interes. Niedługo po tym sprzedali zakład i przybyli do St. Mary Mead.

Pani Spenlow była kobietą zamożną. Dochody ze swej kwaciarskiej firmy zainwestowała, „idąc za radą sił nadprzyrodzonych”, jak wyjaśniła wszystkim i każdemu z osobna. Duchy doradziły jej z nadspodziewanym znanstwem przedmiotu.

Wszystkie inwestycje pani Spenlow prosperowały, niektóre nawet w całkiem sensacyjnym stylu, Zamiast jednak utwierdzić się w swej wierze w spirytualizm, pani Spenlow zdradziecko porzuciła mediumizm i seansiki, aby pograć się, na krótko, ale za to całym sercem, w jakiejś tajemniczej religii o hinduskiej proveniencji, która polegała na różnych formach głębokiego oddychania. Kiedy jednak przybyła do St. Mary Mead, powróciła rychło na łono prawowitego kościoła anglikańskiego. Dużo czasu spędzała na plebanii i sumiennie uczęszczała na nabożeństwa. Poza tym roztaczała opiekę nad wiejskimi sklepikami, interesowała się lokalnymi wydarzeniami i grywała w brydża.

W sumie monotonne, powszednie życie. I tu — nagle — morderstwo.

Okręgowy komisarz policji, Melchett, wezwał inspektora Slacka. Slack był człowiekiem stanowczym. Kiedy powziął jakąś decyzję, był jej pewien. A teraz miał całkowitą pewność.

— Mąż to zrobił — zawyrokował.

— Tak pan sądzi?

— Jestem zupełnie pewien. Wystarczy na niego spojrzeć. Winny jak całe piekło. Nigdy nie okazał cienia żalu lub uczucia. Wrócił do domu, wiedząc, że ona nie żyje.

— Czy nie próbowałby przynajmniej odgrywać roli zrozpaczonego małżonka?

— Nie on, sir. Jest zbyt zadowolony z siebie. Niektórzy dżentelmeni nie potrafią grać. Są na to zbyt sztywni.

— Jakaś inna kobieta w jego życiu? — zapytał komisarz Melchett.

— Nie znalazłem śladu żadnej. Oczywiście to sprytny typ. Zatarł za sobą ślady. Moim zdaniem po prostu miał dosyć swojej żony. Ona miała pieniądze i — można by powiedzieć — była trudną kobietą we współżyciu. Stałe pochłaniały ją jakieś „izmy” i temu podobne. Z zimną krwią zdecydował się więc jej pozbyć i żyć sobie wygodnie na własną rękę.

— W istocie, tak mogła się sprawa przedstawiać.

— Może pan być pewien, że tak było. Dokładnie przygotował plan. Powiedział, że był do niego telefon...



— Nie można tego sprawdzić — przerwał mu Melchett.

— Nie, sir. To oznacza, że albo on kłamał, albo że rozmowa odbyła się z budki telefonicznej. Tutaj są tylko dwa publiczne telefony — na dworcu i na poczcie. Na pewno nie dzwoniło z poczty. Pani Blade obserwuje każdego, kto wchodzi. W grę może wchodzić dworzec. O drugiej dwadzieścia siedem przyjeżdża pociąg i wtedy robi się trochę zamieszania. Ale on twierdzi, i to jest najważniejsze, że dzwoniła panna Marple, co z pewnością nie jest prawdą. Nie telefonowano z jej domu, a ona sama była wówczas w Instytucie.

— A nie bierze pan pod uwagę, że może ktoś, kto chciał zamordować panią Spenlow, celowo usunął jej męża z drogi?

— Ma pan na myśli młodego Teda Gerarda, nieprawdaż, sir? Rozważałem jego osobę. Napotyamy jednak brak jakiegokolwiek motywu. Nie miał nic do zyskania.

— Bądź co bądź ma niezbyt przyjemny charakter, a na swoim koncie niezłą malwersację.

— Nie przeczę, że z niego nieciekawy typek. Niemniej jednak poszedł do swego szefa i przyznał się do oszustwa. Jego pracodawcy o tym się nie dowiedzieli.

— Członek sekty oksfordzkiej — powiedział Melchett.

— Tak, sir. Nawrócił się i wy kierował na prostą drogę. Przyznał się do posiadania skradzionych pieniędzy. Nie twierdzą, oczywiście, że to nie mogła być przebiegłość z jego strony. Mógł się domyślać, że był podejrzewany, i zdecydował się odegrać skrucę.

— Ma pan sceptyczny umysł, Slack — powiedział komisarz Melchett. — A nawiasem mówiąc, czy w ogóle rozmawiał pan z panną Marple?

— Cóż ona ma z tym wspólnego?

— Och, nic. Ale ona sporo wie. Dlaczego nie utnie pan sobie z nią pogawędki? To bardzo bystra, starsza dama.

— Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chciałem pana zapytać, sir— Slack zmienił temat. — Chodzi o pierwszą pracę zmarłej. Zaczynała jako pomoc domowa w domu sir Roberta Abercrombie'ego. To tam właśnie miała miejsce kradzież biżuterii — szmaragdów wartych grubą forszę. Nigdy ich nie odzyskano. Sprawdziłem to, rzecz wydarzyła się, gdy pani Spenlow tam pracowała, oczywiście wówczas była bardzo młodą dziewczyną. Nie sądzi pan, że była w to zamieszana? Spenlow w tym czasie był jednym z tych nic nie znaczących jubilerów — dobry materiał na pasera. Melchett potrząsnął głową.

— Nie sądzę, żeby się coś w tym kryło. Nawet nie znała Spenlowa w tym czasie. Pamiętani tę sprawę. W kręgach policji panowała opinia, że syn sir Roberta, Jim Abercrombie, był w to zamieszany — okropny, młody hulaka. Miał kupę długów i zaraz po kradzieży wszystkie spłacił. Mówiło się, że przyczyną była jakaś kosztowna kobieta, ale dokładnie nie wiem. Stary Abercrombie nie angażował się zbytnio w sprawę. Próbował nawet odwołać policję.

— To był tylko pewien pomysł, sir — skwitował Slack.

Panna Marple przyjęła inspektora Slacka z zadowoleniem, szczególnie gdy usłyszała, że został przysłany przez komisarza Melchetta.

— Doprawdy, to bardzo miło ze strony pana komisarza. Nie wiedziałam, że mnie pamięta.

— Pamięta panią doskonale. Powiedział mi, że wie pani o wszystkich godnych uwagi wydarzeniach w St. Mary Mead.

— Niezwykle miło z jego strony, ale naprawdę nic nie wiem. Mam na myśli to morderstwo.

— Wie pani, co się mówi na ten temat.

— Och, oczywiście, ale takie powtarzanie bezpodstawnej gadaniny nic nie da, nieprawdaż?

— Rozumie pani, to nie jest oficjalna rozmowa — powiedział Slack, siląc się na jowialny ton. — To tylko poufna pogawędka, można powiedzieć.

— Naprawdę chce pan wiedzieć, co ludzie mówią? Bez względu na to, czy jest w tym choć odrobina prawdy?

— Tak.

— No więc, oczywiście jest ogromnie dużo gadania i domysłów. Utworzyły się właściwie dwa obozy. Jedni twierdzą, że zrobił to mąż. Mąż i żona w pewnym sensie zwykle są najbardziej podejrzani, nie sądzi pan?

— Być może — rzekł ostrożnie inspektor.

— Najbliżsi sobie przeciwnicy, rozumie pan. Poza tym w grę często wchodzi pieniądze. Słyszałam, że to pani Spenlow posiadała pieniądze, i że pan Spenlow zyskuje na jej śmierci. Niestety, na tym niegodziwym świecie ma się nierzadko prawo do najbardziej nieprzychylnych pomówień.

— Dziedziczy niezłą sumkę.

— Właśnie. Mogłoby wydawać się zupełnie prawdopodobne, że udusił żonę, opuścił dom tylnym wyjściem, przyszedł przez pola do mojego domu, udając, że do niego dzwoniłam, a potem wrócił i znalazł żonę zamordowaną, rzekomo w czasie jego nieobecności — w nadziei, oczywiście, że zbrodnia zostanie przypisana jakiemuś włóczędze lub złodziejowi, czyż nie?

Inspektor przytaknął.

— A co z pieniędzmi, i czy ostatnio byli w złych stosunkach...

— Ależ skąd — przerwała mu panna Marple.

— Jest pani tego zupełnie pewna?

— Jeśliby się kłócili, wszyscy by o tym wiedzieli! Ich pokojówka, Gladys Brent, rozniosłaby to po całej okolicy.

— Mogła przecież nie wiedzieć — wtrącił niepewnie inspektor i w odpowiedzi otrzymał uśmiech pełen politowania.

— 1 jest druga szkoła myślenia — ciągnęła panna Marple. — Ted Gerard. Przystojny młodzieniec. Obawiam się, że tacy wywierają większy wpływ, niż powinni. Nasz poprzedni wikary na przykład — cóż za magiczny efekt! Wszystkie dziewczęta chodziły do kościoła zarówno na poranne, jak i na wieczorne nabożeństwa. Wiele starszych kobiet także zaangażowało się niezwykle aktywnie w prace parafii. Robiły mu kapcie i dzięrgały szaliki! Było to cokolwiek żenujące dla biednego młodzieńca. Ale zaraz, o czym to ja mówiłam? Ach, ten młody człowiek — Ted Gerard. Oczywiście sporo się o nim mówi. Często odwiedzał panią Spenlow. Ona sama opowiadała mi, że należał do jakiegoś ugrupowania nazywanego oksfordzką sektą, taki ruch religijny. Oni są bardzo szczerzy i żarliwi. Myślę, że i pani Spenlow była w pewnej mierze pod wrażeniem tego ruchu. — Panna Marple wzięła głęboki oddech, po czym ciągnęła dalej: — Jestem przekonana, że nie ma powodu podejrzewać, iż kryło się w tym coś więcej, ale sam pan wie, jacy są ludzie. Niektórzy są zupełnie pewni, że pani Spenlow była zakochana w tym młodym człowieku, i że pożyczyła mu sporo pieniędzy. Prawdą jest, że widziano go na stacji tego dnia, w pociągu przyjeżdżającym o drugiej dwadzieścia siedem. Ale oczywiście, cóż prostszego, nieprawdaż, wysliznąć się z drugiej strony pociągu,

przejsć na skróty przez ogrodzenie i wokół żywopłotu, i w ogóle nie pojawić się przy wejściu na dworzec. Jeśliby nie chciał być widziany w drodze do domu pani Spenlow. i rzecz jasna, ludzie uważają, że strój pani Spenlow był raczej dziwny.

— Dziwny?

— Nie miała na sobie sukni, tylko kimono. — Panna Marple zarumieniła się. — Dla niektórych ludzi taki ubiór jest dość dwuznaczny, rozumie pan.

— Sądzi pani, że był dwuznaczny?

— Och, nie. Wcale tak nie myślę. Moim zdaniem był całkowicie naturalny.

— Sądzi pani, że był naturalny?

— Tak, zważywszy okoliczności. — Spojrzenie panny Marple było chłodne i pełne zadumy.

— To mogłoby stanowić kolejny motyw dla jej męża. Zazdrość.

— Och, nie, pan Spenlow nigdy nie byłby zazdrosny. Należy do gatunku mężczyzn, którzy nie zwracają uwagi na pewne rzeczy. Gdyby żona go opuściła i zostawiła mu wiadomość przypiętą do poduszeczki do igieł, dopiero wówczas by się zorientował.

Inspektor Slack był zaintrygowany bacznym spojrzeniem panny Marple. Wyczuwał, że wszystkie jej wypowiedzi miały na celu danie mu do zrozumienia czegoś, czego nie rozumiał.

— Czy nie znalazł pan, inspektorze, żadnych wskazówek na miejscu zbrodni? — zapytała z pewnym naciskiem.

— W dzisiejszych czasach ludzie nie zostawiają odcisków palców i popiołu z papierosa, panno Marple.

— Myślę jednak — zasugerowała — że to było morderstwo w starym stylu.

— Co pani przez to rozumie? — rzucił ostro Slack.

— Sądzę, że posterunkowy Palk mógłby panu pomóc — odpowiedziała powoli panna Marple. — Był pierwszą osobą na „miejscu przestępstwa”, jak to się mówi.

Pan Spenlow siedział na leżaku. Sprawiał wrażenie oszołomionego.

— Oczywiście, mogę sobie wyobrazić, co przychodzi do głowy — odezwał się swym ciekawym głosem starego pedanta. — Nie mam już tak dobrego słuchu jak niegdyś, ale wyraźnie usłyszałem, jak mały chłopiec zawołał za mną: „Zyg-zyg, kto tu jest Crippenem?” Odniosłem wrażenie, że uważa, iż to ja, że ja zamordowałem swoją drogą żonę.

— Bez wątplenia właśnie to chciał dać do zrozumienia — powiedziała panna Marple, delikatnie obcinając zwiędłą różę.

— Ale skąd mógł się zrodzić taki pomysł w dziecinnej głowie?

— Niewątpliwie słucha opinii dorosłych. — Panna Marple chrząknęła znacząco.

— Pani... Pani naprawdę uważa, że inni ludzie tak właśnie myślą?

— Prawie połowa mieszkańców St. Mary Mead.

— Ale, droga pani, skąd się wzięły takie pomysły? Byłem szczerze przywiązany do swojej żony. Co prawda, wbrew moim nadziejom, nie polubiła zbytnio życia na prowincji, lecz cóż, idealna zgodność we wszystkim — to nieziszczalny ideał. Zapewniam panią, że odczuwam jej stratę bardzo głęboko.

— Bardzo możliwe. Proszę mi wybaczyć, że panu to mówię, ale nie wygląda pan jednak na cierpiącego małżonka.

Pan Spenlow wyprostował swe szczupłe ciało.

— Droga pani, wiele lat temu czytałem pisma pewnego chińskiego filozofa. Kiedy jego ukochana żona zmarła, nie przestał spokojnie uderzać w gong na ulicy — to taka chińska rozrywka. Przypuszczam, że robił to dokładnie tak samo jak zazwyczaj. Ludzie w mieście ogromnie podziwiali jego hart ducha.

— Ale — wtrąciła panna Marple — ludzie w St. Mary Mead reagują raczej w inny sposób. Chińska filozofia do nich nie przemawia.

— Ale pani rozumie? Panna Marple przytaknęła.

— Mój wuj Henryk — wyjaśniła — był człowiekiem o niezwyklej samokontroli. Jego motto życiowe brzmiało: „Nigdy nie okazuj uczuć”. On również bardzo lubił kwiaty.

— Pomyślałem sobie — powiedział pan Spenlow w przypiływie pewnego zapału — że może mógłbym zrobić pergole po zachodniej stronie domu. Różowe róże i może glicynia. Istnieje taki biały, gwiaździsty kwiat, którego nazwa umknęła mi...

— Mam tu bardzo ładny katalog z obrazkami — powiedziała panna Marple tonem, jakim zwykle przemawiała do swego trzyletniego, ciotecznego wnuka. — Być może ma pan ochotę go przejrzeć. Ja muszę wyjść do miasteczka.

Pozostawiając pana Spenlowa z zadowoleniem studiującego katalog, panna Marple udała się na górę do pokoju, gdzie szybko zapakowała suknię w kawałek brązowego papieru. Następnie opuściła dom i pomaszerowała żwawo w kierunku poczty. Krawcowa, panna Politt, zajmowała mieszkanie nad pocztą.

Ale panna Marple nie udała się prosto do drzwi i na górę. Była akurat druga trzydzieści i, o minutę spóźniony, autobus, do Much Benham zatrzymał się właśnie przed pocztą. To było jednym z wydarzeń dnia w St. Mary Mead. Kierowniczką poczty wybiegła na dwór z paczkami — paczki wiązały się z handlową stroną prowadzonego przez nią interesu, bowiem urząd pocztowy pełnił jednocześnie rolę sklepiku ze słodyczami, tanimi książkami i zabawkami.

Około czterech minut panna Marple pozostawała na poczcie sama.

Kiedy tylko kierowniczką powróciła na swe stanowisko, panna Marple weszła na górę i wyjaśniła pannie Politt, że pragnie przerobić, o ile to możliwe, swoją starą, szarą suknię z krepy zgodnie z obecną modą. Panna Politt obiecała, że zobaczy, co się da zrobić.

Komisarz okręgowy był raczej zdziwiony, gdy mu zaanonsowano pannę Marple. Weszła, już od progu przepaszając:

— Tak mi przykro, doprawdy bardzo przepraszam, że panu przeszkadzam. Wiem, że jest pan bardzo zajęty, ale jednocześnie zawsze był pan dla mnie tak uprzejmy, pułkowniku Melchett, że postanowiłam przyjść do pana zamiast do inspektora S łącka. Chodzi o jedną sprawę, widzi pan, nie chciałabym, żeby posterunkowy Palk wplątał się w jakieś kłopoty. Ściśle mówiąc, przypuszczam, że nie powinien być niczego dotykać.

Pułkownik Melchett był lekko zaskoczony.

— Palk? Posterunkowy z St. Mary Mead, nieprawdaż? Co on takiego zrobił?

— Widzi pan, on podniósł szpilkę. Była przypięta do jego munduru. I w pewnym momencie przyszło mi na myśl, że być może podniósł ją właśnie w domu pani Spenlow.

— W istocie. Ale w końcu, co to jest szpilka? Rzeczywiście podniósł szpilkę leżącą tuż obok ciała pani Spenlow. Wczoraj przyszedł i powiedział o tym Slackowi. Domyślani się, że to pewnie pani go do tego

skłoniła? Oczywiście nie powinien niczego ruszać, ale powiadam, cóż to jest szpilka? Zwykła szpilka — drobiazg, którego może używać każda kobieta.

— O nie, pułkowniku, tu się pan myli. Być może dla mężczyzny wszystkie szpilki są takie same. To była jednak specjalna szpilka — bardzo cienka, z takich, które kupuje się na pudełka, i którymi posługują się głównie krawcowe.

Melchett wpatrywał się w pannę Marple, a w jego oczach pojawił się jakby lekki błysk zrozumienia. Panna Marple z zapalem przytakiwała ruchem głowy.

— Tak, oczywiście. Dla mnie to jest jasne. Była ubrana w kimono, ponieważ miała zamiar przymierzyć nową suknię. Weszła do frontowego pokoju, a panna Politt powiedziała tylko coś na temat rozmiaru i zaraz zarzuciła jej centymetr krawiecki na szyję. A potem pozostało już tylko skrzyżować go i pociągnąć — całkiem proste, jak słyszałam. Następnie panna Politt wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, i stojąc na zewnątrz, zaczęła w nie stukać, tak jak gdyby dopiero co przyszła. Ale szpilka wskazuje, że już była w domu. — I to panna Politt zatelefonowała do Spenlowa?

— Tak. Z poczty — o drugiej trzydzieści, kiedy przyjeżdża autobus i w urzędzie nikogo nie ma.

— Ale, droga panno Marple, dlaczego? — zapytał pułkownik Melchett. — Na litość boską, dlaczego? Nie istnieje morderstwo pozbawione motywu.

— Z tego co słyszałam, i myślę, że pan również o tym wie, motywy zbrodni często odnoszą się do wydarzeń z dalekiej przeszłości. To mi przypomina moich dwóch kuzynów — Anthony'ego i Gordona. Cokolwiek Anthony zrobił, zawsze dobrze na tym wychodził, w przeciwieństwie do Gordona. Konie wyścigowe kulały, akcje spadały, posiadłość traciła na wartości. Moim zdaniem te dwie kobiety razem brały w tym udział.

— W czym?

— W kradzieży. Dawno temu. Słyszałam, że były to bardzo cenne szmaragdy. Pokojówka pani domu i pomocnica domowa. Jedna sprawa bowiem nie została wyjaśniona — skąd pomocnica domowa i ogrodnik, kiedy się pobrali, mieli wystarczająco dużo pieniędzy, żeby założyć kwiaciarnię? I odpowiedź brzmi — z jej części łupu — to chyba odpowiednie określenie. Wszystko jej się dobrze ułożyło. Pieniądz robi pieniądz. Ale ta druga pokojówka pani domu musiała nie mieć szczęścia. Skończyła jako wiejska krawcowa. Wtedy spotkały się znowu. Z początku wszystko układało się pomyślnie, przypuszczam, że dopóki Ted Gerard nie pojawił się na scenie. Widzi pan, pani Spenlow cierpiała z powodu wyrzutów sumienia i popadła w żarliwą religijność. Ten młody człowiek niewątpliwie przekonywał ją, aby „stawiła czoło” i „oczyściła się”, i śmiem twierdzić, że pani Spenlow gotowa była to uczynić. Ale panna Politt rozumiała to inaczej. Doszła do wniosku, że może pójść do więzienia za kradzież, której dopuściła się wiele lat temu. Zdecydowała się więc powstrzymać bieg wypadków. Widzi pan, mam wrażenie, że panna Politt zawsze była raczej złą kobietą. Sądzę, że nawet by nie drgnęła, jeśliby ten miły, głupi pan Spenlow został powieszony.

— Możemy sprawdzić pani teorię do pewnego miejsca — powiedział wolno pułkownik Melchett. — Identyfikacja tej Politt z pokojówką pani Abercrombie, ale...

— Reszta będzie zupełnie łatwa — zapewniła go panna Marple. — Ona jest taką kobietą, która załamie się natychmiast, jeśli postawi się ją wobec prawdy. A poza tym, widzi pan, mam jej centymetr krawiecki. Ukradłam go wczoraj, kiedy przymierzałam suknię. Kiedy zauważy jego brak i dowie się, że ma go policja... Widzi pan, to całkiem ciemna kobieta, pomyśli, że to stanie się dowodem przeciwko niej. — Uśmiechnęła się

do niego zachęcająco. — Nie będzie żadnych kłopotów, zapewniam pana. — Takim samym tonem jego ulubiona ciotka zapewniała go niegdyś, że nie może nie zdać egzaminu wstępnego do Sandhurst. I zdał.

## DOSKONAŁA POKOJÓWKA

— Och, czy mogłabym mówić do pani w tej chwili, proszę pani?

Zdawać by się mogło, że prośba ta jest nieco absurdalna, ponieważ Edna, pokojówka panny Marple, właśnie mówiła do swej chlebodawczyni. Jednakże panna Marple, zaznajomiona z tym dialektem, odpowiedziała bezzwłocznie:

— Oczywiście, Edno, wejdz proszę i zamknij drzwi. O co chodzi?

Edna weszła do pokoju, posłusznie zamknęła drzwi i stanęła niepewnie, kręcąc w palcach róg fartucha i przetykając ślinę.

— Słucham, Edno — zachęciła ją panna Marple.

— Och, proszę pani, chodzi o moją kuzynkę, Gladdie.

— Mój Boże — powiedziała panna Marple, przewidując najgorszy, ale niestety, najbardziej typowy problem. — Jest... jest w kłopotcie?

— Och, nie, proszę pani — zaprzeczyła szybko Edna. — Nic podobnego. Gladdie nie jest dziewczyną tego typu. Ona po prostu jest zmartwiona, ponieważ straciła pracę.

— Och, przykro mi to słyszeć. Pracowała w Old Hall u panny... u panien Skinner, czy tak?

— Tak, proszę pani. Gladdie jest bardzo tym zmartwiona, naprawdę bardzo zmartwiona.

— Gladys przedtem dość często zmieniała miejsce, prawda?

— Tak, proszę pani. Chętnie zmieniała pracę. Nie wyglądało na to, żeby gdzieś osiadła na stałe, ale widzi pani, dotąd zawsze sama wymawiała pracę.

— A tym razem stało się inaczej? — spytała sucho panna Marple.

— Tak i to okropnie ją zdenerwowało.

Panna Marple wyglądała na lekko zdziwioną. Gladys przychodziła czasami, kiedy miała wychodne, do jej kuchni na herbatę. Sprawiała wrażenie dzielnej, zrównoważonej i wesołej dziewczyny.

— Widzi pani — ciągnęła Edna — chodzi o sposób, w jaki to się stało, i jak panna Skinner przy tym wyglądała.

— Jak panna Skinner wyglądała? — dociekała cierpliwie panna Marple.

Wreszcie Edna wyrzuciła z siebie potok informacji:

— To był dla Gladdie straszny szok. Widzi pani, zginęła broszka panny Emily i zrobił się wokół tego niebywały rwetes. Oczywiście, że nikt nie lubi takich rzeczy, są denerwujące, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Gladdie pomagała wszędzie szukać i panna Lavinia powiedziała, że zawiadomi policję; wreszcie broszka się znalazła, była wsunięta w głąb szuflady w toalecie. Gladdie odetchnęła z ulgą, ale zaraz następnego dnia stłukł się talerz i panna Lavinia wyskoczyła z pokoju jak bomba i oświadczyła Gladdie, że daje jej miesięczne wypowiedzenie. Gladdie czuje, że to nie chodziło o talerz — panna Lavinia znalazła po prostu pretekst, żeby zwolnić Gladdie, ponieważ obie z siostrą myślą, że to ona wzięła broszkę, a potem odłożyła ją, bo bała się policji. A Gladdie przecież nie zrobiła czegoś podobnego, nigdy by nie zrobiła — a teraz rozejdą się plotki i wszyscy będą ją obgadywać. Rozumie pani, że to poważna sprawa dla dziewczyny.

Panna Marple skinęła głową. Chociaż nie przypadła jej do gustu porywczność i zaciętrzewienie Gladys, była całkowicie pewna uczciwości dziewczyny i z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak bardzo ta sprawa musiała ją zmartwić.

— Przypuszczam, że nie będzie pani mogła nic na to poradzić? — odezwała się smutno Edna. — Gladdie jest w takim trudnym położeniu.

— Powiedz jej, żeby nie była głupia — rzekła szorstko panna Marple. — Jeśli nie wzięła broszki, czego jestem najzupełniej pewna, nie ma powodu do zmartwienia.

— Ale to się rozejdzie — skwitowała Edna posępnie.

— Po południu będę tamtędy przechodziła — uspokoiła ją panna Marple. — Zamienię słówko z pannami Skinner.

— Och, dziękuję pani — powiedziała Edna.

Old Hall był dużym, wiktoriańskim domem otoczonym parkiem i lasem. Kiedy okazało się, że nie udało się go wydzierżawić ani sprzedać, przedsiębiorczy właściciel podzielił go na cztery mieszkania, każde miało centralne ogrzewanie i ciepłą wodę. Lokatorzy apartamentów mogli korzystać z terenów okalających na zasadzie wspólnej dzierżawy.

Eksperyment powiódł się. Jedno z mieszkań zajmowała bogata i ekscentryczna wiekowa dama razem ze swą pokojówką. Dama owa uwielbiała ptaki i codziennie podejmowała posiłkami skrzydlatą gromadę. Drugi lokal wynajmował emerytowany sędzia z Indii wraz z małżonką. W trzecim zamieszkała młoda para świeżo po ślubie, czwarty zaś zajmowały dopiero od dwóch miesięcy dwie panny o nazwisku Skinner. Lokatorzy trzymali się od siebie z daleka, jako że nie mieli ze sobą nic wspólnego. Słyszano, że właściciel posiadłości był z tego powodu niezmiernie rad. Najbardziej obawiał się przyjaźni ulegających następnie ochłodzeniu i wynikających stąd zażaleń.

Panna Marple знаła wszystkich mieszkańców Old Hall, jakkolwiek żadnego z nich nie znała zbyt dobrze. Starsza siostra Skinner, panna Lavinia, była, jak można by to określić, czynnym członkiem dwuosobowego zespołu. Bowiem młodsza, panna Emily, spędzała większość czasu w łóżku, cierpiąc na rozliczne niedomagania, które według opinii mieszkańców St. Mary Mead były .w dużej mierze wyimaginowane. Jedynie panna Lavinia szczerze wierzyła w cierpliwie znoszone przez siostrę udręki i ochoczo wykonywała polecenia, biegając w tę i z powrotem do miasteczka po rzeczy, na które „moja siostra natychmiast ma ochotę”.

Całe St. Mary Mead uważało, że jeśli panna Emily cierpiałaby choćby w połowie tak bardzo, jak twierdziła, już dawno posłałaby po doktora Haydocka. Ale panna Emily, kiedy jej o tym napomykano, zamykała wyniosłe oczy i szeptała, że jej przypadłość nie jest zwyczajnej natury — wprawiła już w zakłopotanie najwybitniejszych specjalistów w Londynie i dopiero cudowny, ostatni lekarz zaaplikował jej rewolucyjną kurację, po której spodziewa się poprawy zdrowia. Żaden zwykły lekarz ogólny nie mógłby w ogóle zrozumieć jej przypadku.

— Moim zdaniem — powiedziała otwarcie panna Hartnell — to bardzo mądrze z jej strony, że nie posłała po doktora Haydocka. Drogi doktor w swój jowialny sposób powiedziałby jej, że nic jej nie dolega, że powinna wstać i nie zawracać głowy. I to by jej niewątpliwie pomogło!

Panna Emily jednak zignorowała tę arbitralną opinię i nadal wylegiwała się na kanapie w otoczeniu dziwnych pudełeczek z lekarstwami, odmawiając jedzenia niemal wszystkiego, co jej przynoszono, i domagając się w zamian rzeczy zwykle trudnych do dostania.

Drzwi pannie Marple otworzyła Gladdie. Wyglądała na bardziej załamana, niż można się było spodziewać. W salonie (była to część dawnej bawialni, z której wydzielono ponadto jadalnię, łazienkę i kredens kuchenny) pannę Marple powitała panna Lavinia.

Lavinia Skinner była wysoką, chudą, kościstą kobietą około pięćdziesiątki. Miała gruby głos i szorstki sposób bycia.

— Miło mi panią widzieć — rzekła. — Emily leży; czuje się dzisiaj słabo, biedaczka. Mam nadzieję, że panią zobaczy, to by ją podniosło na duchu, ale w tej chwili nie czuje się na siłach. Biedactwo, jest taka cierpliwa.

Panna Marple grzecznie przytaknęła. Służba stanowiła główny temat konwersacji w St. Mary Mead, tak więc nie było trudno skierować rozmowę na ten tor. Panna Marple powiedziała, że dotarło do niej, iż ta miła dziewczyna, Gladys Holmes, odchodzi.

— Od środy za tydzień — zgodziła się panna Lavinia. — Widzi pani, tłucze naczynia. To trudne do zniesienia.

Panna Marple westchnęła i oznajmiła, że w dzisiejszych czasach wszyscy muszą tolerować takie rzeczy. Trudno jest bowiem o służbę na prowincji, i czy w związku z tym panna Skinner uważa, że zrobiła rozsądnie, rozstając się z Gladys?

— Wiem, że trudno o służbę — zgodziła się panna Lavinia. — Młodzi Devereux nie mają nikogo, ale w końcu nie dziwię się — wiecznie skłóceni, jazz przez całą noc, posiłki o różnych porach. Ta dziewczyna nie ma pojęcia o prowadzeniu domu. Współczuję jej mężowi! Larkinsowie właśnie stracili służącą. Oczywiście, temu również się nie dziwię. Sędzia ma te swoje indywidualne przyzwyczajenia — żąda chota hazri, jak to nazywa, o szóstej rano, a pani Larkin stale grymasi. Janet od pani Carmichael jest oczywiście całkowicie zadomowiona, chociaż moim zdaniem to okropna kobieta i całkowicie terroryzuje swoją panią.

— A więc nie sady pani, że powinna jeszcze raz zastanowić się nad Gladys? To naprawdę miła dziewczyna. Znam całą jej rodzinę — uczciwi i czcigodni ludzie.

Panna Lavinia potrząsnęła głową.

— Mam swoje powody — odrzekła z powagą.

— Zginęła pani broszka — szepnęła panna Marple — rozumiem...

— Któż o tym opowiadał? Przypuszczam, że dziewczyna. Szczerze mówiąc, jestem niemal pewna, że ona ją zabrała. Potem przestraszyła się i odłożyła na miejsce, ale, oczywiście, nie można nic powiedzieć, jeśli nie ma się zupełnej pewności. — Zmieniła temat: — Proszę pójść odwiedzić Emily, panno Marple. Jestem pewna, że sprawi jej to przyjemność.

Panna Marple udała się posłusznie za panną Lavinia, która, zapukawszy do drzwi, wprowadziła uroczyście swego gościa do najbardziej okazałego pokoju w mieszkaniu.

Na wpuł zaciągnięte story sprawiały, że w pomieszczeniu było niewiele światła. Panna Emily leżała w łóżku, najwyraźniej lubując się w półmroku i swoich własnych, nieokreślonych cierpieniach.



Nikłe światło pozwalało dojrzeć kruchą, wiotką istotę o twarzy okolonej bujnymi, spiętrzonymi, żółtymi lokami o popielatym odcieniu. Fryzura ta sprawiała wrażenie ptasiego gniazda, z którego żaden szanujący się ptak nie byłby dumny. W powietrzu unosił się zapach wody kolońskiej, stęchłych herbatników i kamfory.

Przymykając oczy, panna Emily słabym, łamiącym się głosem wyjaśniła, że ma dzisiaj „jeden ze swoich złych dni”.

— Najgorszą rzeczą w chorobie jest to — powiedziała panna Emily — że ma się świadomość bycia ciężarem dla otoczenia. Lavinia jest dla mnie taka dobra. Kochana Lawie, nie znoszę wprawdzie sprawiania kłopotu, ale czy mój termofor mógłby zostać napełniony tak, jak lubię — zbyt pełen jest dla mnie za ciężki, a znowu nie napełniony wystarczająco, od razu staje się zimny!

— Przepraszam, kochanie. Daj mi go. Wyleję trochę wody.

— Sama nie wiem, jeśli to zrobisz, może trzeba będzie go znowu napełniać. Chyba nie ma w domu sucharków — nie, nie, nic nie szkodzi. Obejdę się bez nich. Wypiję słabą herbatę bez cytryny. Myślę, że mleko było lekko skwaszone dziś rano. Nie mam na nie ochoty. Zresztą, mniejsza z tym — obejdę się bez herbaty. Czuję się taka słaba. Podobno ostrygi są bardzo pożywne. Zastanawiam się, czy nie miałybyś na nie ochoty? Ależ, nie, nie — to zbyt kłopotliwe zdobyć je o tej porze dnia. Mogę pościć do jutra.

Lavinia opuściła pokój, mrużąc coś pod nosem na temat jazdy na rowerze do miasteczka.

Panna Emily uśmiechnęła się nieznacznie do swego gościa, znów napomykając, jak bardzo nie lubi sprawiać komukolwiek kłopotów.

Tego wieczoru panna Marple oznajmiła Ednie, że niestety, ale jej misja spełza na niczym. Tymczasem, co z pewnym niepokojem zauważyła, pogłoski o nieuczciwości Gladys zaczęły już krążyć po okolicy.

Na poczcie zaczęła ją panna Wetherby.

— Droga Jane, one dały jej pisemne referencje, że jest usłużna, porządna i spokojna, ale nic nie wspomniały o uczciwości. To brzmi dość wymownie! Słyszałam coś o kłopotach z broszka. Coś w tym musi być. Nie zwalnia się w dzisiejszych czasach służącej, jeśli nie chodzi o naprawdę poważną sprawę. Będą miały kłopoty z pozyskaniem następnej. Dziewczęta po prostu nie chcą iść do Old Hall. Są podenerwowane, przychodząc do domów, kiedy mają wychodne.

Widzisz, panny Skinner nikogo nie znajdują. Może w końcu ta nieznośna hipochondryczna wstanie i zacznie coś robić!

Toteż z pewnym smutkiem przyjęto w miasteczku wiadomość, że panny Skinner zaangażowały za pośrednictwem agencji nową pokojówkę, która według powszechnej opinii była wzorem doskonałości.

— Ma bardzo pochlebne referencje z ostatnich trzech lat. Woli pracę na prowincji i nawet zgadza się na mniejszą pensję niż Gladys. Doprawdy czuję, że miałyśmy dużo szczęścia.

— To brzmi zbyt dobrze, żeby było prawdziwe — skomentowała panna Marple, kiedy przekazano jej opinię panny Lavinii, wygłoszoną któregoś dnia w sklepie rybnym.

Potem w St. Mary Mead zaczęły pojawiać się wątpliwości, czy ów wzór doskonałości w ogóle przyjedzie i nie wycofa się w ostatniej chwili.

Wątpliwości te rozwiały się jednak, kiedy domowy skarb w osobie Mary Higgins zajechał taksówką Reeda do Old Hall na oczach całego miasteczka. Trzeba przyznać, że powierzchowność Mary Higgins oraz jej stosowny strój mógł budzić zaufanie.

Kiedy panna Marple następnym razem odwiedziła Old Hall, kompletując obsługę stoisk na organizowaną na plebanii wentę, drzwi otworzyła jej Mary Higgins. Była to kobieta czterdziestoletnia, o schludnie zaczesanych, ciemnych włosach, zaróżowionych policzkach, pulchnej figurze, dyskretnie tuszowanej czarnym strojem. Jak przystało na pierwszorzędną pokojówkę, nosiła biały fartuszek i czepek. Typ służącej w dobrym, starym stylu, jak określiła ją później panna Marple. Miała dźwięczny, stonowany, dostojny głos, tak różny od niskiego, nosowego akcentu Gladys.

Panna Lavinia wyglądała na daleko mniej znękaną niż zazwyczaj. Zakomunikowała, że aczkolwiek żałuje, jednak nie będzie mogła obsługiwać stoiska, ponieważ musi opiekować się siostrą. Tym niemniej zadeklarowała przyzwoity datek pieniężny i cały transport dziecięcych skarpetek.

Wyraz twarzy panny Marple świadczył, że docenia jej poświęcenie.

— Doprawdy, tak wiele zawdzięczamy Mary. Słusznie zrobiłam, pozbywając się tamtej dziewczyny. Mary jest po prostu nieoceniona. Gotuje i służy wyśmienicie, a nasze mieszkanie utrzymuje w idealnej czystości — materace na łóżkach przewraca codziennie. Zaś w stosunku do Emily zachowuje się wręcz cudownie!

Panna Marple zapytała pośpiesznie o zdrowie Emily.

— Och, biedactwo, nie czuje się ostatnio zbyt dobrze. Oczywiście, to nie jej wina, ale czasami sprawia nam trochę kłopotu. Chce, żeby jej coś ugotować, a potem, kiedy posiłek jest gotowy, nie ma nart ochoty, zaś pół godziny później znowu nabiera apetytu, kiedy jedzenie jest już nieświeże i trzeba przyrządzać je od początku. Sporo z tym zachodu, ale na szczęście naszej Mary to zupełnie nie przeszkadza. Mówi, że przyzwyczała się obsługiwać obłożnie chorych i doskonale ich rozumie. To dla nas wielka wygoda.

— Mój Boże, mają panie szczęście — skomentowała panna Marple.

— O tak! Mam wrażenie, że niebiosy nam ją zesłały.

— W moim odczuciu — powiedziała panna Marple — to wszystko brzmi zbyt pięknie, aby było prawdziwe. Cóż, byłabym trochę bardziej ostrożna na pani miejscu.

Lavinia Skinner zdawała się nie pojmować sensu tej uwagi.

— Och, zapewniam panią, że robię wszystko, co w mej mocy, aby czuła się u nas dobrze. Nie wyobrażam sobie, co bym poczęła, gdyby Mary nas opuściła.

— Nie przypuszczam, żeby odeszła, zanim nie będzie do tego gotowa — rzekła panna Marple, patrząc surowym wzrokiem na swoją rozmówczynię.

— Kamień spada z serca, jeśli nie ma się problemów ze służbą, czyż nie? — oświadczyła panna Lavinia.

— A jak się sprawuje mała Edna?

— Pracuje zupełnie nieźle. Oczywiście, nie tak wyśmienicie jak Mary, ale za to wiem o niej wszystko, bo pochodzi stąd.

Kiedy panna Marple wyszła do halu, usłyszała wzbudzony głos chorej:

— Ten kompres jest zupełnie suchy. Doktor Allerton zaznaczył wyraźnie, że trzeba stale go zwilżać. Dobrze, dobrze, proszę już to zostawić. Proszę o filiżankę herbaty i gotowane jajko. Pamiętaj, żeby nie gotowało się dłużej niż trzy i pół minuty. I poproś do mnie pannę Lavinie.

— Panna Emily panią prosi — zwróciła się usłużnie Mary do panny Lavinii, wynurzając się z sypialni. Następnie pośpieszyła asystować do wyjścia pannie Marple.

W nienaganny sposób pomogła pannie Marple założyć płaszcz i wręczyła jej parasolkę. Panna Marple, wzięwszy parasolkę, upuściła ją, a kiedy usiłowała się po nią schylić, upuściła również torebkę. Mary uprzejmie pozbierała różne drobiazgi, które wysypały się z otwartej torby — chusteczkę do nosa, notatnik, staromodną, skórzaną portmonetkę, dwa szylingi, trzy pensy oraz napoczęty, miętowy cukierek, na którego widok panna Marple lekko się zmieszała.

— Och, to zapewne własność synka pani Clement. Pamiętam, że ssał cukierek, kiedy bawił się moją torebką. Musiał go do niej włożyć. Okropnie się lepi, prawda?

— Czy mogę go wyrzucić, proszę pani?

— Och, doprawdy bardzo dziękuję.

Ostatnim przedmiotem zebranych przez Mary z podłogi było małe lustro.

— Jakie szczęście, że się nie stłukło — zawołała z radością panna Marple, po czym wyszła, pozostawiając Mary grzecznie stojącą w drzwiach, z napoczętym cukierkiem w dłoni i twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

Przez następne dziesięć dni St. Mary Mead musiało cierpliwie wysłuchiwać doniesień o niebywałych zaletach pozyskanego przez panny Skinner skarbu. Zaś jedenastego dnia miasteczko przeżyło sensację.

Mary, wzór wszelkich cnót, zniknęła! Posłane łóżko świadczyło, że nikt w nim nie spał, zaś frontowe drzwi zastano uchylone. Musiała wymknąć się po cichu nocą. Ale nie tylko zniknęła sama Mary! Zniknęły równocześnie dwie broszki i pięć pierścionków, wisiorek, bransoletka i cztery broszki panny Emily! I to był dopiero początek nieszczęść.

Młoda pani Devereux straciła brylanty, które trzymała w nie zamkniętej szufladzie, jak również kosztowne futrzane skóry otrzymane w prezencie ślubnym. Sędziemu i jego żonie zabrano kosztowności i pewną sumę pieniędzy. Pani Carmichael została najbardziej poszkodowana. Straciła nie tylko wartościową biżuterię, lecz także przechowywane w domu okazałe oszczędności. Tego wieczoru Janet miała wychodne, zaś jej pani jak zwykle spacerowała po ogrodzie, nawołując ptaki i rozsypując im pokarm. Wyglądało na to, że Mary, doskonała pokojówka, miała podrobione klucze do każdego z mieszkań!

Trzeba przyznać, że to wszystko sprawiło pewną złośliwą satysfakcję mieszkańcom St. Mary Mead. Panna Lavinia nazbyt chępiła się swą cudowną Mary.

— Od samego początku podejrzewałam, moja droga, że to zwykła złodziejka!

Potem nadeszły dalsze rewelacje. Po Mary zaginął wszelki ślad. Agencja, która ją przysłała i gwarantowała za jej referencje, stwierdziła z trwogą, że Mary Higgins, która się do nich zgłosiła i której udzielili swego poparcia, w rzeczywistości nigdy nie istniała. Prawdziwa, Bogu ducha winna Mary Higgins pracowała sobie spokojnie u siostry dziekana kapituły w jakiejś posiadłości w Kornwalii.

— Sprytna szelma — musiał przyznać inspektor Slack. — Moim zdaniem ta kobieta jest członkiem całej szajki. Podobna sprawa miała miejsce w zeszłym roku w Northumberland. Śledztwo utknęło w martwym punkcie i złodziejki nie złapano. Ale w Much Benham postaramy się zadziałać skuteczniej! — Inspektor Slack był człowiekiem pełnym wiary w siebie.

Niemniej jednak minęły tygodnie, a Mary Higgins pozostawała na wolności. Na próżno inspektor Slack dwoił się i troił, zadając tym samym kłam wymowie swego nazwiska\*.

Panna Lavinia nie przestawała płakać, zaś jej siostra popadła w przygnębienie, które zaniepokoiło ją do tego stopnia, że zdecydowała się wreszcie wezwać doktora Haydocka.

Całe miasteczko było niezmiernie ciekawe, co też doktor sądzi o przypadłości panny Emily, ale naturalnie nie wypadało go o to zapytać. Zadowolających informacji dostarczył dopiero pan Meek, pomocnik aptekarza, który spotykał się z Klarą — pokojówką pani Price-Ridley. Dowiedziano się, że doktor Haydock zapisał pannie Emily miksturę z żywicy i waleriany, którą zdaniem pana Meeka aplikowano zwykle symulantom w wojsku!

Wkrótce potem rozeszła się wieść, że panna Emily, niezadowolona z opieki medycznej, uznała, iż stan jej zdrowia wymaga, by przebywała bliżej londyńskich specjalistów znających dobrze jej przypadek. Oświadczyła, że tak będzie również lepiej dla Lavinii. Mieszkanie zostało więc opuszczone.

Kilka dni później panna Marple, zaróżowiona i podniecona, pojawiła się na posterunku policji w Much Benham, aby porozmawiać z inspektorem Slackiem.

Inspektor nie przepadał za panna Marple, ale zdawał sobie sprawę, że komisarz okręgowy, pułkownik Melchett, nie podziela jego uprzedzeń. Postanowił więc, jakkolwiek dość niechętnie, przyjąć pannę Marple.

— Dzień dobry. Czym mogę pani służyć?

— Och, mój Boże, obawiam się, że nie ma pan czasu — powiedziała panna Marple.

— Istotnie, mam dużo pracy — przyznał inspektor Slack — ale chwilę mogę pani poświęcić.

— Och, mam nadzieję, że uda mi się należycie wszystko wyjaśnić. To takie trudne, jasno się wystawić, nie sądzi pan? Nie, być może pan tak nie uważa. Ale ja nie jestem aż tak nowoczesna. Tylko nauczycielka potrafi prosto wyłożyć poczet królów Anglii i wiedzę ogólną... Albo doktor Brewer... Trzy rodzaje chorób pszenicy — rdza, mączniak i... jakaż jest trzecia — czyż nie pleśń?

— Czy ma pani zamiar rozmawiać o pleśni? — zapytał inspektor Slack i zarumienił się z irytacji.

— Och, nie, nie — panna Marple odzegnała się pospiesznie od rozmowy o pleśni. — To tylko przykład, rozumie pan. I jak się wyrabia igły i temu podobne. Znowu zbaczam z tematu. Nigdy nie potrafię się go trzymać. Wracając do sprawy — chodzi o Gladys, pokojówkę panny Skinner.

— Mary Higgins — poprawił inspektor Slack.

— Och, tak, to druga pokojówka. Ale ja mam na myśli Gladys Holmes — dość zuchwała dziewczyna i nazbyt zadowolona z siebie, lecz doprawdy niezmiernie uczciwa. To koniecznie trzeba uwzględnić.

— O ile mi wiadomo, do tej pory nie ma przeciw niej żadnego oskarżenia — wtrącił inspektor.

— Wiem, że nie wniesiono oskarżenia, ale to tylko pogarsza sprawę. Widzi pan, ludzie wyobrażają sobie niestworzone rzeczy. Och, mój Boże, wiedziałam, że wszystko źle wytłumaczę. Przede wszystkim myślę, że ważne jest odnalezienie Mary Higgins.

— Oczywiście — zgodził się inspektor Slack. — Ma pani w związku z tym jakiś pomysł?

— W istocie rzeczy, mam — odparła panna Marple. — Mogę zadać pytanie? Czy odciski palców coś dla pana znaczą?

— Och — westchnął inspektor Slack — niestety, okazała się zbyt sprytna. Większość prac wykonywała, jak się zdaje, w gumowych czy też roboczych rękawiczkach. I była bardzo ostrożna — powycierała wszystko w swojej sypialni i przy zlewie. Nie można było znaleźć ani jednego odcisku palca!

— A jeśli miałby go pan, czy to by coś dało?

— Mogłoby pomóc, proszę pani. Jej odciski palców mogą być znane w Scotland Yardzie. Przypuszczam, że nie jest to jej pierwsza robota!

Panna Marple żywo przytaknęła. Otworzyła torebkę i wyciągnęła niewielkie, tekturowe pudełeczko. Wewnątrz niego znajdowało się owinięte w watę małe lustro.

— To z mojej podręcznej torebki — powiedziała panna Marple. — Są na nim odciski palców pokojówki. Myślę, że będą wyraźne. Dotknęła bardzo lepkiej substancji, zanim wzięła do ręki to lustro.

— Czy zdobyła pani te odciski palców celowo? — inspektor Slack patrzył ze zdziwieniem na pannę Marple.

— Oczywiście.

— A więc podejrzewała ją pani?

— Tak. Wszystko wyglądało zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe. Dałam to do zrozumienia pannie Lavinii, ale ona nie pojęła aluzji! Większość z nas ma wady, a u służących wychodzą na jaw bardzo szybko!

— Tak — odezwał się inspektor Slack, odzyskując równowagę. — Jestem pani wielce zobowiązany. Wyślemy odciski palców do Scotland Yardu i zobaczymy, co oni na to powiedzą.

Przerwał widząc, że panna Marple przechyla lekko głowę i przygląda mu się znacząco.

— Ośmielam się sugerować, inspektorze, czy nie mógłby pan rozejrzeć się trochę bliżej domu?

— Co pani ma na myśli, panno Marple?

— To bardzo trudno wytłumaczyć, ale gdy napotyka pan dziwną rzecz, zauważa ją pan. Aczkolwiek, często dziwne rzeczy stanowią zupełne błahostki. Widzi pan, przez cały czas miałam przecucie; wiem wszystko o Gladys i sprawie z broszką. To uczciwa dziewczyna — nie wzięła jej. Dlaczego więc panna Skinner sądziła, że to ona ukradła? Panna Skinner nie jest głupia. Co to, to nie! Dlaczego tak chętnie pozbyła się dobrej służącej, kiedy tak trudno o służbę? To dziwne.

Zastanawiałam się. Zastanawiałam się długo. I dostrzegłam dziwną rzecz! Panna Emily jest hipochondryczką, ale to pierwsza hipochondryczka, jaką znam, która nie posyła od razu po lekarza. Hipochondrycy uwielbiają lekarzy, a panna Emily wprost przeciwnie!

— Co pani sugeruje, panno Marple?

— Chcę dać do zrozumienia, że panna Lavinia i panna Emily to dziwne osoby. Panna Emily spędza prawie cały dzień w zaciemnionym pokoju. Gotowa jestem założyć się o wszystko, że te jej włosy są po prostu peruką! Wydaje się zupełnie prawdopodobne, że szczupła, blada, siwowłosa, narzekająca panna Emily i ciemna, rumiana, pulchna Mary Higgins są jedną i tą samą osobą. Nikt, o ile mogłam się zorientować, nigdy nie widział razem panny Emily i Mary Higgins. Miała dużo czasu na podrobienie kluczy, dużo czasu na dowiedzenie się wszystkiego o pozostałych mieszkańcach domu. Potem wystarczyło pozbyć się miejscowej dziewczyny. Panna Emily zrobiła błyskawiczny, nocny wypad i przyjechała na stację następnego dnia jako Mary Higgins. Następnie Mary Higgins znika we właściwym momencie i podnosi się straszny rwetes. Powiem panu, gdzie pan ją znajdzie, inspektorze. Na kanapie panny Emily Skinner! Proszę wziąć jej odciski palców, jeśli mi pan nie wierzy, ale przekona się pan, że mam rację! Para sprytnych złodziejek — oto kim są panny Skinner — i bez wątpienia w zмовie z jakąś metą czy meliną paserów, czy jak tam to nazywacie. Ale tym razem nie ujdzie im to na sucho! Nie mogę pozwolić, aby w ten sposób podważano uczciwość naszej miejscowej dziewczyny! Gladys Holmes jest uczciwa jak kryształ i wszyscy się o tym dowiedzą! Do widzenia!

Panna Marple godnym krokiem opuściła pokój, zanim inspektor Slack zdołał wyrwać się z osłupienia.

— No, no — mruknął. — Ciekaw jestem, czy ona ma rację?

Wkrótce okazało się, że znowu miała.

Pułkownik Melchett pogratulował Slackowi skuteczności działania, zaś panna Marple zaprosiła Gladys na herbatkę do Edny i oświadczyła jej poważnie, że warto ustatkować się na dobrej posadzie, jeśli ją dostanie.

## KLĄTWA STAREJ STRÓŻKI

— Jak się dziś pani czuje? — zapytał doktor Haydock swoją pacjentkę.

Panna Marple uśmiechnęła się blado spośród poduszek.

— Myślę, że lepiej, ale czuję się okropnie przygnębiona. Nie opuszcza mnie uczucie, że byłoby lepiej, gdybym umarła. Jestem przecież starą kobietą. Nikt mnie nie potrzebuje i nikt się o mnie nie troszczy.

Doktor Haydock przerwał jej w swój zwykły, szorstki sposób.

— Tak, to typowa reakcja po tego rodzaju grypie. Potrzebuje pani czegoś, co panią oderwie od myślenia o sobie. Czegoś wzmacniającego umysł.

Panna Marple westchnęła i pokiwała głową.

— Co więcej — kontynuował doktor Haydock — przyniosłem to lekarstwo ze sobą! — Położył na łóżku długą kopertę. — Rodzaj zagadki w sam raz dla pani.

— Zagadki? — Panna Marple wyglądała na zainteresowaną.

— Moje literackie wypociny — powiedział doktor, lekko się rumieniąc. — Próbowałem zrobić z tego opowiadanie. On powiedział, ona powiedziała, dziewczyna pomyślała itd. Wydarzenia w tej historii są prawdziwe.

— Ale dlaczego zagadka? — spytała panna Marple. Doktor Haydock uśmiechnął się szeroko.

— Rozwiązanie jej należy do pani. Ciekaw jestem, czy jest pani tak bystra, za jaką uchodzi. — Wypuściwszy tę partyjską strzałę, wyszedł.

Panna Marple wzięła rękopis i zaczęła czytać.

— A gdzie jest panna młoda? — spytała wesoło panna Harmon.

Cała wieś czekała w napięciu na bogatą i piękną młodą żonę, którą Harry Laxton przywiózł z zagranicy. Panowało ogólne przekonanie, że Harry — młody zawadiaka — miał wielkie szczęście. Zawsze traktowano go z pewną pobłażliwością. Nawet właściciele okien, które ucierpiały z powodu nadmiernego używania procy przez małego Harry'ego, stwierdzali, że ich oburzenie mała wobec wyrażonej przez chłopca skruchy. Tłukł szyby, kradł w sadach, zastawiał sidła na króliki, potem popadł w długi i związał się z córką właściciela sklepiu tytoniowego. W końcu został wysłany do Afryki. Wieś zaś — reprezentowana przez różne starzejące się panny — szeptała pobłażliwie: „Co tam! Dziki żrebak! Wyszumi się”.

I rzeczywiście utracjusz powrócił — z tarczą, a nie na tarczy. Mówiono, że Harry Laxton „wszedł na prostą drogę”. Opamiętał się, ciężko pracował i wreszcie poszczęściło mu się. Uderzył w konkury do młodej, bogatej dziewczyny — pół-Angielki, pół-Francuzki — i został przyjęty.

Harry mógł zamieszkać w Londynie albo też nabyć posiadłość w jakimś modnym hrabstwie. Wolał jednak powrócić do tego zakątka na ziemi, który był dla niego prawdziwym domem. Wiedziony sentymentem kupił opuszczoną posiadłość, w oficynie której spędził dzieciństwo.

Kingsdean House pozostawał nie zamieszkanym przez prawie siedemdziesiąt lat. Stopniowo ulegał zniszczeniu i podupadał. Stary stróż wraz z żoną mieszkał w jedynej, nadającej się do tego celu części. Rezydencja była ogromna, nieprzytulna i pretensjonalna. Ogrody porastała dzika roślinność, i otaczały posesję niczym ponurą kryjówkę czarownika.

Oficina zaś, którą wynajmował przez długie lata major Laxton, ojciec Harry'ego, była przyjemnym, bezpretensjonalnym domem. W dzieciństwie Harry włóczył się po całym majątku, znał każdy cal gęstego lasu, a sam stary dom zawsze go fascynował.

Major Laxton zmarł kilka lat temu i sądzić by można, że Harry'ego nic nie powinno przyciągać tu z powrotem, a jednak właśnie do domu swego dzieciństwa Harry przywiózł młodą żonę. Zrujnowany, wiekowy Kingsdean House został rozebrany. Armia robotników i przedsiębiorców budowlanych spadła nań niczym sępy i w zadziwiającym tempie — o, czarodziejska wymowa pieniądza! — nowy, biały dom zajaśniał wśród drzew. Następnie przybyła ekipa ogrodników, po niej zaś przedelfowały ciężarówki z meblami.

Dom był gotów. Wynajęto służbę. Wreszcie elegancka limuzyna przywiozła Harry'ego i panią Laxton przez frontowe drzwi. Pani Price, właścicielka największego domu w okolicy, uważająca się za inspiratorkę życia towarzyskiego w miejscowości, rozesała karty z zaproszeniami na przyjęcie, „aby poznać pannę młodą”. Cała wieś pospieszyła z wizytą.

Było to wielkie wydarzenie. Z tej okazji niektóre damy nawet szyły sobie nowe suknie. Wszyscy byli podnieceni, niecierpliwi, ciekawi poznać tę fantastyczną osobę. Wszystko wyglądało jak w bajce!

Panna Harmon, ogorzala, krzepka stara panna, wyrzuciła z siebie pytanie, przeciskając się przez zatłoczone wejście do salonu. Mała, chuda, zawsze skwaszona panna Brent nerwowo udzieliła informacji:

— Och, moja droga, ona jest po prostu urocza. Ma takie dobre maniere. I jakże młodziutka. Wiesz, budzi się w człowieku nutka zazdrości na widok osoby, która posiada wszystko — urodę, pieniądze, znakomite pochodzenie. Nie ma w niej nic, absolutnie nic pospolitego — i drogi Harry taki oddany!

— Och — westchnęła panna Harmon — to dopiero pierwsze dni!

Cienki nos panny Brent drgnął znacząco.

— Och, moja droga, czy naprawdę uważasz...

— Wszyscy wiemy, jaki jest Harry — odparła panna Harmon.

— Wiemy, jaki był! Spodziewam się, że teraz...

— Ach — przerwała panna Harmon — mężczyźni się nie zmieniają. Oszust zawsze pozostanie oszustem. Znam ich.

— O mój Boże, biedne, młode stworzenie. — Panna Brent wyglądała teraz na o wiele szczęśliwszą. — Przypuszczam, że będzie miała z nim kłopoty. Ktoś naprawdę powinien ją ostrzec. Zastanawiam się, czy słyszała coś o tej historii? Nie jest w porządku, jeśli nic o tym nie wie. To przecież żenujące. Szczególnie, że w miasteczku jest tylko jedna apteka.

Od pewnego czasu córka właściciela trafiki była żoną pana Edge'a, miejscowego aptekarza.

— Byłoby lepiej — kontynuowała panna Brent — gdyby pani Laxton robiła zakupy u Bootsa w Much Benham.

— Przypuszczam — wtrąciła panna Harmon — że zasugeruje to sam Harry Laxton. — Przyjaciółki wymieniły znowu znaczące spojrzenia.

— Jestem przekonana — dodała panna Harmon — że ona powinna wiedzieć.

— Żmije! — z oburzeniem powiedziała Clarice Vane do swego wuja, doktora Haydocka. — Niektórzy ludzie są po prostu żmijami.

Doktor spojrzął z pewnym zaciekawieniem na wysoką, dziewczynę, serdeczną, o impulsywnym sposobie. W jej dużych, brązowych oczach płonął gniew, gdy mówiła:

— Wyglądają jak rozwścieczone koty, robią aluzje, plotkują.

— O Harrym Laxtonie?

— Tak, o jego romansie z córką właściciela trafiki.

— Ach, o to chodzi. — Doktor wzruszył ramionami. — Wielu młodych ludzi ma miłostki tego rodzaju.

— Oczywiście. I to przechodzi. Po co więc stale o tym gadać, przypominać po wielu latach? Zachowują się jak sępy żerujące na padlinie.

— Zapewne masz rację, moja droga. Ale, widzisz, tutaj ludzie mają niewiele tematów do rozmowy, stąd owa skłonność do rozpamiętywania minionych skandali. Ciekaw jestem, dlaczego to ciebie tak bardzo denerwuje?

Clarice Vane zagryzła wargi i zaczerwieniła się. Odpowiedziała dziwnie stłumionym głosem:

— Oni... Oni wyglądają na tak szczęśliwych. Laxtonowie — mam na myśli. Są młodzi i zakochani, i wszystko jest dla nich tak cudowne. Z odrazą myślę, że ich szczęście może zostać zniszczone przez szept, insynuacje i aluzje czynione z niegodziwości.

— Ach, tak. Rozumiem.

— Właśnie ze mną rozmawiał — kontynuowała Clarice. — Jest tak szczęśliwy, pełen zapału, podniecony i tak... wzruszony, że spełnił swe najskrytsze pragnienie i odbudował Kingsdean. Zachowuje się jak dziecko. A ona — och — nie sądzę, by kiedykolwiek coś się jej nie udało w życiu. Zawsze miała wszystko. Widziałeś ją. Co o niej sądzisz?

Doktor nie odpowiedział od razu. Dla innych ludzi Louise Laxton mogła być obiektem zazdrości. Zepsuta wybranka fortuny. Jemu jej widok przywodził jedynie na myśl refren popularnej niegdyś piosenki: Biedna, mała, bogata dziewczynka...

Smukła, delikatna postać z płomiennymi włosami dość mocno skręconymi wokół twarzy i dużymi, niebieskimi oczami o rozmarzonym wyrazie.

Louise była trochę zmęczona. Długi strumień gratulacji znużył ją. Miała nadzieję, że wkrótce będą mogli wyjść. Być może, właśnie teraz Harry to oznajmiał. Patrzyła na niego kątem oka. Wysoki, barczysty, niezmordowany na tym strasznym, nudnym przyjęciu.

Biedna, mała, bogata dziewczynka...

— Uff! — To było westchnienie ulgi.

Harry odwrócił się i spojrzął na żonę z rozbawieniem. Odjeżdżali z przyjęcia.

— Kochanie, co za okropne przyjęcie!



— Tak, straszne. — Harry roześmiał się. — Nie przejmuj się, skarbie. Musieliśmy przez to przejść. Wszystkie te stare baby znają mnie od dziecka. Byłyby niepokieszone, gdyby nie przypatrzyły się tobie z bliska.

— Często będziemy musieli je widywać? — Louise wykrzywiła się.

— Och, nie. Przyjdą z uroczystymi odwiedzinami, złożysz — im rewizyty i nie potrzebujesz sobie więcej nimi głowy zawracać. Możesz zapraszać tu własnych przyjaciół lub robić cokolwiek ci się podoba.

— Czy mieszka tu ktoś interesujący? — spytała Louise po chwili.

— Och, tak — ziemianie. Chociaż oni również mogą cię trochę nudzić. Interesują się głównie sadzonkami, psami albo końmi. Oczywiście, będziesz jeździła konno. Spodoba ci się. W Eddington jest koń, którego musisz zobaczyć. Piękne zwierzę. Świetnie ujeżdżone, bez narowów a pełne energii.

Samochód zwolnił, aby skręcić do bram Kingsdean. Harry gwałtownie szarpnął kierownicą i zaklął. Z ledwością udało mu się ominąć dziwną postać, która pojawiła się niespodziewanie na środku drogi. Stała tam, wygrażając pięścią i krzycząc za nimi.

Louise chwyciła męża za ramię.

— Kto to jest... ta straszna, stara kobieta?

— To stara Murgatroyd. — Harry zmarszczył posępnie brwi. — Ona i jej mąż byli stróżami w starym domu. Mieszkali tam prawie trzydzieści lat.

— Dlaczego wygrażała ci pięścią?

— Ma mi za złe rozebranie domu. — Harry poczerwieniał. — Dostała wymówienie, oczywiście. Jej mąż nie żyje od dwóch lat. Mówią, że od tamtej pory trochę zdziwaczała.

— Czy ona... ona głoduje?

Wyobrażenia Louise były niejasne i nieco melodramatyczne. Bogactwo dystansuje od rzeczywistości.

— Wielki Boże, Louise, cóż za pomysły! — zawołał Harry z oburzeniem. — Przyznałem jej oczywiście okazałą emeryturę i znalazłem dla niej nowy domek.

— A więc o co jej chodzi? — spytała zdezorientowana Louise.

Twarz Harry'ego przybrała niezadowolony wyraz.

— Och, skądże mogę wiedzieć? To jakieś szaleństwo! Kochała ten dom.

— Ale on był całkiem zrujnowany, prawda?

— Oczywiście, rozpadał się na kawałki, dach przeciekał, stanowił zagrożenie. Przypuszczam jednak, że ta ruina coś dla niej znaczyła. Mieszkała tutaj bardzo długo. Och, sam nie wiem. Biedaczka załamała się chyba nerwowo.

— Myślę... Myślę, że ona nas przeklęła — powiedziała niespokojnie Louise. — Och, Harry, wolałabym, żeby tak nie było.

Odtąd miała wrażenie, że całe jej nowe życie prześladuje i zatruwa złowroźna postać starej, szalonej kobiety. Kiedy wyjeżdżała samochodem, kiedy jeździła konno lub spacerowała z psami, zawsze napotykała tę samą skuloną staruszkę w zniszczonym kapeluszu, spod którego wylaziły kosmyki siwych włosów. Stara kobieta nieustannie mamrotała pod nosem przekleństwa.

Louise zaczęła wierzyć, że Harry miał rację — ta kobieta musiała być szalona. Ale to przekonanie nie rozwiązywało problemu. Pani Murgatroyd nigdy nie przekroczyła progu domu, nie posunęła się do wyraźnych gróźb ani też nie próbowała użyć siły. Przycupnięta, stale czaiła się za bramą posiadłości. W tej

sytuacji odwoływanie się do pomocy policji nie miałooby sensu, zresztą Harry Laxton był temu przeciwny. Stwierdził, że to mogłoby jedynie wzbudzić miejscową sympatię dla starej wariatki. W ogóle nie traktował całej sprawy tak poważnie jak Louise.

— Nie przejmuj się tym, kochanie. W końcu zmęczy ją ta głupia zabawa. Być może tylko próbuje na nas swych sztuczek.

— Nieprawda, Harry. Ona... Ona nas nienawidzi. Czuję to. Ona... Ona nam źle życzy.

— Nie jest czarownicą, kochanie, mimo że na taką wygląda. Nie zadręczaj się tym wszystkim.

Louise zamilkła. Teraz, kiedy początkowa gorączka związana z przeprowadzką minęła, czuła się dziwnie samotna i pozbawiona zajęcia. Była przyzwyczajona do życia w Londynie i na Riwierze. Nie знаła życia angielskiej prowincji ani też nie żywiła do niego upodobania. Nie interesowała się Ogrodnictwem, kwiaty potrafiła jedynie układać w wazonie. Tak naprawdę nie przepadała za psami. Sąsiedzi, jakich miała, nudzili ją. Najbardziej polubiła jazdę konną, jeździła z mężem, czasami, kiedy Harry był zajęty, sama. Jeździła wolno po lasach i po drogach, znajdując prawdziwą przyjemność w miękkim chodzie pięknego konia, którego Harry specjalnie dla niej kupił. Lecz nawet Prince Hal, wrażliwy kasztanowy rumak, płoszył się i parskał, mijając skuloną postać wrogo nastawionej kobiety.

Pewnego dnia, będąc na spacerze, Louise zebrała się na odwagę. Przeszła obok pani Murgatroyd udając, że jej nie zauważa, a potem nagle zawróciła i podeszła wprost do niej.

— Co to ma znaczyć? — spytała bez tchu. — O co chodzi? Czego pani chce?

Staruszka zamrugła oczami. Miała chytrą, ciemną cygańską twarz, okoloną kosmykami siwych włosów i kaprawe, podejrzliwe oczy. Louise przeszło przez myśl, czy przypadkiem stara kobieta nie piła.

— Czego chcę, pyta pani? — odezwała się jęklwym, ale groźnym jednocześnie głosem. — Coś podobnego! Tego, co zostało mi zabrane. Kto wyrzucił mnie z Kingsdean? Mieszkałam tam jeszcze, gdy byłam dziewczyną, blisko czterdzieści lat. To była podłość wyrzucić mnie stamtąd i przynieść to tobie i jemu nieszczęście!

— Dostała pani ładny domek i... — Louise urwała.

Kobieta wzniosła rękę do góry.

— Co mi po nim? — wykrzyknęła. — Chcę swego starego kąta i własnego kominka, przed którym siadywałam całe lata. A co się tyczy ciebie i jego, powtarzam ci, nie będzie szczęścia w nowym, pięknym domu. Czarny smutek wokół ciebie! Smutek i śmierć, i moje przekleństwa. Oby ci ta ładna twarz zgniła!

Louise odwróciła się i potykając się zaczęła biec. „Muszę stąd wyjechać — myślała. — Musimy sprzedać dom! Musimy stąd odejść!”

W tej chwili takie rozwiązanie wydało jej się proste. Była zaskoczona, spotykając ze strony Harry'ego całkowite niezrozumienie.

— Odejść stąd? — wykrzyknął. — Sprzedać dom? Z powodu gróźb starej wariatki? Musisz być szalona.

— Nie jestem. Ona... Ona mnie przeraża. Czuję, że coś się stanie.

— Pozostaw panią Murgatroyd mnie — rzekł groźnie Harry Laxton. — Już ja ją uspokoję!

Między młodą panią Laxton i Clarice Vane narodziła się przyjaźń. Różniły się co prawda charakterem i upodobaniami, ale obie były mniej więcej w tym samym wieku i w towarzystwie Clarice Louise odzyskała

spokój ducha. Clarice była osobą niezależną i pewną siebie. Louise wspomniała o sprawie pani Murgatroyd i jej groźbach, ale Clarice zdawała się uważać całe wydarzenie za bardziej dokuczliwe niż groźne.

— To głupia historia — powiedziała — ale wierzę, że to może być dla ciebie bardzo denerwujące.

— Wiesz, Clarice, czasami się okropnie boję. Serce wali mi jak młotem.

— Nonsens, nie możesz pozwolić, aby taka głupia rzecz wprawiała cię w zły nastrój. Ona na pewno wkrótce się tym sama zmęczy.

Louise milczała przez chwilę.

— Co się stało? — spytała Clarice.

Po chwili ciszy Louise wybuchła:

— Nienawidzę tego miejsca! Nienawidzę tu mieszkać! Las i ten dom, i ta okropna cisza w nocy, i te dźwięki wydawane przez sowy. Och, i ludzie, i wszystko inne. „Ludzie? Jacy ludzie? Ludzie we wsi. Te podpatrujące, plotkujące stare panny.

— Co takiego powiedziały? — zapytała ostro Clarice.

— Nie wiem. Nic szczególnego. Ale one mają złośliwe myśli. Kiedy z nimi porozmawiasz, czujesz, że nie można nikomu ufać, nikomu.

— Zapomnij o nich — powiedziała Clarice stanowczo. — Nie mają nic do roboty oprócz plotkowania. Bzdury, o których rozprawiają, są w większości ich wymysłem.

— Żałuję, że w ogóle tu przyjechaliśmy — odezwała się Louise. — Ale Harry’emu tu się tak bardzo podoba. — Jej głos zmiękł.

„Jakże ona go kocha” — pomyślała Clarice i szybko powiedziała:

— Muszę już iść.

— Odwiezie cię samochód. Przyjdź wkrótce.

Clarice zgodziła się. Wizyta przyjaciółki podniosła Louise na duchu. Harry był zadowolony, znajdując żonę w radosnym nastroju, i od tej pory stale ją ponaglał, aby zapraszała Clarice częściej.

— Dobre wieści, kochanie — powiedział pewnego dnia. — Co takiego?

— Załatwiłam problem starej Murgatroyd. Jej syn mieszka w Ameryce. Ustaliłem, że do niego wyjedzie. Zapłacę jej za bilet.

— Och, Harry, to cudownie. Wierzę, że w końcu zacznę lubić Kingsdean.

— Zaczyniesz lubić? Przecież to najcudowniejsze miejsce na ziemi!

Louise lekko zadrżała. Nie mogła tak łatwo pozbyć się zabobonnego strachu.

Jeżeli panie z St. Mary Mead liczyły, że będą miały przyjemność osobiście poinformować młodą żonę o przeszłości jej męża, to ich nadzieje spaliły na panewce wobec szybkiej akcji samego Harry’ego Laxtona.

Panna Harmon i Clarice Vane były w aptece pana Edge’a — jedna kupowała naftalinę, druga kwas borny — kiedy wszedł Harry Laxton z żoną.

Przywitawszy się z paniami, Harry odwrócił się do lady z prośbą o szczoteczkę do zębów. Nagle urwał w pół słowa i zawołał radośnie:

— Kogo to ja widzę! Bella, wprost nie mogę uwierzyć!

Pani Edge, która wyłoniła się z zaplecza, aby obsłużyć licznych klientów, uśmiechnęła się do niego szeroko, pokazując duże, białe zęby. Kiedyś była ładną, przystojną dziewczyną i nadal zachowała ślady

urody, choć przytyła, a rysy jej twarzy zrobiły się nieco pospolite. Gdy się odezwała, oczy jej pełne były ciepła.

— Tak, to ja, Bella. Cieszę się, że cię widzę po tylu latach nieobecności.

— Bella była moją starą miłością — zwrócił się Harry do żony. — Byłem w niej zakochany po uszy. Nieprawdaż, Bello?

— Skoro tak twierdzisz — powiedziała pani Edge.

— Mój mąż jest bardzo szczęśliwy — Louise uśmiechnęła się — widząc znów swoich starych przyjaciół.

— Och, nie zapomnieliśmy o tobie, Harry — zapewniła pani Edge — To brzmi jak bajka — to, że się ożeniłeś i wybudowałeś nowy dom na miejscu zrujnowanego, starego Kingsdean.

— Wyglądasz świetnie i kwitnąco — skomplementował Harry, a pani Edge roześmiała się i odparła, że nic jej nie dolega; a jeżeli chodzi o tę szczerką do zębów...

Clarice, widząc zmieszany wyraz twarzy panny Harmon, pomyślała z triumfem: „Och, dobra robota, Harry. Pokrzyżowałeś im plany”.

Doktor Haydock odezwał się ostro do swej siostrzenicy:

— Co to za brednie o starej Murgatroyd, która wałęsa się wokół Kingsdean, wygraża pięścią i przeklina nowe porządki?

— To nie żadne brednie, ale prawda. Louise jest tym bardzo zdenerwowana.

— Powiedz jej, żeby się nie przejmowała. Kiedy małżonkowie Murgatroyd byli stróżami, stale narzekali na to miejsce. Zostali tam tylko dlatego, że stary Murgatroyd pił i nie mógłby znaleźć innej pracy.

— Powiem jej to — zgodziła się Clarice z powątpiewaniem w głosie. — Myślę, że i tak ci nie uwierzy. Stara kobieta wprost ziele furia.

— Lubiła Harry'ego, kiedy był chłopcem. Nie mogę tego zrozumieć.

— Och, wkrótce się jej pozbędą — stwierdziła Clarice. — Harry płaci za jej przejazd do Ameryki.

Trzy dni później Louise spadła z konia i zabiła się. Świadcami wypadku byli dwaj mężczyźni obsługujący ciężarówkę z pieczywem. Zobaczyli Louise wyjeżdżającą z bramy, zobaczyli starą kobietę, jak wyskakuje na drogę, wymachuje rękami i krzyczy, zobaczyli jak koń rusza, skręca, a potem pędzi szaleńczo przed siebie, przerzucając Louise Laxton przez łeb.

Jeden z nich został przy nieprzytomnej Louise, nie wiedząc co robić, podczas gdy drugi pobiegł do domu po pomoc. Harry Laxton wybiegł z twarzą śmiertelnie bladą. Wymontowali drzwi z ciężarówki i na nich przenieśli Louise do domu. Zmarła, nie odzyskując przytomności, zanim zdążył przybyć lekarz.

(Koniec rękopisu doktora Haydocka)

Kiedy następnego dnia doktor Haydock odwiedził pannę Marple, z zadowoleniem stwierdził, że jego pacjentka jest o wiele bardziej ożywiona, a na jej policzkach zagościł rumieniec.

— A więc, jaki jest werdykt?

— W czymże tkwi problem, doktorze? — odparowała panna Marple. — Droga pani, czyż muszę to pani powiedzieć?

— Przypuszczani — zawyrokowała panna Marple — że jest nim dziwne zachowanie dozorczyń. Dlaczego zachowywała się w taki dziwny sposób? Owszem, ludzie cierpią, pozbawieni starego kąta, ale przecież to

nie był jej dom. W rzeczywistości, gdy tam mieszkała, skarżyła się i narzekała. To wygląda bardzo podejrzanie. A przy okazji, co się z nią stało?

— Uciekła do Liverpoolu. Wypadek ją przestraszył. Doszła do wniosku, że tam może poczekać na swój statek.

— Komuś było to bardzo na rękę— powiedziała panna Marple. — Myślę, że „problem zachowania się dozorczyńi” można łatwo rozwiązać. Przekupstwo, czyż nie?

— To pani rozwiązanie?

— Jeśli zachowywanie się w taki sposób nie było dla niej naturalne, musiała zatem, jak to się mówi, „grać”, a to oznacza, że ktoś jej za to zapłacił.

— I wie pani, kto to był?

— Myślę, że wiem. Obawiam się, że to znów pieniądze. Zauważyłam, że mężczyźni zawsze gustują w jednakowych typach.

— To już dla mnie zbyt mądre.

— Wszystko się ze sobą wiąże. Harry’emu Laxtonowi podobała się Bella Edge — pełna życia brunetka. Taka sama jest pańska siostrzenica, Clarice. Tymczasem jego żona była w zupełnie innym typie — niezaradna blondynka — całkiem nie w jego guście. A więc ożenił się z nią dla pieniędzy. I również z tego powodu ją zamordował!

— Użyła pani słowa „morderstwo”?

— Tak, wygląda na odpowiedniego typu. Atrakcyjny dla kobiet i całkiem pozbawiony skrupułów. Przypuszczam, że chciał zatrzymać pieniądze swej żony i ożenić się z pańską siostrzenicą. Być może widywano go, jak rozmawiał z panią Edge, ale nie sądzę, by darzył ją jeszcze sentymentem. Chociaż zapewne dla własnych celów uczynił wszystko, żeby biedna kobieta tak myślała. Wyobrażam sobie, że wkrótce miał ją pod pantoflem.

— Jak pani sądzi, w jaki sposób ją zamordował?

Panna Marple zapatrzyła się na chwilę przed siebie swymi sennymi, niebieskimi oczami.

— To było bardzo dobrze zaplanowane w czasie — żeby pracownicy piekarza mogli być świadkami. Zobaczyli starą kobietę i oczywiście temu przypisali przestępstwo. Ale wyobrażam sobie, że mógł paść strzał z wiatrówki albo z procy — Harry był dobry w strzelaniu z procy — w momencie, gdy koń mijał bramę. Koń poniósł i zrzucił panią Laxton. — Panna Marple przerwała, marszcząc brwi. — Mogła ponieść śmierć w wyniku upadku, ale tego Harry nie mógł być pewien. Wygląda na człowieka, który dokładnie ustala plan, niczego nie pozostawiając przypadkowi. Pani Edge była w stanie dostarczyć mu coś odpowiedniego bez wiedzy męża. W przeciwnym razie, po cóż by Harry się nią zajmował. Myślę, że miał pod ręką jakiś silny narkotyk, który można było podać nieprzytomnej kobiecie, zanim pan zdążył przybyć, doktorze. W końcu, jeśli kobieta spadła z konia, ma ciężkie obrażenia i umiera, nie odzyskując przytomności, lekarz nie ma powodu niczego podejrzewać, nieprawdaż? Uzna to za szok lub coś podobnego.

Doktor Haydock przytaknął.

— Dlaczego pan jednak coś podejrzewał? — spytała panna Marple.

— Nie wymagało to zbyt wiele sprytu z mojej strony — odparł doktor Haydock. — Banalna, znana prawda — zadowolony z siebie morderca nie zachowuje do końca odpowiednich środków ostrożności. Pocieszałem właśnie pogrążonego w smutku męża, czując cholerne współczucie do faceta, gdy ten rzucił się na kanapę,

aby wykonać trochę aktorskich sztuczek, i wtedy wypadła mu z kieszeni strzykawka do robienia podskórnych zastrzyków. Chwył ją natychmiast i wyglądał na tak przestraszonego, że zacząłem się zastanawiać. Harry Laxton nie używał narkotyków i był w doskonałym stanie zdrowia. Co więc robiła u niego strzykawka? Zrobiłem sekcję zwłok, zakładając różne możliwości. Znalazłem strofantyne. Reszta już była prosta. U Laxtona znaleziono strofantyne, a przesłuchiwana przez policję Bella Edge załamała się i przyznała, że mu ją dostarczyła. W końcu pani Murgatroyd wyznała, że to Harry Laxton wynajął ją do robienia tych historii z przeklinaniem.

— A pańska siostrzenica zdążyła już ochłonać?

— Tak, czuła pociąg do tego faceta, ale sprawa nie zaszła za daleko. — Doktor wziął swój rękopis. — Piątka dla pani, panno Marple. I piątka dla mnie za moje lekarstwo. Wygląda już pani prawie tak samo dobrze jak dawniej.

### MIESZKANIE NA TRZECIM PIĘTRZE

— Do licha! — powiedziała Pat.

Ze wzrastającym niepokojem nerwowo przetrząsała jedwabny fatalaszek, który nazywała wieczorową torebką. Dwaj młodzi mężczyźni i druga dziewczyna obserwowali ją z niepokojem. Wszyscy znajdowali się pod drzwiami mieszkania Patrycji Gamet.

— To się na nic nie zda — powiedziała Pat — Nie ma go tu. Co teraz zrobimy?

— Czymże jest życie bez klucza do zatrasku? — mruknął Jimmy Faulkener.

Był niskim, młodym człowiekiem o szerokich ramionach i łagodnych, niebieskich oczach.

Pat odwróciła się do niego z gniewem.

— Nie żartuj sobie, Jimmy. Sprawa jest poważna.

— Sprawdź jeszcze raz, Pat — odezwał się Donovan Bailey. — Musi tam gdzieś być.

Miał leniwy, przyjemny głos, który pasował do jego smukłej postaci.

— Jeśli w ogóle go zabrałaś — zauważyła druga dziewczyna, Mildred Hope.

— Oczywiście, że go zabrałam — odparła Pat. — Przypuszczam, że dałam go jednemu z was. — Obrzuciła mężczyzn oskarżającym wzrokiem. — Powiedziałam Donovanowi, aby go wziął.

Nie przyszło jej łatwo znaleźć kozła ofiarnego. Donovan stanowczo zaprzeczył, a Jimmy go poparł.

— Sam widziałem, jak wkładałaś go do torebki — powiedział Jimmy.

— A więc musiał wypaść z torebki, kiedy ją podnosiliście. Upuściłam ją raz czy dwa.

— Raz lub dwa! — zawołał Donovan. — Upuściłaś ją co najmniej z tuzin razy, nie licząc zostawienia jej przy każdej możliwej okazji.

— Nie rozumiem, dlaczego wszystko z niej przez cały czas nie wypada — powiedział Jimmy.

— Najważniejsze, jak dostaniemy się do środka? — zauważyła Mildred.

Była rozsądną dziewczyną, która nie zbaczała z prostej drogi. Nie była jednak tak pociągająca jak impulsywna i nieznośna Pat.

Cała czwórka patrzyła bezmyślnie na zamknięte drzwi.

— Może dozorca mógłby nam pomóc? — zasugerował Jimmy. — Czy nie ma on wytrychu albo czegoś podobnego?

Pat potrząsnęła głową. Były tylko dwa klucze. Jeden wisiał w kuchni w mieszkaniu, drugi był — lub raczej powinien być — w tej diabelskiej torebce.

— Gdyby mieszkanie znajdowało się na parterze — jęknęła Pat — moglibyśmy wybić szybę lub coś w tym rodzaju. Donovan, nie chciałbyś zostać włamywaczem?

Donovan grzecznie lecz stanowczo wyraził niechęć zostania włamywaczem.

— Mieszkanie na czwartym piętrze wymaga pewnego zachodu — stwierdził Jimmy.

— A schody przeciwpożarowe? — zasugerował Donovan.

— Nie ma ich.

— Powinny być. Budynek pięciopiętrowy powinien mieć schody przeciwpożarowe.

— Z pewnością — zgodziła się Pat. — Nie pomoże nam jednak zastanawianie się nad tym, czego nie ma. Jakim cudem dostać się do swojego mieszkania?

— Czy nie ma tu czegoś takiego, czym dostawcy wysyłają na górę kotlety i brukselkę? — spytał Donovan.

— Winda towarowa — dopowiedziała Pat. — Owszem, jest, ale to tylko taki druciany koszyk. Poczekajcie, już wiem, winda na węgiel!

— To jest pomysł — odparł Donovan.

— Będzie na pewno zaryglowana — zauważyła pesymistycznie Mildred. — I to w kuchni Pat, od środka.

Ale ta sugestia została natychmiast odrzucona przez Donovana.

— Nie obawiaj się tego — powiedział.

— Nie w kuchni u Pat — dodał Jimmy. — Pat niczego nie zamyka i nie zaryglowuje.

— Nie jest zamknięta — potwierdziła Pat. — Spuściłam dziś rano śmiecie i jestem pewna, że niczego nie zamykałam, a nawet nie kręciłam się w jej pobliżu od tamtej pory.

— Dziś wieczorem to się może nam przydać — wtrącił Donovan. — Tym niemniej, dziecinko, pozwól mi zauważyć, że ten niedbały obyczaj pozostawia cię każdej nocy na łasce włamywaczy — wcale nie kociego rodzaju.

Pat zlekceważyła to ostrzeżenie.

— Chodźmy — zawołała i zaczęła zbiegać w dół po schodach. Wszyscy podążyli za nią. Pat poprowadziła ich przez ciemne pomieszczenie wypełnione dziecinnymi wózkami, następnie przez kolejne drzwi do piwnicy, gdzie znajdowała się winda towarowa. W tej chwili stał tam pojemnik na śmiecie. Donovan wystawił go i sam ostrożnie umiejscowił się na platformie.

— Trochę tu śmierdzi — zauważył, marszcząc nos — ale nic to. Czy udaję się sam na tę wyprawę, czy też idzie ktoś ze mną?

— Idę z tobą — powiedział Jimmy i ustawił się przy boku Donovana. — Mam nadzieję, że ta winda nas utrzyma — dodał z lekkim powątpiewaniem.

— Zapewne nie ważysz więcej niż tona węgla — rzekła Pat, która nie grzeszyła nadmierną orientacją w tabeli miar i wag.

— Jakby nie było, wkrótce się o tym przekonamy — zawołał wesolo Donovan, ciągnąc za linę.

Z głośnym zgrzytem zniknęli z pola widzenia.

— Ta maszyna robi okropny hałas — zauważył Jimmy, kiedy posuwali się w górę w ciemności. — Co sobie pomyślą inni lokatorzy?

— Pomyślą, że to duchy albo włamywacze — powiedział Donovan. — Ciągnięcie tej liny to ciężka praca. Doceniam teraz trud, jaki sobie zadaje furtian w klasztorze. Jimmy, chłopie, czy ty chociaż liczysz piętra?

— O Boże! Nie. Zapomniałem o tym.

— W porządku. Wiem, gdzie jesteśmy. Teraz mijamy trzecie. Następne będzie nasze.

— I za chwilę dowiemy się, że Pat jednak zarygłowała drzwi — wtrącił pesymistycznie Jimmy.

Obawy te były bezpodstawne. Zaledwie Donovan i Jimmy dotknęli ich, otworzyły się przed nimi na oścież i obaj mężczyźni mogli swobodnie wejść do pogrążonej w ciemności kuchni Pat.

— Powinniśmy mieć latarkę do tej bezprawnej, nocnej roboty — zauważył Donovan. — O ile znam Pat, wszystko leży na podłodze. Stłuczemy niezliczoną ilość naczyń, nim dotrzemy do kontaktu. Nie ruszaj się, Jimmy, dopóki nie zapalę światła.

Donovan stąpał ostrożnie po omacku, nie uniknął jednak bolesnego zetknięcia z rogiem kuchennego stołu. — Cholera! — dał się słyszeć zirytowany okrzyk. Dotarł do wyłącznika i po chwili następna „cholera” zabrzmiała w ciemności.

— Co się stało? — zapytał Jimmy.

— Nie ma światła. Myślę, że żarówka się przepaliła. Zaczekaj, zapalę światło w salonie.

Drzwi do salonu znajdowały się na końcu korytarza. Jimmy usłyszał kolejne, stłumione przekleństwa Donovana. Sam ostrożnie torował sobie drogę w poprzek kuchni.

— Co się znowu stało?

— Nie mam pojęcia. Pokoje w nocy wyglądają jak zaczarowane. Wszystko jest na innym miejscu. Krzesła i stoły stoją tam, gdzie ich najmniej oczekujesz. Och, do licha! Znowu się na coś nadziałem!

W tym momencie Jimmy szczęśliwie natrafił na wyłącznik światła. I w tejże chwili dwóch młodych ludzi spojrzęło na siebie w niemym przerażeniu.

To nie był salon Pat. Znajdowali się w niewłaściwym mieszkaniu. Przede wszystkim pokój był dziesięć razy bardziej zatłoczony niż salon Pat, co tłumaczyło zupełną dezorientację Donovana, gdy wielokrotnie natykał się na krzesła i stoły. Pośrodku stał duży, okrągły stół nakryty rypsową serwetą, a okno zdobiła doniczka z aspidistrą. Był to taki rodzaj pokoju, którego właścicielowi — obaj mężczyźni byli tego zupełnie pewni — byłoby trudno cokolwiek wytłumaczyć. W niemym przerażeniu wpatrywali się w stół, na którym leżał niewielki plik listów.

— Pani Ernestine Grant — wyszeptał Donovan, odczytując nazwisko na kopertach. — Boże, ratuj! Czy sądzisz, że nas usłyszała?

— To istny cud, że cię nie słyszała — powiedział Jimmy. — Zważywszy słownictwo, jakiego używałaś, rozbijając się o meble. Na miłość boską, zwiewajmy stąd szybko!

Czym prędzej zgasili światło i na palcach wrócili do windy. Obyło się bez dalszych incydentów, co Jimmy skwitował westchnieniem ulgi, kiedy znaleźli się już w głębi bezpiecznej kryjówki.

— Podoba mi się, gdy kobieta ma dobry, zdrowy sen — stwierdził z aprobatą. — Pani Ernestine Grant zasługuje na pochwałę.

— Wiem już, dlaczego pomyliliśmy piętra — odezwał się Donovan. — Naszą wspinaczkę rozpoczęliśmy przecież z piwnicy. — Pociągnął za linę i winda wystrzeliła w górę. — Dopiero teraz jesteśmy na miejscu.

— Mam nadzieję, że tak jest w istocie — powiedział Jimmy, znowu wychodząc w atramentową ciemność. — Moje nerwy nie zniosłyby następnego szoku.



Nerwy Jimmy'ego nie zostały więcej wystawione na próbę. Błysk światła pokazał im kuchnię Pat i już po chwili mogli wpuścić do środka czekające na zewnątrz dziewczyny.

— Sporo czasu wam to zajęło — powiedziała z wyrzutem Pat. — Czekaliśmy tu z Mildred całe wieki.

— Mieliśmy przygodę — wyjaśnił Donovan. — Mogliśmy wylądować na posterunku policji jako niebezpieczni przestępcy.

Pat weszła do salonu, zapaliła światło i rzuciła swą pelerynę na kanapę. Wysłuchiwała z żywym zainteresowaniem relacji Donovana.

— Cieszę się, że was nie złapała — skomentowała. — Jestem pewna, że to stara zrzęda. Dziś rano dostałam od niej liścik — chce się ze mną zobaczyć, ma jakieś zażalenia. Przypuszczam, że chodzi o moje pianino. Ludzie, którzy nie znoszą pianina nad swoją głową, nie powinni mieszkać w bloku. Donovan, skaleczyłeś się w rękę. Jest cała zakrwawiona. Idź i umyj ją pod kranem.

Donovan spojrzał na swoją rękę ze zdziwieniem i posłusznie wyszedł z pokoju. Po chwili zawołał Jimmy'ego.

— Ej, co się stało? — zapytał Jimmy. — Chyba nie skaleczyłeś się poważnie?

— Wcale się nie skaleczyłem.

W głosie Donovana brzmiała tak niezwykła nuta, że Jimmy wpatrywał się w niego ze zdziwieniem. Donovan wyciągnął umytą rękę i Jimmy mógł stwierdzić, że istotnie nie było na niej śladu zadrapania ani rozcięcia.

— To dziwne — powiedział, zmarszczywszy brwi. — Było całkiem dużo krwi. Skąd ona się wzięła? — I nagle zdał sobie sprawę z tego, co jego bystrzejszy przyjaciel już pojął. — Na Boga! — zawołał. — Musiała być krew w tamtym mieszkaniu — przerwał, zastanawiając się nad wnioskiem, jaki mógł wypływać z tego stwierdzenia. — Jesteś pewien, że to była... krew? A może farba?

Donovan potrząsnął głową.

— To była krew — powiedział i zadrżał.

Spojrzeni po sobie. Te same myśli kłębiły im się w głowie. Jimmy pierwszy zabrał głos.

— Czy nie sądzisz, że powinniśmy wrócić tam i ponownie się rozejrzeć? — zapytał z pewnym zakłopotaniem. — Sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, rozumiesz?

— A co z dziewczynami?

— Nic im nie powiemy. Pat ma zamiar założyć fartuch i usmażyć nam omlet. Zdążymy wrócić, zanim zaczną się zastanawiać, gdzie jesteśmy.

— Chodźmy — zgodził się Donovan. — Mam wrażenie, że powinniśmy to zrobić. Chyba nie stało się nic naprawdę złego. — W głosie Donovana brakowało jednak przekonania.

Weszli do windy i zjechali piętro niżej. Bez większych trudności przemierzili kuchnię i ponownie zapalili światło w salonie.

— To musiało stać się tutaj — powiedział Donovan. — Tutaj musiałem się pobrudzić. W kuchni niczego nie dotykałem.

Rozejrzał się wokół. Jimmy zrobił to samo i obydwaj zmarszczyli brwi. Wnętrze wyglądało porządnie i zwyczajnie. Nie było śladów użycia przemocy czy rozlewu krwi.

Nagle Jimmy poruszył się gwałtownie i chwycił ramię swego towarzysza.

— Spójrz!^

Donovan popatrzył we wskazanym kierunku i z kolei on wydał okrzyk przerażenia. Spod ciężkiej, rypsowej zasłony, wystawała stopa — kobieca stopa w podniszczonym, lakierowanym pantoflu.

Jimmy podszedł do okna i raptownie rozsunął zasłony. We wnęce przy oknie leżało bezwładne ciało kobiety, obok zaś widać było kleistą, ciemną kałużę. Nie było wątpliwości — kobieta nie żyła. Jimmy próbował ją podnieść, lecz Donovan go powstrzymał.

— Lepiej tego nie rób. Nie powinno się niczego dotykać, zanim nie przybędzie policja.

— Policja. Och! Oczywiście. Co za okropna historia, Donovan. Jak myślisz, kim ona jest? Ernestine Grant?

— Na to wygląda. W każdym razie, jeśli jest jeszcze ktoś w tym mieszkaniu, zachowuje się niezwykle cicho.

— Co teraz zrobimy? — zapytał Jimmy. — Wybiegniemy na ulicę i sprowadzimy policjanta, czy też zadzwonimy z mieszkania Pat?

— Lepiej będzie zadzwonić. Chodźmy, możemy równie dobrze wyjść frontowymi drzwiami. Nie mam zamiaru spędzić całej nocy, jeżdżąc w górę i w dół tą cuchnącą windą.

Jimmy wyraził zgodę. Gdy doszli do drzwi, zawahał się.

— Nie sądzisz, że jeden z nas powinien tu zostać, żeby mieć oko na wszystko, nim przyjedzie policja?

— Masz rację. Jeśli zostaniesz, pobiegnę na górę i zatelefonuję.

Wbiegł szybko po schodach i zadzwonił do mieszkania piętro wyżej. Otworzyła mu Pat — bardzo ładna Pat, z zarumienioną twarzą i w kuchennym fartuszk. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

— To ty? Ale jak...? Donovan, co to znaczy? Coś się stało? Wziął jej obie dłonie w swoje.

— Wszystko w porządku, Pat — tylko, widzisz, dokonaliśmy dość nieprzyjemnego odkrycia w mieszkaniu poniżej. Kobieta... nie żyje.

— Och! — westchnęła lekko. — To straszne. Miała atak czy coś takiego?

— Nie. Wygląda na to... raczej wygląda, że została zamordowana.

— Och, Donovan!

— Wiem. To potworne.

Ciągle trzymał jej dłonie. Pozwoliła mu na to, nawet przytuliła się lekko do niego. Kochana Pat, jakże on ją kochał. Czy w ogóle ją obchodził? Czasami myślał, że tak. Czasami obawiał się, że Jimmy Faulkener... Myśl o Jimmym cierpliwie czekającym piętro niżej sprawiła, że poruszył się niespokojnie.

— Pat, kochanie, musimy zawiadomić policję.

— Monsieur ma rację — odezwał się za nim jakiś głos. — A tymczasem być może ja będę mógł służyć niejaką pomocą.

Stali w otwartych drzwiach i wpatrywali się w podest schodów. Mężczyzna stał na schodach prowadzących piętro wyżej. Kiedy zszedł na dół, mogli mu się lepiej przyjrzeć.

Był to niski mężczyzna z bardzo wyrazistymi wąsami i głową w kształcie jaja. Nosił jasny szlafrok i haftowane, domowe pantofle.

— Mademoiselle — powiedział, kłaniając się uprzejmie Patrycji — jak pani zapewne wie, wynajmuję mieszkanie na górze. Lubię mieszkać wysoko... Powietrze... Widok na cały Londyn. Wynajmuję mieszkanie pod nazwiskiem O'Connor, ale nie jestem Irlandczykiem. Nazywam się inaczej. Dlatego właśnie ośmielam

się zaoferować pani swe usługi. Pani pozwoli — Zamaszystym gestem wyciągnął wizytówkę i wręczył ją Pat. Przeczytała nazwisko.

— Pan Herkules Poirot. Och! — Wstrzymała oddech. — Ten Poirot? Sławny detektyw? I naprawdę pan nam pomoże?

— Taki mam zamiar, mademoiselle. Bliski byłem zaoferowania swej pomocy wcześniej dzisiejszego wieczora.

Pat wyglądała na zaskoczoną.

— Słyszałem was, kiedy dyskutowaliście, jak dostać się do pani mieszkania. Potrafię bardzo zręcznie otwierać zamki wytrychem. Nie wątpię, że poradziłbym sobie z tym zamkiem, ale zawahałem się to proponować. Mogłaby pani żywić w stosunku do mnie niepokojące podejrzenia.

Pat roześmiała się.

— A teraz, monsieur — zwrócił się Poirot do Donovan — proszę wejść i zadzwonić na policję. Zejdę do mieszkania piętro niżej.

Pat podążyła za nim. Jimmy'emu, który stał na straży mieszkania, Pat wyjaśniła obecność Poirota. Jimmy zaś opowiedział swoje i Donovan przygody. Detektyw wysłuchał uważnie tej relacji.

— Twierdzi pan, że drzwi do windy nie były zamknięte? Weszliście do kuchni, w której światło nie chciało się zapalić. — To mówiąc, skierował się do kuchni. Nacisnął kontakt. — Tiens! Voilà ce qui est curieux! — powiedział, gdy zabłysło światło. — Teraz działa znakomicie. Zastanawiam się...

Podniósł palec, nakazując milczenie i nasłuchiwał. Ciszę zakłócił słaby dźwięk, był to bez wątpienia odgłos czyjegoś chrapania.

— Ach! — odezwał się Poirot. — La chambre de domestique.

Na palcach przeszedł przez kuchnię w stronę małej spiżarni, gdzie znajdowały się drzwi. Otworzył je i zapalił światło. Pokój rozmiarami przypominał psia budkę, a w zamysłach architekta miała go zamieszkiwać ludzka istota. Na łóżku, zajmującym całą powierzchnię podłogi, leżała na plecach rumiana dziewczyna. Miała szeroko otwarte usta i spokojnie pochrapywała.

Poirot zgasił światło i dał znak do odwrotu.

— Nie obudzi się — stwierdził. — Pozwólmy jej spać, zanim przyjedzie policja.

Kiedy wrócił do salonu, dołączył do nich Donovan.

— Zaraz będzie tu policja — poinformował jednym tchem. — Mamy niczego nie dotykać.

— Nie będziemy niczego dotykać — zgodził się Poirot. — Rozejrzemy się, to wszystko.

Mildred zesłała na dół razem z Donovanem i teraz cała czwórka stała w drzwiach, obserwując z zapartym tchem poczynania detektywa.

— Jednego nie mogę zrozumieć, sir — zaczął Donovan. — W ogóle nie zbliżałem się do okna. Skąd więc wzięła się na moich rękach krew?

— Mój młody przyjacielu, odpowiedź na to pytanie sama rzuca się w oczy. Jakiego koloru jest obrus? Czerwony, prawda? A niewątpliwie dotykał pan ręką stołu.

— To prawda. A więc... — urwał.

Poirot skinął twierdząco głową. Pochylił się nad stołem i pokazał ciemną, czerwoną plamę.

— Tutaj dokonano zbrodni — powiedział z namaszczeniem. — Ciało zostało przeniesione później.

Stał wyprostowany i wolno przesuwiał wzrokiem po pokoju. Nie poruszył się, niczego nie dotknął, tym niemniej czworo obserwujących go młodych ludzi czuło, jak gdyby jego baczne spojrzenie odkrywało sekrety każdego przedmiotu w tym trochę zatęchłym pomieszczeniu.

Herkules Poirot pokiwał głową z satysfakcją, po czym lekko westchnął.

— Widzę... — powiedział.

— Co pan widzi? — spytał zaciekawiony Donovan.

— Widzę — odparł Poirot — to, co niewątpliwie wy także dostrzegacie, że pokój jest przeładowany meblami.

Donovan uśmiechnął się ponuro.

— Musiałem się tu trochę rozpychać — wyznał. — Wszystko znajdowało się na innym miejscu niż u Pat i nie mogłem tego zrozumieć.

— Nie wszystko — zaprzeczył Poirot.

Donovan spojrział na niego pytająco.

— Mam na myśli — usprawiedliwił się Poirot — że pewne rzeczy są z góry zaplanowane. W mieszkaniach w bloku drzwi, okna, kominek w pokojach, które leżą jedno nad drugim są zawsze na tym samym miejscu.

— Czy to nie jest dzielenie włosa na części? — zapytała Mildred. Spoglądała na Poirota z odcieniem pewnej dezaprobaty.

— Zawsze powinno się wyrażać z absolutną dokładnością. Mam na tym punkcie, jak się to mówi, bzika.

Na schodach rozległy się kroki i trzech mężczyzn weszli do mieszkania. Był to inspektor policji, posterunkowy i policyjny lekarz. Inspektor rozpoznał Poirota i powitał go z pełnym uznaniem i szanowaniem. Następnie zwrócił się do pozostałych.

— Będą mi potrzebne zeznania każdego z państwa — zaczął — ale na razie...

— Mała uwaga — przerwał mu Poirot. — Wrócimy do mieszkania na górze i ta oto mademoiselle zrobi nam to, co zamierzała, a mianowicie — omlet. Uwielbiam omlety. A potem, monsieur l'inspecteur, kiedy tutaj pan skończy, przyjdzie pan do nas na górę i zgodnie ze swą wolą zada pytania.

Wszystko zostało stosownie zaplanowane i Poirot wraz z pozostałą czwórką udał się do mieszkania Pat.

— Kochany z pana człowiek — odezwała się Pat. — I dostanie pan wspinały omlet. Naprawdę robię doskonale omlety.

— To dobrze. Pewnego razu, mademoiselle, zakochałem się w pewnej młodej Angielce, która w pewnym stopniu panią przypominała, ale niestety nie umiała gotować. Być może dlatego wszystko dobrze się skończyło. — W jego głosie zabrzmiała nuta smutku i Jimmy Faulkener spojrział na niego z zaciekawieniem.

Kiedy znaleźli się w mieszkaniu Pat, Poirot dołożył jednak wszelkich starań, aby wytworzyć przyjemną, radosną atmosferę. Prawie zapomniano o ponurej tragedii, jaka rozegrała się piętro niżej.

Zdążyli zjeść omlet i należycie go pochwalić, zanim dały się słyszeć kroki inspektora Rice'a. Przybył wraz z lekarzem, zostawiając w mieszkaniu pani Grant posterunkowego.

— Sprawa wygląda na jasną i prostą, monsieur Poirot — zaczął. — Niezbyt w pana stylu, chociaż złapanie tego mężczyzny może okazać się trudne. Chciałbym usłyszeć, w jaki sposób dokonali państwo odkrycia zbrodni.

Donovan i Jimmy jeden przez drugiego zrelacjonowali wydarzenia, które rozegrały się tego wieczoru. Inspektor zwrócił się z wyrzutem do Pat:

— Nie powinna pani zostawiać nie zaryglowanych drzwi do windy. Naprawdę nie powinna pani.

— Więcej tak nie postąpię — powiedziała Pat z drzeniem w głosie. — Ktoś mógłby wejść i zamordować mnie tak jak tę biedną kobietę z dołu.

— Mimo wszystko oni jednak nie weszli tą drogą — odparł inspektor.

— Czy opowie nam pan szczegółowo, co pan odkrył? — zapytał Poirot.

— Nie wiem, czy powinienem... Ale zważywszy, że to pan, panie! Poirot...

— Precisement — powiedział Poirot. — A ci młodzi ludzie... Oni zachowują dyskrecję.

— I tak prasa niebawem dowie się o wszystkim — rzekł inspektor. — W rzeczywistości sprawa nie stanowi żadnej tajemnicy. Zmarła kobieta to pani Grant. Wezwałem dozorcę, aby ją zidentyfikował. Miała około trzydziestu pięciu lat. Siedziała przy stole, kiedy do niej strzelono z automatycznego pistoletu małego kalibru. Morderca siedział prawdopodobnie naprzeciw niej. Upadła do przodu, stąd wzięła się krwawa plama na stole.

— Ale czy ktoś nie powinien usłyszeć wystrzału? — spytała Mildred.

— Pistolet miał tłumik. Nic byście nie słyszeli. Czy słyszeliście krzyk, jaki wydała służąca na wiadomość o śmierci swej pani? Nie. To właśnie dowodzi, że nikt nie mógł niczego usłyszeć.

— Czy służąca powiedziała coś interesującego? — zapytał z ciekawością Poirot..

— To był jej wolny wieczór. Miała własny klucz. Wróciła około dziesiątej. Było cicho. Myślała, że jej pani położyła się spać.

— A więc nie zaglądała do salonu?

— Owszem. Położyła na stole listy, które nadeszły wieczorną pocztą, ale nie zauważyła niczego, tak samo zresztą jak pan Faulkener i pan Bailey. Morderca starannie ukrył ciało za zasłoną.

— Zrobił dziwną rzecz, nie sądzi pan?

Poirot mówił spokojnie, ale w jego głosie było coś takiego, co sprawiło, że inspektor spojrzał badawczo na detektywa.

— Nie chciał, żeby odkryto zbrodnię, zanim sam nie zdąży uciec.

— Być może... Być może... Ale proszę mówić dalej, inspektorze.

— Służąca wyszła o piątej. Doktor twierdzi, że zgon nastąpił w przybliżeniu cztery do pięciu godzin temu. Czy tak, doktorze?

Doktor, który był człowiekiem małomównym poprzestał na potwierdzającym skinieniu głową.

— W tej chwili jest za kwadrans dwunasta. Czas zbrodni można, jak myślę, całkiem dokładnie ustalić. — Wyciągnął zmięty kawałek papieru. — Znaleźliśmy to w kieszeni sukienki zmarłej kobiety. Śmiało można tego dotknąć. Nie ma tu odcisków palców.

Poirot wygładził kartkę. Widniało na niej kilka słów napisanych drobnymi, dokładnymi, drukowanymi literami.

Przyjdę do pani dziś wieczorem o wpół do ósmej. — J. F.

— Zostawił kompromitujący dokument — skomentował Poirot, zwracając kartkę.

— Nie wiedział, że ona ma go w kieszeni — odparł inspektor. — Być może sądził, że go zniszczyła. Mamy dowody, że był człowiekiem ostrożnym. Na pistolecie, który znaleźliśmy pod ciałem zmarłej, również nie było odcisków palców. Zostały bardzo dokładnie wytarte jedwabną chusteczką do nosa.

— Skąd pan wie, że była to jedwabna chusteczka? — zapytał Poirot

— Ponieważ ją znaleźliśmy — powiedział triumfalnie inspektor. — Kiedy zaciągał zasłony, musiała mu niepostrzeżenie wypaść.

Wyjął dużą, białą, jedwabną chustkę do nosa — chustkę w dobrym gatunku. Inspektor nie musiał wskazywać palcem, aby uwagę Poirota przyciągnęło oznakowanie pośrodku. Było staranne i czytelne. Poirot odczytał głośno:

— John Fraser.

— Otóż to — powiedział inspektor. — John Fraser — inicjały J. F. Znamy nazwisko człowieka, którego szukamy, i przypuszczam, że kiedy dowiemy się czegoś więcej o zmarłej kobiecie i jej kontaktach, wkrótce złapiemy go.

— Byłoby dobrze — powiedział Poirot. — Nie, mon cher, jakoś nie sądzę, żeby go łatwo było znaleźć, pańskiego Johna Fräsera. To dziwny człowiek — dokładny, skoro oznakowuje swoje chusteczki i wyciera pistolet, którym dokonuje zbrodni — a jednocześnie nieuważny, jeśli gubi chusteczkę i nie zadaje sobie trudu odnalezienia listu, który go obciąża.

— Działal w popłochu — stwierdził inspektor.

— Możliwe — rzekł Poirot. — Tak, możliwe. Nie widziano go, jak wchodził do budynku?

— Różni ludzie wchodzili i wychodzili w tym czasie. To duże bloki. Przypuszczam, że żadne z was — zwrócił się do pozostałej czwórki — nie widziało nikogo wychodzącego z mieszkania?

Pat potrząsnęła głową.

— Wyszliśmy wcześniej, około siódmej.

— Rozumiem. — Inspektor wstał. Poirot odprowadził go do drzwi.

— Za pozwoleniem, czy mógłbym przeszukać tamto mieszkanie? — zapytał;

— Oczywiście, monsieur Poirot. Znam opinię, jaką mają o panu moi zwierchnicy. Zostawię panu klucz. Mam dwa. Mieszkanie jest puste. Służąca wyniosła się do jakichś krewnych, zbyt wystraszona, żeby zostać tam sama.

— Dziękuję — powiedział Poirot i wrócił do mieszkania zamyślony.

— Nie jest pan zadowolony, panie Poirot? — odezwał się Jimmy.

— Rzeczywiście, nie jestem zadowolony.

Donovan spojrział na niego z ciekawością.

— Co takiego pana niepokoi?

Poirot nie odpowiedział. Przez chwilę milczał, marszcząc brwi, po czym zrobił gwałtowny, niecierpliwy ruch ramionami.

— Życzę pani dobrej nocy, mademoiselle. Musi pani być zmęczona. Miała pani sporo gotowania, prawda?

Pat roześmiała się.

— Tylko omlet. Nie robiłam obiadu. Donovan i Jimmy zabrali nas do małej restauracji w Soho.

— A potem niewątpliwie poszliście do teatru?

— Tak, na „Brązowe oczy Karoliny”.

— „Ach! Powinny być niebieskie oczy — niebieskie oczy mademoiselle.

Zrobił sentymentalny gest i raz jeszcze pożegnał Pat, jak również Mildred, która pozostawała u niej na noc, ponieważ Pat szczerze wyznała, że przeżyłaby horror, spędzając tę, szczególną noc w samotności.

Dwaj młodzi mężczyźni odprowadzili Poirota. Kiedy zamknęli już drzwi i właśnie mieli zamiar go pożegnać, Poirot powstrzymał ich.

— Moi mili, słyszeliście, jak mówiłem, że nie jestem usatysfakcjonowany? Eh bien. to prawda, nie jestem. Idę teraz zrobić małe śledztwo na własną rękę. Czy nie chcielibyście mi towarzyszyć, co?

Jego propozycja spotkała się z pełną entuzjazmu akceptacją. Poirot poprowadził ich piętro niżej i otworzył drzwi otrzymanym od inspektora kluczem. Kiedy weszli, nie skierował się, jak oczekiwali jego towarzysze, do salonu. Udał się prosto do kuchni. W małej wnęce, która służyła do zmywania naczyń, stała duża, żelazna skrzynia. Poirot otworzył ją i zgiąwszy się wpół, zaczął grzebać w niej z energią zajadłego teriera.

Jimmy i Donovan przypatrywali mu się w osłupieniu. Nagle z okrzykiem triumfu wyprostował się. Wysoko w rękę trzymał małą, zakorkowaną butelkę.

— Voilà! — zawołał. — Znalazłem, czego szukałem. — Powąchał ją delikatnie. — Niestety! Jestem enrhumé, mam katar.

Donovan wziął od niego butelkę i sam powąchał, ale nic nie poczuł. Wyciągnął korek i przyłożył nos do butelki, zanim Poirot zdążył krzyknąć, aby go ostrzec.

Natychmiast zwałił się z nóg jak kłoda. Poirot gwałtownym ruchem zdołał złagodzić nieco jego upadek.

— Głupiec! — zawołał. — Cóż za szaleńczy pomysł wyciągać korek! Czyż nie widział, jak ostrożnie obchodzę się z tą butelką? Monsieur... Faulkener... prawda? Czy mógłby pan być tak miły i przynieść trochę brandy? Widziałem karafkę w salonie.

Jimmy pospieszył się, ale zanim wrócił, Donovan już siedział i oświadczył, że czuje się nieźle. Musiał wysłuchać krótkiej lekcji Poirota o konieczności zachowania ostrożności, kiedy wącha się substancję, która może być trująca.

— Sądzę, że już w niczym się nie połapię — odezwał się Donovan, chwiejnie stając na nogi. — Do niczego już tu się nie przydam. Nadal czuję się trochę słabo.

— Zapewne — przyznał Poirot. — Tak będzie lepiej. Pan Faulkener zostanie tu ze mną jeszcze chwilę. Zaraz wrócę.

Odprowadził Donovana do drzwi. Na klatce schodowej zamienili kilka słów. Kiedy Poirot wrócił wreszcie do mieszkania, Jimmy stał w salonie i wodził wokół zagadkowym wzrokiem.

— A więc, panie Poirot — powiedział — co dalej?

— Nic. Sprawa jest zakończona.

— Jak to?

— Wiem już wszystko.

— Mała butelka, którą pan znalazł? — Jimmy wpatrywał się w Poirota.

— Właśnie. Mała butelka.

— Niczego nie pojmuję. — Jimmy pokręcił głową. — Widzę, że z jakiejś przyczyny nie jest pan usatysfakcjonowany dowodami przeciwko temu Johnowi Fraserowi, kimkolwiek on by był.

— Kimkolwiek by był — powtórzył łagodnie Poirot. — Jeśli w ogóle jest kimkolwiek — tak, byłbym zdziwiony.

— Nie rozumiem.

— To tylko nazwisko, nazwisko starannie wydrukowane na chusteczce!

— A list?

— Czy zauważył pan, że napisano go drukowanymi literami? Dlaczego? Ręczne pismo można rozpoznać, a list napisany na maszynie nie jest łatwiejszy do rozpoznania, niż pan sobie może wyobrazić, ale jeśli prawdziwy John Fraser napisałby ten list, te dwie rzeczy by na niego wskazywały! List został napisany celowo i włożony do kieszeni kobiety tak, abyśmy go znaleźli. Nie istnieje taka osoba jak John Fraser.

Jimmy patrzył na niego pytająco.

— Tak więc — kontynuował Poirot — wróciłem do sprawy, która mnie od razu uderzyła. Mówiłem już, że pewne rzeczy w pokojach nad sobą znajdują się w tym samym miejscu. Wymieniłem trzy przykłady. Powinienem być wspomnieć o czwartym — wyłączniki światła, drogi przyjacielu.

Jimmy nadal wytrzeszczał oczy, nic nie pojmując.

— Pański przyjaciel Donovan — kontynuował Poirot — nie podchodził do okna. Opierając rękę na stole, pobrudził ją krwią! Od razu zastanowiło mnie, dlaczego ją tam oparł? Dlaczego błąkał się po pokoju po omacku? Pamiętaj, przyjacielu, kontakty są zawsze w tym samym miejscu — przy drzwiach. Dlaczego więc od razu, kiedy wszedł do pokoju, nie znalazł kontaktu i nie zapalił światła? Była to przecież naturalna, normalna rzecz, którą powinien był zrobić. Próbował zapalić światło w kuchni — bez powodzenia. A jednak, kiedy ja sprawdziłem kontakt, działał bez zarzutu. Czyżby więc później nie potrzebował światła? Gdyby działało, od razu zorientowalibyście się, że pomyliliście mieszkania. Nie byłoby powodu, aby wchodzić do tego pokoju.

— Do czego pan zmierza, panie Poirot? Nie rozumiem. Co pan ma na myśli?

— Mam na myśli — to. — Poirot wyjął klucz Yale.

— Klucz do tego mieszkania?

— Nie, mon ami, klucz do mieszkania piętro wyżej. Klucz mademoiselle Patrycji, który pan Donovan Bailey wykradł jej z torebki dzisiejszego wieczoru.

— Ale po co...? Dlaczego?

— Parbleu! Aby mógł zrobić to, co chciał zrobić” — wejść do tego mieszkania w sposób absolutnie nie budzący podejrzeń. Wcześniej już upewnił się, że drzwi do windy nie były zablokowane.

— Skąd pan wziął ten klucz? Poirot uśmiechnął się szerzej.

— Znalazłem go teraz tam, gdzie go szukałem — w kieszeni pana Donovan. Widzi pan, udawałem, że szukam tej małej butelki, i to był podstęp. Donovan dał się nabrać. Zachował się tak, jak podejrzewałem — odkorkował butelkę i powąchał. A w tej buteleczce jest chlorek etylu, bardzo silny środek znieczulający. Moment nieświadomości — to było to, czego potrzebowałem. Wyjąłem mu z kieszeni dwie rzeczy, o których wiedziałem, że muszą się tam znajdować. Jedna — to ten oto klucz i druga... — przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej: — W swoim czasie kwestionowałem przyczynę, dla której, zdaniem inspektora, ciało zostało ukryte za zasłoną. Zyskać na czasie? Nie, tu chodziło o coś więcej. I wtedy przyszła mi do głowy pewna myśl — poczta, przyjacielu. Wieczorna poczta przychodzi około wpół do dziesiątej. Powiedzmy, że morderca nie znalazł czegoś, co spodziewał się znaleźć, ale to coś mogło zostać dostarczone pocztą później. Oczywiście więc, że musiał wrócić. Ale zbrodnia nie mogła zostać odkryta przez służącą, w przeciwnym bowiem razie policja zajęłaby mieszkanie, więc morderca ukrył ciało za zasłoną. Służąca, niczego nie podejrzewając, położyła jak zwykle listy na stole.

— Listy?



— Tak, listy. — Poirot wyciągnął coś z kieszeni. — Oto jest druga rzecz, którą zabrałem Donovanowi, kiedy stracił przytomność. — Pokazał kopertę z wydrukowanym na maszynie adresem pani Ernestine Grant. — Najpierw jednak muszę o coś pana spytać, panie Faulkener, zanim zapoznamy się z treścią tego listu. Czy jest pan zakochany w mademoiselle Patrycji, czy też nie?

— Okropnie zależy mi na Pat, ale nigdy nie sądziłem, że mam szansę.

— Myślał pan, że zależy jej na Donovaniu? Być może zaczęło jej zależeć, ale to był dopiero początek, przyjacielu. Powinien pan sprawić, aby zapomniała — stać przy niej w kłopotach.

— W kłopotach? — spytał ostro Jimmy.

— Tak. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby utrzymać jej nazwisko z dala od sprawy, ale nie będzie to całkowicie możliwe. Widzi pan, ona stanowiła motyw.

Otworzył trzymaną w ręku kopertę. Wypadł z niej załącznik. List potwierdzający był rzeczowy i pochodził z kancelarii prawniczej.

Szanowna Pani,

Załączony dokument jest całkowicie prawomocny. Fakt, że małżeństwo zawarte zostało za granicą, w niczym nie umniejsza jego ważności.

Z poważaniem etc.

Poirot rozłożył załączony dokument. Był to akt ślubu zawartego pomiędzy Donovanem Baileym i Ernestine Grant z datą sprzed ośmiu lat.

— Och, mój Boże! — zawołał Jimmy. — Pat wspominała, że dostała list od tej kobiety z prośbą o spotkanie, ale nawet jej się nie śniło, że może tu chodzić o coś poważnego.

Poirot skinął głową.

— Pan Donovan wiedział, odwiedził swoją żonę tego wieczoru, zanim udał się piętro wyżej. Swoją drogą, co za ironia losu, że ta nieszczęsna kobieta zamieszkała w tym samym domu co jej rywalka — i zamordował ją z zimną krwią, po czym poszedł na spotkanie z wami. Żona musiała mu powiedzieć, że wysłała świadectwo ślubu swoim prawnikom i oczekuje od nich odpowiedzi. Bez wątpienia usiłował jej wmówić, że to świadectwo nie ma mocy prawnej.

— Wydawał się być w dobrym humorze przez cały wieczór. Pozwolił mu pan uciec, panie Poirot? — Jimmy wzdrygnął się.

— Nie ma dla niego ucieczki — powiedział poważnie Poirot — Nie. musi się pan obawiać.

— Chodzi mi przede wszystkim o Pat — odparł Jimmy. — Nie sądzi pan, że naprawdę... była zakochana?

— Mon ami, to pańska sprawa — powiedział łagodnie Poirot — zbliżyć ją do siebie i kazać zapomnieć. Myślę, że nie będzie miał pan z tym kłopotu!

#### PRZYGODA JOHNNIE'EGO WAVERLY'EGO.

— Potrafi pan zrozumieć matczyne uczucia — powtórzyła pani Waverly prawdopodobnie po raz szósty.

Popatrzyła błagalnym wzrokiem na Poirota. Mój mały przyjaciel, zawsze pełen współczucia dla matek dotkniętych nieszczęściem, zrobił uspokajający gest.

— Och, tak, tak. Doskonale panią rozumiem. Proszę zaufać papie Poirot.

— Policja... — zaczął pan Waverly. Jego żona machnęła lekceważąco ręką.

— Nie chcę mieć więcej do czynienia z policją. Zaufaliśmy im, no i proszę, co się stało! Słyszałam tak wiele o panu, panie Poirot, o niezwykłych rzeczach, których pan dokonał, i odniosłam wrażenie, że być może pan potrafi nam pomóc. Uczucia matki...

Poirot uczynił wymowny gest, aby ją powstrzymać od powtarzania tego samego po raz kolejny. Uczucia pani Waverly niewątpliwie były szczere, chociaż wyraz jej twarzy był ostry i surowy. Kiedy dowiedziałem się później, że była córką potentata stalowego z Birmingham, który swą karierę zaczynał jako goniec, uświadomiłem sobie, że musiała odziedziczyć po nim wiele cech. Pan Waverly był potężnym, jowialnym mężczyzną o zaróżowionych policzkach. Stał na szeroko rozstawionych nogach i wyglądał na dziedzica ziemskiego.

— Przypuszczam, że wie pan wszystko o tej sprawie, panie Poirot?

Pytanie było niemal zbyteczne. Od kilku dni gazety przepełnione były wiadomościami o sensacyjnym porwaniu małego Johny'ego Waverly'ego, trzyletniego synka i spadkobiercy Wielmożnego Pana Marcusa Waverly'ego z Waverly Court w hrabstwie Surrey. Rodzina Waverly'ów należała do najstarszych rodów w Anglii.

— Znam oczywiście główne fakty, ale bardzo proszę opowiedzieć mi całą historię, monsieur. Z wszelkimi detalami.

— Dobrze. Początek całej sprawy miał miejsce jakieś dziesięć dni temu, kiedy to otrzymałem paskudny, anonimowy list — czego zupełnie nie mogłem zrozumieć. Jego autor miał czelność żądać dwudziestu pięciu tysięcy funtów — dwudziestu pięciu tysięcy funtów, panie Poirot! W przypadku mojej odmowy zagroził porwaniem Johnnie'ego. Oczywiście, bez ceregieli wyrzuciłem list do kosza myśląc, że to głupi żart. W pięć dni później dostałem następny list. Jeśli pan nie zapłaci, pana syn zostanie porwany dwudziestego dziewiątego. Wówczas był dwudziesty siódmy. Ada była zaniepokojona, ale ja nie potraktowałem tych gróźb poważnie. Do licha, przecież żyjemy w Anglii! Nikt nie porywa dzieci i nie przetrzymuje ich dla okupu.

— Nie jest to nagminną praktyką, oczywiście — odezwał się Poirot. — Proszę mówić dalej, monsieur.

— Ponieważ Ada nie dawała mi spokoju, powiadomiłem o sprawie Scotland Yard, jakkolwiek czułem się trochę głupio. Nie potraktowali sprawy zbyt serio, skłaniali się do mojej opinii, że to tylko głupi żart. Dwudziestego ósmego dostałem trzeci list. Nie zapłacił pan. Syn zostanie porwany w południe, jutro, dwudziestego dziewiątego. Odzyskanie go będzie pana kosztowało pięćdziesiąt tysięcy funtów. Pojechałem znów do Scotland Yardu. Tym razem zaniepokoił się. Doszli do wniosku, że listy pisał szaleniec i według wszelkiego prawdopodobieństwa zamach może mieć miejsce o określonej godzinie. Zapewnili mnie, że podejmą wszelkie środki ostrożności. Inspektor McNeil z odpowiednią obstawą miał przybyć do Waverly nazajutrz i zapewnić nam należyłą ochronę. Wróciłem do domu z lżejszym sercem. Mieliśmy jednak już uczucie, że znajdujemy się w potrzasku. Wydałem polecenia, aby nikt obcy nie został wpuszczony na teren posiadłości i aby nikt nie wychodził z domu. Wieczór minął bez żadnych zakłóceń, ale następnego poranka żona poczuła się bardzo źle. Zaniepokojony jej stanem posłałem po doktora Dakersa. Objawy, które u niej wystąpiły, zaintrygowały go. Chociaż wahał się sugerować, że została otruta, zrozumiałem, że właśnie to miał na myśli. Zapewnił mnie, że nie ma niebezpieczeństwa, ale musi minąć dzień lub dwa, zanim wróci do zdrowia. Kiedy wszedłem do swego pokoju, przestraszyłem się i zdziwiłem, widząc kartkę przypiętą do poduszki. Napisano na niej tylko trzy słowa, tym samym ręcznym pismem, które znałem z poprzednich listów. O godzinie dwunastej. Wyznaję, panie Poirot, że krew uderzyła mi do głowy. Musiał maczać w tym

palce ktoś z domowników, ktoś ze służby. Wezwałem ich wszystkich i zwymyślałem na czym świat stoi. Nigdy nie donosili jeden na drugiego, ale teraz panna Collins, dama do towarzystwa mojej żony, poinformowała mnie, że widziała rano bonę Johnnie'ego, jak wymykała się z domu. Kiedy postawiłem jej ten zarzut, załamała się. Wyznała, że zostawiła dziecko z niańką i wyszła na spotkanie z przyjacielem — z mężczyzną! Ładne rzeczy! Zaprzeczyła jednak, aby przypięła mi do poduszki karteczkę. Możliwe, że mówiła prawdę. Nie wiem. Czuję, że nie mogę ryzykować. Osobista opiekunka dziecka mogła być w zмовie z bandytą. Ktoś ze służby był w to zamieszany. W końcu nie wytrzymałem i wyrzuciłem ich wszystkich — niańkę i pozostałych. Dałem im godzinę na spakowanie rzeczy i wyniesienie się z domu.

Czerwona twarz pana Waverly'ego pociemniała jeszcze bardziej na samo wspomnienie.

— Czy nie postąpił pan trochę niesprawiedliwie, monsieur? — zasugerował Poirot. — Wie pan przecież, że mogło to zadziałać na korzyść przeciwnika.

Pan Waverly wpatrywał się w Poirota.

— Nie uważam tak. Taki miałem pomysł, niech się wszyscy wynoszą. Zadepeszo wałem do Londynu, aby przysłano mi nowych ludzi jeszcze tego samego dnia. Tymczasem zostaliby w domu tylko ci, którym mogłem ufać: sekretarka mojej żony, panna Collins i Tredwell, który służył u nas, kiedy byłem jeszcze dzieckiem.

— A ta panna Collins jak długo u państwa pracowała?

— Tylko rok — powiedziała pani Waverly. — Była niezastąpiona jako sekretarka i dama do towarzystwa, a jednocześnie bardzo sprawnie zarządzała domem.

— A bona do dziecka?

— Była u nas sześć miesięcy. Miała doskonałe referencje. Tym niemniej nigdy jej naprawdę nie polubiłam, ale Johnnie był do niej ogromnie przywiązany.

— Domyślam się, że już jej nie było, kiedy wydarzyła się katastrofa. Panie Waverly, może zechce pan mówić dalej.

Pan Waverly kontynuował opowieść.

— Inspektor McNeil przybył około dziesiątej trzydzięci. Do tej pory służba już odeszła. Oświadczył, że jest zupełnie zadowolony z domowych zarządzeń. Porozstawiał w parku różnych ludzi, aby pilnowali wejścia do domu, i zapewnił mnie, że o ile cała sprawa nie jest żartem, bez wątpienia złapiemy owego tajemniczego korespondenta. Johnnie był przy mnie i wraz z inspektorem udaliśmy się do pokoju nazywanego salą konferencyjną. Inspektor zamknął drzwi. Znajdował się tam duży stojący zegar i muszę przyznać, że kiedy jego wskazówki zbliżały się do dwunastej, ogarnęło mnie dzikie zdenerwowanie. Rozległ się warkot i zegar zaczął bić. Kurczowo objąłem Johnnie'ego. Odnosiłem wrażenie, że facet może spaść z sufitu. Ostatnie uderzenie zegara przebrzmiało i wtedy na zewnątrz zrobiło się straszne zamieszanie — krzyki i bieganina. Inspektor szybko otworzył okno, a do pokoju wpadł policjant. „Mamy go, sir — powiedział zdyszany. — Ukrył się w krzakach”. Miał przy sobie cały ekwipunek. Pospieszaliśmy na taras, gdzie dwóch policjantów przytrzymało podejrzanego wyglądającego faceta w podniszczonym ubraniu, który szarpał się i wyrwał. Jeden z policjantów pokazał zawiniętą paczkę, którą miał przy sobie schwytyany człowiek. Było w niej trochę waty i butelka z chloroformem. Krew we mnie zawrzała na ten widok. Znajdowała się tam również karteczka zaadresowana do mnie. Rozwinąłem ją. Oto jej treść:

Powinien pan być zapłacić. Okup za pańskiego syna wynosi teraz pięćdziesiąt tysięcy. Pomimo podjętych środków ostrożności zostanie uprowadzony o dwunastej, tak jak zostało powiedziane, dwudziestego dziewiątego.

Roześmiałem się. Był to śmiech pełen ulgi, lecz w tym momencie usłyszałem warkot silnika i wystrzał. Odwróciłem głowę. Wzdłuż podjazdu, w kierunku południowej bramy pędził z szaleńczą prędkością niski, długi samochód. Mężczyzna, który go prowadził strzelał, ale nie to mną wstrząsnęło. W szok wprawił mnie widok jasnych kędziorków Johnnie'ego. Dziecko siedziało w samochodzie obok kierowcy. Inspektor zaklął siarczyście. „Dziecko przed chwilą jeszcze było!” — krzyknął. Oczami błędził gdzieś ponad nami. Byliśmy tam wszyscy — ja, Tredwell, panna Collins. „W którym momencie widział go pan ostatni raz, panie Waverly?” Sięgnąłem pamięcią wstecz, usiłując sobie przypomnieć. Kiedy zawołał nas policjant, wybiegłem z inspektorem, zupełnie zapominając o Johnnie. I wtenczas rozległ się dźwięk, który nas przeraził. Kościelny zegar we wsi wybijał godzinę dwunastą. Inspektor krzyknął i wyciągnął swój zegarek. Była dokładnie dwunasta. Wiedzeni jedną myślą pobiegliśmy do sali konferencyjnej. Na stojącym tam zegarze było dziesięć minut po dwunastej. Ktoś musiał celowo przy nim manipulować, ponieważ poprzednio ani nie spieszył się, ani nie póżnił. Chodził dokładnie.

Pan Waverly urwał. Poirot uśmiechnął się do siebie i wyprostował małą wycieraczkę, którą zdenerwowany ojciec przekrzywił.

— Sympatyczna zagadka, za wikłana i pociągająca — mruknął. — Chętnie przeprowadzę dla państwa dochodzenie w tej sprawie. Doprawdy, wszystko zostało zaplanowane á merveille.

Pani Waverly spojrzała na niego z wyrzutem.

— Ale mój chłopczyk — jęknęła.

Poirot szybko przywołał się do porządku i zrobił poważną, współczującą minę.

— Jest bezpieczny i nietknięty, madame. Bądźcie pewni. Ten łotr zatroszczy się o niego najlepiej jak potrafi. Czyż nie jest dla nich indykiem — och, przepraszam — kurą, znoszącą złote jajka?

— Panie Poirot, jestem pewna, że można zrobić tylko jedną rzecz — zapłacić. Z początku byłam temu całkowicie przeciwna, ale teraz! Uczucia matki...

— Ale przerwaliśmy panu opowiadanie — powiedział pospiesznie Poirot.

— Sądzę, że resztę zna pan dokładnie z prasy — odparł pan Waverly. — Oczywiście, inspektor McNeil pobiegł natychmiast do telefonu. Został rozesłany wszędzie opis mężczyzny i samochodu i zrazu zanosilo się, że wszystko dobrze się skończy. Opis samochodu z mężczyzną i małym chłopcem obiegił Londyn i różne małe miasteczka. W pewnym miejscu zostali zatrzymani. Zauważono, że dziecko płakało i najwyraźniej bało się swego towarzysza. Kiedy inspektor McNeil zawiadomił nas o zatrzymaniu samochodu, aż mi się słabo zrobiło z radości. Ciąg dalszy pan zna. To nie był Johnnie. Kierowca zaś okazał się zapalczywym automobilistą, lubiącym dzieci. Zabrał na przejażdżkę małe dziecko bawiące się na ulicy w Edenswell, miasteczku oddalonym od nas około piętnastu mil. Nieudolna i zarozumiała policja zgubiła wszelki ślad. Gdyby uparczywie nie śledzili niewłaściwego wozu, mogliby już do tej pory odnaleźć naszego synka.

— Niech pan się uspokoi, monsieur. Policjanci to dzielni i inteligentni ludzie. Ich pomyłka była całkiem usprawiedliwiona. Prawdę mówiąc, był to sprytny plan. Rozumiem, że mężczyzna, którego złapano na terenie posiadłości bronił się, wszystkiemu uparczywie zaprzeczając. Twierdził, że miał jedynie dostarczyć

kartkę i paczkę do Waverly Court Mężczyzna, od którego je otrzymał, wręczył mu dziesięciofuntowy banknot i obiecał następny, jeśli paczka zostanie dostarczona za dziesięć dwunasta. Przedostał się więc do domu i zapukał do południowego wejścia.

— Nie wierzę w ani jedno słowo — oświadczyła zapalczywie pani Waverly. — To wszystko stek kłamstw.

— En vérité, to nieprzekonywająca historia — przyznał Poirot w zamyśleniu. — Ale dotychczas jej nie podważono. Rozumiem również, że ten mężczyzna rzucił pewne oskarżenie? — Spojrzał pytająco na pana Waverly'ego, który ponownie się zaczerwienił.

— Facet miał czelność udawać, że rozpoznaje w Tredwellu mężczyznę, który dał mu paczkę. „Gość tylko musiał zgolić wąsy”. Tredwell, który urodził się w tej posiadłości!

Poirot uśmiechnął się nieznacznie, widząc oburzenie ziemianina.

— A jednak sam pan podejrzewa kogoś z domowników o współudział w porwaniu.

— Tak, ale nie Tredwella.

— A pani, madame? — zapytał Poirot, zwracając się nagle do pani Waverly.

— Tredwell nie mógł być tym mężczyzną, który dał temu włóczędze list i paczkę, o ile w ogóle ktoś to zrobił, w co nie wierzę... Twierdzi, że dostał paczkę o dziesiątej. O dziesiątej Tredwell był z moim mężem w palarni.

— Czy był pan w stanie dojrzeć twarz mężczyzny w samochodzie, monsieur? Czy w jakimkolwiek stopniu podobny był do Tredwella?

— Był za daleko, bym mógł widzieć jego twarz.

— Czy Tredwell ma brata?

— Miał kilku, ale wszyscy już nie żyją. Ostatni został zabity na wojnie.

— Ciągłe nie mam jasności, jak wygląda posiadłość Waverly Court. Samochód skierował się do południowej bramy. Czy jest jeszcze inne wejście?

— Tak. Tak zwana wschodnia brama. Widać ją z drugiej strony domu.

— To dziwne, że nikt nie widział samochodu wjeżdżającego na teren posiadłości.

— Tam jest prosta droga i dojazd do małej kaplicy. Wiele pojazdów przejeżdża tamtędy. Mężczyzna musiał zatrzymać samochód w dogodnym miejscu i podbiec do domu w momencie, kiedy wszczęto alarm i skierowano uwagę gdzie indziej.

— Chyba że już znajdował się w domu — zadumał się Poirot. — Czy istnieje jakieś miejsce, gdzie mógłby się schować?

— Nie przeszukaliśmy dokładnie domu przedtem. Nie wydawało się to potrzebne. Przypuszczam, że mógłby gdzieś się ukryć, ale kto pozwoliłby mu wejść?

— Dojdziemy do tego później. Na razie bądźmy metodyczni. Czy nie ma jakiejś specjalnej kryjówki w domu? Waverly Court to stara budowla. W dawnych czasach robiono czasami sekretne pomieszczenia.

— Na litość boską, jest u nas coś takiego! Wchodzi się tam przez fragment ruchomej boazerii w holu.

— W pobliżu sali konferencyjnej?

— Dokładnie za drzwiami.

— Voil?!

— Ale, oprócz mojej żony i mnie nikt nie wie o istnieniu tej kryjówki.

— A Tredwell?

— Owszem, mógł o niej słyszeć.

— Panna Collins?

— Nigdy jej o tym nie wspominałem. Poirot zamyślił się na chwilę.

— Następne moje posunięcie to przyjazd do Waverly Court, monsieur. Odpowiada panu, jeśli przyjadę dziś po południu?

— Och, proszę przyjechać najszybciej jak to możliwe, panie Poirot! — zawołała pani Waverly. — Proszę to jeszcze raz przeczytać.

Wręczyła Poirotowi ostatnie pismo od nieprzyjaciela, które dostarczono do Waverly dziś rano i które spowodowało przyście pani Waverly do sławnego detektywa. List zawierał jasne i dokładne instrukcje dotyczące zapłacenia okupu i kończył się pogroźką, że chłopiec zapłaci życiem, jeśli rodzice zawiadomią policję. Było oczywiste, że miłość do pieniędzy walczyła w pani Waverly z elementarną matczyną miłością i że to ostatnie uczucie tego dnia zwyciężyło.

Kiedy małżonkowie wychodzili, Poirot odwołał na stronę panią Waverly.

— Madame, proszę o szczerość. Czy podziela pani zaufanie swego męża do Tredwella?

— Nie mam nic przeciwko niemu, monsieur Poirot. Nie rozumiem, jak może być w to zamieszany, ale — cóż, nigdy go nie lubiłam — nigdy!

— I jeszcze jedno, madame, czy może pani dać mi adres piastunki dziecka?

— 149 Netherall Road, Hammersmith. Nie wyobraża pan sobie...

— Niczego sobie nie wyobrażam. Jedynie używam swoich szarych komórek. I czasami, tylko czasami przychodzi mi do głowy jakiś pomysł.

Poirot wrócił do mnie, kiedy drzwi się zamknęły.

— A więc ta pani nigdy nie lubiła lokaja. To ciekawe, czyż nie, Hastings?

Nie dałem się wciągnąć w te rozważania. Poirot tak często mnie podpuszczał, że teraz byłem ostrożny. Zawsze był gdzieś jakiś haczyk.

Dokonawszy starannej, wyjściowej toalety, wypuściliśmy się do Netherall Road. Szczęśliwie zastaliśmy pannę Jessie Withers w domu. Była sympatyczną, trzydziestoletnią kobietą, inteligentną i dobrze ułożoną. Nie byłem w stanie uwierzyć, że mogła być zamieszana w tę sprawę. Wyglądała na mocno dotkniętą sposobem, w jaki wypowiedziano jej pracę, lecz równocześnie przyznała, że źle postąpiła. Była zaręczona z malarzem i dekoratorem, który akurat przebywał w sąsiedztwie, i wyszła z domu, aby się z nim spotkać. Sprawa wyglądała dość naturalnie. Nie mogłem do końca zrozumieć Poirota. Wszystkie jego pytania wydawały mi się nie związane z tematem. Dotyczyły głównie rozkładu jej zajęć w Waverly Court. Byłem tym szczerze znudzony i ucieszyłem się, kiedy nareszcie wyszliśmy.

— Kidnapping to łatwa robota, mon ami — zauważył, gdy przywołał taksówkę na Hammersmith Road i kazał się zawieźć na Waterloo. — Ten dzieciak mógł zostać uprowadzony z największą łatwością każdego dnia w ciągu ostatnich trzech lat.

— Nie sądzę, by stwierdzenie tego faktu przybliżyło nas zbyt do celu — stwierdziłem chłodno.

— Au contraire, to posuwa nas naprzód ogromnie, ogromnie! Jeśli już musisz przypinać spinkę do krawata, Hastings, spraw przynajmniej, by znajdowała się dokładnie pośrodku. W tej chwili jest co najmniej o szesnastą cała zbyt na prawo.

Waverly Court była ładną, starą posiadłością, w ostatnim czasie pieczołowicie odrestaurowaną. Pan Waverly pokazał nam salę konferencyjną, taras i wszystkie pozostałe miejsca mające związek ze sprawą. W końcu, na życzenie Poirota, nacisnął sprężynkę w ścianie, co spowodowało uchylenie się fragmentu boazerii i wąskim korytarzykiem weszliśmy do sekretnego pomieszczenia.

— Widzi pan — powiedział Waverly — nic tu nie ma. Malutki pokoik był pusty, pozbawiony nawet śladu stopy na podłodze. Przyłączyłem się do Poirota, który pochylił się i przyglądał z uwagą małemu śladowi w rogu pomieszczenia.

— Co o tym sądzisz, przyjacielu? Znajdowały się tam blisko siebie cztery odciski.

— Pies — zawołałem.

— Bardzo mały piesek, Hastings.

— Szpic.

— Mniejszy niż szpic.

— Gryffon? — podsunąłem z powątpiewaniem.

— Mniejszy nawet od gryffona. Gatunek nie znany w Związku Kynologicznym.

Przyglądałem mu się. Na jego twarzy malowało się podniecenie i satysfakcja.

— Miałem rację — mruknął. — Wiedziałem, że mam rację. Chodźmy, Hastings.

Kiedy wyszliśmy do holu i boazeria za nami zamknęła się, z drzwi na drugim końcu korytarza wyszła młoda kobieta. Pan Waverly przedstawił ją nam.

— Panna Collins.

Miała około trzydziestu lat i wyglądała na osobę żywotną i energiczną. Miała jasne, dość matowe włosy i nosiła pince-nez. Na prośbę Poirota udaliśmy się do małego salonu, gdzie dokładnie ją wypytał o służbę, a szczególnie o Tredwella. Przyznała, że nie lubi lokaja.

— Zadziera nosa — wyjaśniła.

Następnie przeszli do omówienia sprawy posiłku, jaki spożyła pani Waverly w nocy dwudziestego ósmego. Panna Collins oświadczyła, że jadła te same potrawy u siebie na górze w saloniku i nie odczuła żadnych dolegliwości. Kiedy już odchodziła, trąciłem łokciem Poirota.

— Pies — wyszeptałem.

— Ach, tak, pies! — Roześmiał się szeroko. — Czy przypadkiem nie ma tu jakiegoś psa, mademoiselle?

— Są dwa psy myśliwskie w psiarni na zewnątrz.

— Mam na myśli miniaturowego pieska.

— Nie, takiego nie ma.

Poirot pozwolił jej odejść, potem zaś, naciskając dzwonek, zauważył:

— Ona kłamie, ta panna Collins. Być może czyniłbym to samo na jej miejscu. A teraz weźmy się za lokaja.

Tredwell był dostojnym jegomościem. Opowiedział swoją wersję z niewzruszoną pewnością siebie i zasadniczo w niczym nie różniła się ona od zeznania pana Waverly'ego. Przyznał, że znał sekretne pomieszczenie w domu.

Kiedy wreszcie opuścił pokój, do końca zachowując postawę pełną godności, zauważyłem, że w oczach Poirota pojawiły się figlarne ogniki.

— Co o tym wszystkim sądzisz, Hastings?

— A pan? — odparowałem.

— Ależ stałeś się ostrożny. Szare komórki nigdy, nigdy nie będą pracowały, jeśli nie będzie się ich do tego pobudzać. Ach, nie będę ci już dokuczać! Spróbujmy razem się zastanowić. Które fakty wydały nam się najbardziej niezrozumiałe?

— Uderzyła mnie jedna rzecz — powiedziałem. — Dlaczego mężczyzna, który porwał dziecko, uciekł przez południowy wjazd zamiast przez wschodni, gdzie nikt by go nie widział?

— Bardzo ważne spostrzeżenie, Hastings, wysmienite. A ja dodam następne. Dlaczego ostrzegł? Dlaczego nie porwał po prostu dziecka i nie zażądał okupu?

— Ponieważ spodziewali się dostać pieniądze bez konieczności podejmowania takiej akcji.

— Mało prawdopodobne, żeby dostali pieniądze na skutek zwykłej pogroźki.

— Chcieli również skupić uwagę na godzinie dwunastej, tak aby w momencie pochwylenia włóczęgi, ktoś inny mógł wynurzyć się z ukrycia i bezpiecznie uciec z dzieckiem.

— To nie zmienia faktu, że zrobili rzecz trudną, która mogła być zupełnie łatwa. Gdyby nie sprecyzowali daty i czasu porwania, nie byłoby nic prostszego, jak skorzystać z okazji i zabrać dziecko do samochodu któregoś dnia, kiedy malec był na spacerze z piastunką.

— Ta-ak — przyznałem niezdecydowanie.

— W istocie zakrawa to na rozmyślną farsę! Teraz podejźmy do sprawy z innej strony. Wszystko na to wskazuje, że porywacz miał w domu współnika. Po pierwsze — tajemnicze zatrucie pani Waverly. Po drugie — kartka przypięta do poduszki. Po trzecie — przestawienie zegara o dziesięć minut. To wszystko trzeba było zrobić wewnątrz domu. I dodatkowy fakt, którego mogłeś nie zauważyć. Nie było śladu kurzu w sekretnym pomieszczeniu. Został zamieciony. A zatem, mamy w domu cztery osoby. Możemy wykluczyć piastunkę, ponieważ nie mogła zamieść tajemnego schowka, jakkolwiek mogła wykonać pozostałe trzy rzeczy. A więc, pan i pani Waverly, lokaj Tredwell i panna Collins. Nic przeciwko niej nie mamy, tyle tylko, że w ogóle mało o niej wiemy. Jest niewątpliwie inteligentną, młodą kobietą i przebywała w Waverly jedynie rok.

— Powiedział pan, że skłamała na temat psa — przypomniałem.

— Ach tak, pies. — Poirot dziwnie się uśmiechnął. — Przejdźmy do Tredwella. Przemawia przeciw niemu kilka faktów. Po pierwsze włóczęga rozpoznał w nim osobę, która wręczyła mu we wsi paczkę.

— Jednak Tredwell może przedstawić alibi na tę okoliczność,

— Tym niemniej mógł otruć panią Waverly, przypiąć kartkę do poduszki, przestawić zegar i zamieść kryjówkę. Z drugiej zaś strony był urodzony i wychowany na służbie w rodzinie Waverlych. Wydaje się bardzo mało prawdopodobne, żeby pozwolił uprowadzić małego dziedzica. To się nie mieści w głowie! — A więc?

— Trzeba rozumować logicznie — nawet jeśliby takie rozumowanie zakrawało na absurd. Zastanówmy się chwilę nad panią Waverly. Jest bogata, pieniądze należą do niej. To z jej funduszków odrestaurowano tę zniszczoną posiadłość. Nie było sensu, aby sama porywała swego syna i od siebie samej żądała zapłaty. Z kolei jej mąż znajduje się w odmiernej sytuacji. Ma bogatą żonę. To nie to samo, co samemu być bogatym. W głębi ducha podejrzewam, że owa dama nie jest nazbyt skora do dzielenia się własnymi pieniędzmi — chyba że chodzi o wyjątkową sprawę. Na pierwszy rzut oka widać, że pan Waverly to bon viveur.

— To niemożliwe — wybełkotałem.



— Niezupełnie. Kto odprawił służbę? Pan Waverly. Mógł podtruć żonę, napisać listy, manipulować przy zegarze, jak również dostarczyć wyśmienite alibi swemu zaufanemu służącemu. Tredwell nigdy nie lubił pani Waverly, natomiast był przywiązany do swego pana i gotów ślepo słuchać jego poleceń. W całej sprawie uczestniczyło trzech mężczyzn. Waverly, Tredwell i jakiś przyjaciel Waverly'ego. Policja popełniła błąd, nie zasięgając dokładnych informacji o człowieku, który wiozł szarym samochodem owo dziecko z Edensweil. Właśnie ten człowiek był tym trzecim. Zabrał dziecko z pobliskiego miasteczka, chłopczyka o jasnych loczkach. Wjechał przez wschodnią bramę i w odpowiednim momencie wyjechał przez południową, wymachując pistoletem i strzelając. Nie można było dojrzeć ani jego twarzy, ani numeru wozu, oczywiście więc, że również nie było możliwe zobaczyć twarzy chłopca. Następnie skierował się do Londynu, aby celowo zmylić trop. Tredwell tymczasem zrobił, co do niego należało — dał facetowi o podejrzanym wyglądzie paczkę i list. Przykleił sztuczne wąsy dla niepoznaki. Na wszelki wypadek, jeśliby włóczęga mimo to go rozpoznał, miał zapewnione przez pana Waverly'ego alibi. Pan Waverly zaś, gdy tylko zrobił się zgiełk na zewnątrz i inspektor wybiegł w pośpiechu z pokoju, ukrył dziecko w tajemnym schowku i tam je przetrzymał. Następnego dnia, kiedy inspektor już wyjechał, a panna Collins była poza domem, bez większych trudności mógł wywieźć dziecko własnym wozem do jakiegoś bezpiecznego miejsca.

— Ale co z tym psem? — spytałem. — Czy panna Collins rzeczywiście kłamała?

— To był taki mój żart. Zapytałem ją, czy jest jakiś miniaturowy piesek w domu, a ona odparła, że nie ma. Ale przecież bez wątplenia jest jakiś piesek w dzieciennym pokoju. Rozumiesz, pan Waverly przyniósł do sekretnej kryjówki kilka zabawek, aby Johnnie był spokojny i miał się czym bawić.

— Monsieur Poirot — Pan Waverly wkroczył do pokoju. — Czy coś pan odkrył? Wie pan, gdzie może przebywać mój chłopiec?

Poirot wręczył mu kawałek papieru.

— Oto adres.

— Ależ to czysta kartka.

— Liczę, że pan sam go na niej napisze.

— Ależ... — Twarz pana Waverly'ego stała się purpurowa.

— Wiem wszystko, monsieur. Daję panu dwadzieścia cztery godziny na przywiezienie chłopca. Wysili pan swoją pomysłowość, aby wyjaśnić jego pojawienie się. W przeciwnym razie pani Waverly zostanie poinformowana o prawdziwym przebiegu wypadków.

Pan Waverly opadł na krzesło i schował twarz w dłoniach.

— Chłopiec przebywa u mojej starej piastunki, dziesięć mil stąd. Jest w dobrym humorze i ma troskliwą opiekę.

— Nie wątpię. Gdybym nie wierzył, że w głębi serca jest pan dobrym ojcem, nie dałbym panu tej szansy.

— Ale skandal...

— Właśnie. Nosi pan stare i czcigodne nazwisko. Niech go pan więcej nie wystawia na szwank. Dobranoc, panie Waverly! Ach, przy okazji, mała rada. W kątach pokoju także trzeba zamiatać!

DWADZIEŚCIA CZTERY KOSY

Herkules Poirot jadł obiad ze swoim przyjacielem, Henrym Bonningtonem w Gallant Endeavor na King's Road w Chelsea. Pan Bonnington uwielbiał Gallant Endeavor. Lubił panującą tu swobodną atmosferę, lubił jedzenie, które było „proste”, „angielskie” i „nie zawierało nazbyt wiele paskudztwa”.

Molly, sympatyczna kelnerka, powitała go jak dobrego znajomego. Była z siebie dumna, że pamięta, co jej goście lubią, a czego nie lubią jadać.

— Dobry wieczór, sir — powiedziała, kiedy dwaj panowie zajęli swoje miejsca przy narożnym stoliku. — Ma pan dziś szczęście — indyk nadziewany kasztanami — pańska ulubiona potrawa, nieprawdaż? I mamy doskonały ser stilton! Życzą sobie panowie najpierw zupę czy rybę?

Kiedy jedzenie i picie zostało zamówione i Molly odeszła, pan Bonnington z westchnieniem odchylił się na krześle i rozłożył swoją serwetkę.

— Porządna dziewczyna! — powiedział z uśmiechem. — I zarazem piękna, artyści często ją malowali. Poza tym zna się na potrawach i to jest najważniejsze. Kobiety z zasady nie zwracają uwagi na jedzenie. Kobieta, kiedy przychodzi do restauracji z mężczyzną, który jej się podoba, zwykle nawet nie zauważa, co je. Po prostu zamawia pierwszą z brzegu potrawę.

— C'est terrible — Poirot potrząsnął głową.

— Dzięki Bogu, że mężczyźni tacy nie są! — powiedział pan Bonnington wyraźnie z siebie zadowolony.

— Nigdy? — W oczach Herkulesa Poirota pojawił się błysk.

— No, być może, kiedy są bardzo młodzi — przyznał pan Bonnington. — Szczeniaki! Młodzi chłopcy w dzisiejszych czasach wszyscy są tacy sami — bez charakteru, bez wigoru. Nie przepadam za młodzieżą, a ona — dodał obiektywnie — nie przepada za mną. Być może mają rację! Ale kiedy się słyszy, jak niektórzy, młodzi ludzie rozmawiają, pomyśleć można, że żaden człowiek nie ma prawa przeżyć sześćdziesiątki! Zastanawiasz się, czy większość z nich nie miałaby ochoty pomóc swym starszym krewnym zejść z tego świata.

— Możliwe — powiedział Herkules Poirot — że to robią.

— Muszę przyznać, Poirot, że masz wielce sympatyczne pomysły. Cała ta policyjna robota niszczy twoje ideały.

— Tym niemniej — powiedział Herkules Poirot uśmiechając się — byłoby interesujące sporządzić spis przypadkowych zgonów ludzi po sześćdziesiątce. Zapewniamsię, że wzbudziłoby to w twojej głowie szereg ciekawych domysłów. Ale opowiedz mi, przyjacielu, o swoich sprawach. Jak też świat się z tobą obchodzi?

— Bałagan! — odparł pan Bonnington. — Oto co dzieje się dziś na świecie. Za dużo bałaganu i za dużo pięknych słów. Piękne słówka tuszują wszystko. Tak jak aromatyczny sos ukrywa fakt, że przyozdobiona nim ryba nie należy do najlepszych. Pokaż mi uczciwy filet z soli nie zapaskudzony jakimś sosem.

W tym właśnie momencie Molly podała mu filet z soli, co pan Bonnington przyjął aprobującym mruknięciem.

— Zna pani mój gust, moja droga — powiedział.

— Przecież przychodzi pan tu regularnie, sir. Powinnam więc znać.

— Czy ludzie zawsze lubią to samo? — odezwał się Herkules Poirot. — Czy nie lubią czasami pewnej odmiany?

— Panowie — nie, sir. Owszem, panie lubią urozmaicenie, ale panowie zawsze zamawiają te same potrawy.

— Czyż nie to właśnie ci powiedziałem? — mruknął Bonnington. — Kobiety na ogół są niezdecydowane, gdy w grę wchodzi jedzenie! — Rozejrzał się po sali. — Zabawny jest ten świat. Spójrz na tego dziwnego, brodatego jegomościa w rogu sali. Molly mówi, że on bywa tu zawsze we wtorki i czwartki wieczorem. Przychodzi tu już od blisko dziesięciu lat, stanowi jak gdyby stały element tego wnętrza. Jednak nikt tu nie zna jego nazwiska, nie wie, gdzie mieszka ani co robi. To dziwne, gdy się człowiek nad tym zastanowi.

Kiedy kelnerka przyniosła porcje indyka, zagadnął:

— Widzę, że Staruszek Czas ciągle tu przychodzi.

— Owszem, sir. Wtorki i czwartki to jego dni. Ale w zeszłym tygodniu przyszedł tu w poniedziałek! To mnie zupełnie dezorientowało! Miałam wrażenie, że pomyliły mi się daty i że to musi być wtorek! Ale nazajutrz również przyszedł, a więc poniedziałek, można powiedzieć, był czymś ekstra.

— Ciekawa zmiana obyczaju — mruknął Poirot. — Zastanawiam się, jaka była tego przyczyna?

— Jeśli mnie pan o to pyta, sir, to myślę, że był czymś zmartwiony lub zaniepokojony.

— Dlaczego pani tak myśli? Chodzi o jego zachowanie?

— Nie, sir, nie o jego zachowanie. Był bardzo spokojny, jak zawsze. Nigdy nie mówił nic więcej poza „dzień dobry” i „do widzenia”. Chodzi mi o jego zamówienie.

— Zamówienie?

— Przypuszczam, że będą się panowie ze mnie śmiać. — Molly zarumieniła się. — Ale kiedy gość przychodzi tu od dziesięciu lat, zna się jego gusty. Nigdy nie znosił zasmażek ani jagód, i nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek zamówił zawieszistą zupę— a właśnie w ten poniedziałek zamówił zawieszistą zupę pomidorową, potrawkę z wołowiny i cynaderek oraz ciastko z jagodami! Wyglądało, jak gdyby nie zwracał uwagi na to, co zamawia!

— To niezwykle interesujące — powiedział Herkules Poirot.

Molly wyglądała na zadowoloną i odeszła.

— A więc, Poirot — powiedział Henry Bonnington, tłumiąc śmiech. — Wyciągnij kilka wniosków według swoich wspaniałych metod.

— Wolałbym najpierw usłyszeć twoje.

— Chcesz, żebym był Watsonem, co? Dobrze, dziadek poszedł do lekarza i ten zmienił mu dietę.

— Na zawieszistą zupę pomidorową, stek z cynaderekami i ciastko z jagodami? Nie mogę sobie wyobrazić takiego lekarza.

— Nie wierz w to, stary. Doktorzy zdolni są zaaplikować ci cokolwiek bądź.

— To jedyny rozwiązanie, jakie ci przychodzi na myśl?

— Mówiąc serio — odparł Henry Bonnington — przypuszczam, że to jedyne możliwe wytłumaczenie. Nasz nie znany przyjaciel był czymś szalenie poruszony i tak zaprzątnięty własnymi myślami, że zupełnie nie zwracał uwagi na to, co zamawia, i co je. — Umilkł na chwilę, po czym dodał: — Pewnie mi zaraz powiesz, że dokładnie wiesz, o czym myślał. Może dojdiesz do wniosku, że zdecydował się popełnić morderstwo. — Roześmiał się z własnego pomysłu.

Jednak Herkules Poirot nie uśmiechnął się.

Teraz przyznaje, że już w tym momencie poważnie się zaniepokoił. Twierdzi wręcz, że powinien był domyślać się czegoś, co mogło się wydarzyć. Przyjaciele uspokajają go, że to zupełnie nieprawdopodobny pomysł.

Jakieś trzy tygodnie później Herkules Poirot i Bonnington spotkali się znowu, tym razem w metrze.

Stali, przytrzymując się wiszących uchwytów i kołysząc się w rytm pociągu. Kiedy na Piccadilly Circus większość pasażerów opuściła przedział, usiedli w spokojnym zakątku wagonu, gdzie nikt im nie przeszkadzał.

— Przypominasz sobie tego starszego faceta, który zwrócił naszą uwagę w Gallant Endeavor? — zagaił pan Bonnington. — Nie zdziwiłbym się, gdyby przeniósł się już na tamten świat. Cały tydzień nie pokazał się w restauracji. Molly jest z tego powodu zaniepokojona.

Herkules Poirot wyprostował się. Oczy mu zabłyśły.

— Naprawdę? — zaniepokoił się. — Naprawdę?

— Pamiętasz, jak sugerowałem, że pewnie poszedł do lekarza, który zaordynował mu dietę? Dieta to oczywiście nonsens, ale nie zdziwiłbym się, gdyby zasięgając porady lekarskiej, otrzymał diagnozę, która nim wstrząsnęła. To by tłumaczyło, dlaczego tak bezmyślnie zamawiał potrawy. Całkiem możliwe, że ten wstrząs przyspieszył jego zejście z tego świata. Lekarze powinni uważać na to, co mówią człowiekowi.

— Zwykle uważają — powiedział Herkules Poirot.

— To jest mój przystanek — rzucił pan Bonnington. — Do zobaczenia. Swoją drogą, to ciekawe, że nawet nie będziemy wiedzieli, kim był ten gość. Śmieszny jest ten świat. — Szybko wysiadł z wagonu.

Herkules Poirot siedział ze zmarszczonym czołem i wcale nie wyglądał na człowieka, którego ten świat by bawił. Wróciwszy do domu, wydał kilka poleceń swemu zaufanemu służącemu, George'owi.

Herkules Poirot przesuwiał palcem po liście nazwisk. Był to wyciąg zgonów w danej dzielnicy. Raptem zatrzymał palec.

— Henry Gascoigne. Sześćdziesiąt dziewięć lat. Jego spróbuję sprawdzić najpierw.

Pod wieczór Herkules Poirot siedział w gabinecie doktora MacAndrewa, nieopodal King's Road. MacAndrew był wysokim, rudym Szkotem o inteligentnym wyrazie twarzy.

— Gascoigne? — zastanowił się. — Tak wiem. Ekscentryczny jegomość. Mieszkał sam w jednym z tych zrujnowanych, starych domów przeznaczonych do rozbiórki pod nowe bloki. Przedtem go nie leczyłem, ale widziałem go po śmierci i wiem, kim był. Pierwsi zaniepokoiłi się mleczarze. Butelki z mlekiem zaczęły gromadzić się pod drzwiami. W końcu sąsiedzi zawiadomili policję. Wyważono drzwi i znaleziono ciało. Spadł ze schodów i złamał kark. Miał na sobie stary szlafrok z obszarpanym paskiem, mógł łatwo zaczepić się nim.

— Rozumiem — odezwał się Herkules Poirot. — To zupełnie jasne — wypadek.

— Właśnie.

— Miał jakichś krewnych?

— Siostrzeńca. Zwykle odwiedzał wuja raz w miesiącu. Nazywa się Ramsey — George Ramsey. Jest lekarzem. Mieszka w Wimbledonie.

— Od jak dawna pan Gascoigne nie żył, kiedy go pan zobaczył?

— Ach! — powiedział doktor MacAndrew. — Przechodzimy więc do kwestii formalnych. Nie mniej niż czterdzieści osiem godzin i nie więcej niż sześćdziesiąt dwie. Znaleziono go rano o szóstej. Obecnie

ustalono to ściślej. W kieszeni szlafroka miał list napisany trzeciego i wysłany z Wimbledonu po południu. List mógł zostać doręczony gdzieś około dwadzieścia po dziewiątej wieczorem. Wynika z tego, że śmierć musiała nastąpić dopiero po tej godzinie, trzeciego. To zgadza się z zawartością żołądka i procesem trawienia. Zjadł posiłek jakieś dwie godziny przed śmiercią. Dokonałem obdukcji zwłok o szóstej rano i ich stan wskazywał, że śmierć nastąpiła mniej więcej sześć godzin wcześniej — powiedzmy, około dziesiątej wieczór, trzeciego.

— To wszystko wygląda logicznie. Proszę mi powiedzieć, kiedy widziano go żywego ostatni raz?

— Widziano go na King's Road około siódmej tego samego wieczora, w czwartek, trzeciego. Zjadł obiad w restauracji Gallant Endeavor o siódmej trzydzieści. Zdaje się, że zawsze tam jadał w czwartki.

— Nie miał żadnych innych krewnych? Tylko tego siostrzeńca?

— Był jeszcze brat bliźniak. Cała sprawa jest dość ciekawa. Nie widywali się od lat. W młodości Henry próbował zostać artystą, ale nie miał za grosz talentu. Natomiast drugi brat, Anthony Gascoigne, poślubił bardzo bogatą kobietę i porzucił sztukę. Na tym tle bracia się poróżnili. Przypuszczam, że od tamtej pory się nie widzieli. Ale ciekawa rzecz — zmarli tego samego dnia. Pierwszy bliźniak zmarł również trzeciego, o pierwszej po południu. Kiedyś już zetknąłem się z przypadkiem śmierci bliźniaków tego samego dnia — i to w różnych częściach świata. Być może to zbieg okoliczności, ale jednak tak się stało.

— Czy żona drugiego brata żyje?

— Nie, zmarła kilka lat temu.

— Gdzie mieszkał Anthony Gascoigne?

— Miał dom w Kingston Hill. Według tego, co opowiadał mi doktor Ramsey, Anthony był odludkiem.

Herkules Poirot pokiwał głową w zamyśleniu. Szkot przypatrywał mu się z uwagą.

— O czym pan właściwie rozmyśla, panie Poirot? — spytał otwarcie. — Odpowiedziałem na pańskie pytania, taki miałem obowiązek, zważywszy listy polecające, które pan przyniósł. Doprawdy jednak nie rozumiem, o co tutaj chodzi.

— Prosta sprawa — nieszczęśliwy wypadek. Tak panu powiedziano — odparł powoli Poirot. — To, o czym myślę, jest równie proste — proste zepchnięcie.

Doktor MacAndrew wyglądał na zaskoczonego.

— Innymi słowy, morderstwo! Ma pan jakieś podstawy, aby tak twierdzić?

— Nie — odrzekł Poirot. — To jest tylko przypuszczenie.

— Ale musi być coś... — naciskał lekarz. Poirot nic nie powiedział.

— Jeśli podejrzewa pan siostrzeńca, Ramseya, od razu panu powiem, że stawia pan na złego konia. Ramsey grał w brydża w Wimbledonie od dwudziestej trzydzieści do północy. To zostało ustalone w śledztwie.

— I prawdopodobnie zostało sprawdzone — mruknął Poirot. — Policja jest skrupulatna.

— Być może ma pan coś przeciwko niemu? — spytał doktor.

— W ogóle nie wiedziałem o jego istnieniu, dopóki pan o nim nie wspomniał.

— A więc podejrzewa pan kogoś innego?

— Ależ nie. Nic w tym rodzaju. Chodzi o sprawę ludzkich przyzwyczajęń. To bardzo ważne. A śmierć pana Gascoigne'a zupełnie nie pasuje. Coś tu nie gra, widzi pan.

— Doprawdy nie rozumiem.

Herkules Poirot uśmiechnął się, po czym wstał. Doktor również podniósł się.

— Widzi pan — powiedział MacAndrew — szczerze mówiąc, nie dostrzegam absolutnie nic podejrzanego w śmierci Henry'ego Gascoigne'a.

Mały mężczyzna rozłożył ręce.

— Jestem bardzo upartym człowiekiem, mam swojego małego bzika, i nie ma na to rady! Nawiasem mówiąc, doktorze, czy Henry Gascoigne nosił sztuczną szczękę?

— Nie, miał własne zęby w doskonałym stanie. To doprawdy chwalebne w jego wieku.

— A zatem wyglądały w porządku — były białe i wyczyszczone?

— Tak, przyjrzałem im się uważnie.

— Nie były niczym zabarwione?

— Nie. Sądzę, że nie był palaczem, jeśli o to panu chodzi.

— Nie to mam na myśli, to był tylko taki strzał z daleka, być może pudło! Do widzenia, doktorze, i dziękuję za wszystko. — Ucisnął mu dłoń i wyszedł.

— A teraz — powiedział — zabieramy się do trudnego dzieła.

W restauracji Gallant Endeavor zajął ten sam stolik, przy którym siedział uprzednio z Bonningtonem. Tym razem nie obsługiwała go Molly. Jak się dowiedział, Molly wyjechała na urlop.

Właśnie była siódma godzina i Herkules Poirot bez trudności nawiązał z kelnerką rozmowę o starszym panu.

— Tak — powiedziała — bywał tu od lat Ale żadna z nas nawet nie znała jego nazwiska. Dowiedzieliśmy się o śledztwie z gazet i tam zobaczyliśmy jego zdjęcie. Powiedziałam wtedy do Molly: „Czyż to nie jest nasz Staruszek Czas?” — tak go nazywałyśmy.

— Czy jadł tutaj obiad w dniu swojej śmierci?

— Owszem. To był czwartek, trzeciego. Zawsze był tu w czwartki. Wtorki i czwartki — punktualnie jak w zegarku.

— Przypuszczam, że nie pamięta pani, co zamówił wówczas na obiad?

— Zaraz, zaraz — to była ostra, indyjska zupa, tak, i potrawka z wołowiny, a może baraniny? Nie, wołowina, i ciastko jagodowo-jabłkowe, i ser. I pomyśleć, że tego samego wieczoru wrócił do domu i spadł ze schodów. Powiedziano, że postrzępiony pasek od szlafroka był przyczyną wypadku. Tak, jego ubranie to było coś okropnego — niemodne, założone byle jak, obdarte. A przy tym wszystkim jego cała powierzchowność sprawiała wrażenie, jak gdyby był naprawdę „kims”! Och, mamy tutaj najrozmaitszych klientów.

Kelnerka oddaliła się, a Herkules Poirot skonsumował swoją solę.

Zaopatrzone w listy polecające z pewnego wpływowego źródła Herkules Poirot nie napotkał żadnych trudności w nawiązaniu rozmowy z okręgowym sędzią śledczym.

— Ciekawa postać, ten zmarły Gascoigne — zauważył sędzia. — Samotnik i dziwak. Ale jego śmierć wzbudza zainteresowanie. — Spojrzał zaciekawiony na swego gościa.

— Istnieją pewne okoliczności związane ze sprawą — Herkules Poirot bardzo starannie dobierał słowa — które sprawiają, że dochodzenie jest konieczne.

— A więc, w czym mogę panu pomóc?

— Sądzę, że do pańskich kompetencji należy zarządzenie, czy przedłożone panu dokumenty zostają zniszczone, czy też zatrzymane — zgodnie z tym, co uznaje pan za stosowne w danym wypadku. W kieszeni szlafroka Henry'ego Gascoigne'a został znaleziony pewien list, czyż nie?

— Tak jest.

— List od jego siostrzeńca, doktora George'a Ramseya?

— Dokładnie. List posłużył w śledztwie do ustalenia czasu śmierci.

— Czy list ten nadal istnieje?

Herkules Poirot z niepokojem oczekiwał odpowiedzi. Usłyszawszy potwierdzenie, odetchnął z ulgą. Gdy w końcu dostał list, przestudiował go bardzo dokładnie. Był napisany trochę niewyraźnym, ręcznym pismem przy pomocy stylografu. Jego treść była następująca:

Drogi wuju Henry,

Z przykrością Cię zawiadamiam, że nie odniosłem sukcesu w sprawie wuja Anthony'ego. Nie wykazał entuzjazmu dla Twojej wizyty i nie udzielił mi odpowiedzi na Twoją prośbę zaniechania dawnych uraz. Jest, oczywiście, bardzo chory i miesza się mu już w głowie. Odnoszę wrażenie, że jego koniec jest bliski. Wyglądało na to, że z trudnością przypominał sobie, kim w ogóle jesteś.

Przykro mi, że Cię zawiodłem, ale zapewniam, że uczyniłem wszystko, co tylko mogłem.

Twój kochający

George Ramsey

Sam list datowany był trzeciego listopada. Poirot spojrział na znaczek na kopercie — czwarta trzydzieści po południu.

— Jest w nadzwyczajnym porządku, czyż nie? — mruknął. Kolejnym celem było Kingston Hill. Po nieznacznym trudnościach dzięki uporowi udało mu się dotrzeć do Amelii Hill — gospodyni domowej zmarłego Anthony'ego Gascoigne'a.

Pani Hill z początku była trochę sztywna i podejrzliwa, ale czarująca łagodność dziwacznie wyglądającego cudzoziemca szybko przyniosła oczekiwany efekt. Pani Amelia Hill rozchmurzyła się.

Z niekłamaną przyjemnością, podobnie jak czyniło to już wiele kobiet przed nią, zaczęła wylewać swe żale przed sympatycznym słuchaczem.

Przez czternaście lat sprawowała opiekę nad domem pana Gascoigne'a, a nie była to łatwa praca! Doprawdy niełatwa! Wiele kobiet ugięłoby się pod ciężarami, które ona znosiła! Nie da się zaprzeczyć, że jej biedny pan był dziwakiem. Wyjątkowo skąpy, jeśli chodzi o pieniądze — miał wprost jakąś manię na tym punkcie. I to on, który mógłby żyć jak bogaty człowiek! Mimo to pani Hill służyła mu wiernie i zносиła jego humory, naturalnie spodziewając się przynajmniej jakiejś „wdzięczności”. Ale nic z tego! Zostawił stary testament, zgodnie z którym wszystkie pieniądze dziedziczyła żona, gdyby zaś ona zmarła pierwsza, całość przechodziła na jego brata, Henry'ego. Testament sporządzono wiele lat temu. o nie, to nie było w porządku!

Stopniowo Herkules Poirot usiłował odciągnąć panią Hill od jej ulubionego wątku, którego podłożem była nie zaspokojona chciwość. Rzeczywiście, to była gorzka niesprawiedliwość! Nie można winić pani Hill, że czuje się zraniona i zaskoczona. Dobrze wiadano, że pan Gascoigne był sknerą. Mówiono nawet, że odmówił wsparcia swemu jednemu bratu. Pani Hill prawdopodobnie wszystko na ten temat wiedziała.

— Czy właśnie nie w tej sprawie przyszedł do niego doktor Ramsey? — spytała. — Wiem, że chodziło o jego brata, ale myślałam, że jego brat chce załagodzić spór. Pokłócili się wiele lat temu.

— Rozumiem, że pan Gascoigne definitywnie odmówił? — wtrącił Poirot.

— To prawda — odparła pani Hill, przytakując skinąwszy głową. — „Henry? — spytał niepewnie. — Co z Henrym? Nie widziałem go ód lat i nie chcę widzieć. Kłótlivy facet, ten Henry”. Właśnie tak się wyraził.

Tematem rozmowy stały się znowu skargi i żale pani Hill oraz kompletny brak współczucia, jaki okazał jej prawnik zmarłego pana Gascoigne'a.

Z pewną trudnością udało się Herkulesowi Poirotowi wyjść w taki sposób, by nie przerywać zbyt gwałtownie konwersacji.

Potem, w obiadowej porze pojawił się w Elcrest, rezydencji doktora George'a Ramseya na Dorset Road w Wimbledonie. Gospodarz był w domu. Niebawem zjawił się w gabinecie, dokąd wprowadzono Herkulesa Poirota. Wyglądało na to, że doktor właśnie wstał od stołu.

— Nie jestem pacjentem, doktorze — oświadczył Herkules Poirot — i moje pojawienie się tutaj, być może uzna pan za pewną bezczelność, ale wierzę w postępowanie uczciwe i bezpośrednie. Nie przepadam za powolnymi i okrężnymi metodami prawników.

— Zainteresowanie Ramseya w widoczny sposób wzrosło. Doktor był gładko wygolonym mężczyzną średniego wzrostu. Miał kasztanowe włosy, ale jego rzęsy były prawie białe, co nadawało oczom blady, pozbawiony blasku wyraz. Sprawki wrażenie człowieka energicznego, obdarzonego poczuciem humoru.

— Prawnicy? — powiedział, unosząc brwi. — Nie znoszę tych facetów! Podnieca pan moją ciekawość, drogi panie. Proszę spocząć.

Poirot usiadł i wręczył doktorowi swą wizytówkę. George Ramsey zamrugał białymi rzęsami.

— Większość moich klientów to kobiety — powiedział Poirot, pochylając się konfidencjonalnie ku swemu rozmówcy.

— Naturalnie — doktor Ramsey przymrużył oko.

— To naturalne, jak pan sam powiedział — przyznał Poirot — Kobiety nie ufają policji. Wolą nieoficjalne dochodzenie. Nie chcą swoich problemów ujawniać publicznie. Kilka dni temu przyszła do mnie po poradę starsza kobieta. Była nieszczęśliwa z powodu męża, z którym pokłóciła się wiele lat temu. Ów mąż to pański wuj, zmarły pan Gascoigne.

Twarz George'a Ramseya stała się purpurowa.

— Mój wuj? Nonsens! Jego żona nie żyje od wielu lat.

— Nie chodzi o pańskiego wuja Anthony'ego Gascoigne'a. Chodzi o pana wuja — Henry'ego Gascoigne'a.

— Wuja Henry'ego? Ależ on nie był żonaty!

— Ależ tak, był żonaty — bezczelnie skłamał Herkules Poirot. — Nie ma żadnych wątpliwości. Owa dama pokazała mi akt ślubu.

— To kłamstwo! — krzyknął George Ramsey. Jego twarz była teraz czerwona jak burak. — Nie wierzę w to. Jest pan zuchwałym kłamcą.

— To się źle składa, czyż nie? — powiedział Herkules Poirot — Popenił pan morderstwo na próżno.

— Morderstwo? — Głos Ramseya zadrżał. W jego bladych oczach pojawiło się przerażenie.



— Á propos — wtrącił Poirot. — Widzę, że znów jadł pan ciastko z jagodami. Nerozważny zwyczaj. Mówi się, że jagody zawierają dużo witamin, ale mogą okazać się śmiertelne z innego powodu. W tym wypadku, jak mi się zdaje, pomogą zarzucić pętlę na czyjąś szyję — pana szyję, doktorze Ramsey.

— Widzisz, mon ami, pomyliłeś się w swym podstawowym założeniu. — Herkules Poirot uśmiechnął się sponad stołu do swego przyjaciela, czyniąc przy tym ręką objaśniający gest — Człowiek będący pod wpływem silnego, psychicznego stresu, nie zabiera się do robienia czegoś, czego nigdy nie robił przedtem. Odruchowo wykonuje te same czynności co zwykle. Człowiek czymś poważnie zaaferowany może pójść na obiad w pizamie, ale to będzie jego własna pizama, niczyja inna. Ktoś, kto nie lubi zawieszistej zupy, zasmażek i jagód, zamawia to nagle pewnego dnia. Powiadasz, że ma głowę zaprzątniętą czym innym. A ja powiadam, że człowiek nękaną jakąś myślą, automatycznie zamówi danie, które zamawiał wielokrotnie przedtem. Eh bien, jak można to inaczej wytłumaczyć? Nie potrafiłem znaleźć racjonalnego wyjaśnienia. Zaniepokoiłem się! Coś tu było nie w porządku. Później dowiedziałem się, że ów mężczyzna zniknął. Po raz pierwszy od wielu lat nie pojawił się we wtorek i czwartek w restauracji. Dziwna hipoteza przyszła mi do głowy. Jeśli miałem rację, mężczyzna musiał nie żyć. Zasięgnąłem informacji. Faktycznie, mężczyzna nie żył. W dodatku jego śmierć nie wzbudzała żadnych podejrzeń. Innymi słowy — zepsutą rybę przyozdobiono sosem! Widziano tego człowieka na King's Road o siódmej. O siódmej trzydzieści — na dwie godziny przed śmiercią — zjadł obiad. Wszystko się zgadza — zawartość żołądka, list w kieszeni szlafroka. Doprawdy, za dużo tego sosu! Nie można nawet w nim dostrzec ryby. Oddany siostrzeniec napisał list, oddany siostrzeniec miał wspaniałe alibi. Śmierć nastąpiła w prosty sposób — upadek ze schodów. Nieszczęśliwy wypadek? Czy też morderstwo? Wszystko przemawia za tym pierwszym. Oddany siostrzeniec jest jedynym żyjącym krewnym. Oddany siostrzeniec będzie spadkobiercą. Ale czy jest coś do odziedziczenia? Wiadomo, że wuj jest biedny. Ale jest jeszcze brat, który w swoim czasie poślubił bogatą kobietę. Brat mieszka w dużym, zamożnym domu w Kingston Hill. Wygląda na to, że odziedziczył pieniądze po swojej żonie. Rozumiesz kolej rzeczy — bogata żona zostawia majątek Anthony'emu, po nim dziedziczy Henry, po Henrym George — kolko się zamyka.

— Piękna teoria — wtrącił pan Bonnington. — Ale jak ją udowodnić?

— Widzisz, przede wszystkim trzeba wiedzieć, co się chce udowodnić. Henry zmarł dwie godziny po spożyciu posiłku — to wszystko, co ustalono w śledztwie. Ale założmy, że owym posiłkiem nie był obiad, tylko lunch. Postaw się na miejscu George'a. George bardzo potrzebuje pieniędzy. Anthony Gascoigne umiera, lecz jego śmierć nie przynosi George'owi żadnej korzyści. Majątek Anthony'ego dziedziczy Henry, który może sobie jeszcze długo pożyć. A więc Henry także musi umrzeć — im szybciej, tym lepiej — z tym tylko, że jego śmierć musi nastąpić po śmierci Anthony'ego i na ten czas George musi mieć alibi. Zwyczaj wuja spożywania obiadu w restauracji dwa razy w tygodniu podsuwa George'owi pewną myśl. Będąc człowiekiem przezornym, najpierw robi próbę generalną. W pewien, poniedziałek przebrany za swego wuja udaje się do tejże restauracji. Wszystko idzie jak z płatka. Zostaje wzięty za swego wuja. Jest zadowolony. Teraz musi tylko poczekać, aż wuj Anthony przeniesie się na tamten świat. Taki czas nadchodzi. Drugiego listopada po południu wysyła do wuja Henry'ego list, który nosi datę trzeciego listopada. Trzeciego po południu przyjeżdża do miasta, odwiedza wuja i wykonuje swój plan. Gwałtowne pchnięcie i wuj Henry spada ze schodów. George szuka napisanego przez siebie listu i odnajduje go w kieszeni szlafroka. O

siódmej trzydzieści pojawia się w Gallant Endeavor — z przyklejoną brodą, krzaczastymi brwiami — w pełnym rynsztunku. Wszyscy widzą, że pan Henry Gascoigne o siódmej trzydzieści żyje. Potem szybko się przebiera i na pełnym gazie wraca do Wimbledonu na wieczornego bridża. Doskonałe alibi.

— Ale znaczek na kopercie? — wtrąca pan Bonnington, przypatrując się Poirotowi.

— Och, to było bardzo proste. Znaczek był zabrudzony. Dlaczego? Został przerobiony tuszem z drugiego na trzeciego listopada. Trudno by się tego dopatrzeć, gdyby się dokładnie mu nie przyjrzeć. No i wreszcie, sprawa kosów.

— Kosów?

— Dwadzieścia cztery kosy w cieście zapieczono!\* Chodzi oczywiście o jagody, jeśli chcemy być dosłowni! Widzisz, George nie okazał się wystarczająco dobrym aktorem. Upodobił się do swego wuja, poruszał się i mówił jak wuj, miał taką samą brodę i brwi, ale zapomniał jeść jak wuj. Zamówił potrawy, które sam lubił. Jagody zabarwiają zęby, a zęby denata nie były niczym zabarwione, chociaż tamtego wieczoru Henry Gascoigne jadł jagody w Gallant Endeavor. Jednak w jego żołądku nie znaleziono jagód. Pytałem o to dziś rano. George z pewnością nie zniszczył sztucznej brody i całej reszty przebrania. Znajdzie się dużo dowodów. Odwiedziłem George'a i wytrąciłem go z równowagi. To zakończyło sprawę! Nawiasem mówiąc, znowu jadł jagody. Łakomy facet — dba o swoje jedzenie. O ile się nie mylę, łakomstwo zaprowadzi go na stryżek.

Kelnerka postawiła przed nimi dwa jabłkowo-jagodowe ciastka.

— Proszę to zabrać — powiedział pan Bonnington. — Nigdy za wiele ostrożności. Poproszę o małą porcję budyniu sagowego.

## DETEKTYWI W OBRONIE MIŁOŚCI

Mały pan Satterthwaite przyglądał się w zamyśleniu swemu gospodarzowi. Przyjaźń pomiędzy tymi dwoma mężczyznami mogła zadziwiać. Pułkownik był prostym, wiejskim dżentelmenem, uwielbiającym sport. Spędzał wprawdzie kilka tygodni w Londynie, ale z konieczności, a nie dla przyjemności. Pan Satterthwaite natomiast był prawdziwym mieszczuchem. Był autorytetem jeśli chodzi o francuską kuchnię, damskie toalety oraz znał wszystkie dawniejsze skandale. Jego życiową pasją było obserwowanie natury ludzkiej i jako obserwator życia mógł uchodzić za swego rodzaju eksperta.

A zatem wydawać się mogło, że pan Satterthwaite i pułkownik Melrose niewiele mieli ze sobą wspólnego, ponieważ sprawy innych ludzi nie wzbudzały w pułkowniku żadnej większej emocji. Dwaj panowie byli przyjaciółmi głównie dlatego, że ich ojcowie się przyjaźnili. Poza tym znali tych samych ludzi i mieli negatywny stosunek do nouveaux riches.

Było około wpół do ósmej. Obaj panowie siedzieli w wygodnym gabinecie pułkownika i Melrose rozprawiał z niezwykłym entuzjazmem o zeszłorocznej zimowej gonitwie. Pan Satterthwaite, którego wiedza o koniach pochodziła głównie z uświęconych zwyczajem poranno— niedzielnych wizyt w stajniach, które mieszczą się przy staromodnych domach na prowincji, słuchał z niezmienną grzecznością.

Ostry dzwonek telefonu przeszkodził pułkownikowi w kontynuowaniu opowieści. Podszedł do stołu i podniósł słuchawkę.

— Halo? Tak, pułkownik Melrose przy aparacie. O co chodzi? — Jego zachowanie zmieniło się. Stał się sztywny i oficjalny. Teraz przemawiał przez niego urzędnik, a nie sportowiec.

Słuchał przez kilka minut, po czym krótko odpowiedział;

— W porządku, Curtis. Zaraz tam będę. — Odłożył słuchawkę i zwrócił się do swego gościa: — Sir James Dwigton został znaleziony w swojej bibliotece — zamordowany.

— Co? — Pan Satterthwaite drgnął z przerażenia.

— Muszę natychmiast jechać do Alderway. Czy chcesz mi towarzyszyć?

Pan Satterthwaite dobrze wiedział, że pułkownik był komisarzem okręgowym hrabstwa.

— Jeśli nie będę przeszkadzał... — zawahał się.

— Ależ nie. Dzwonił inspektor Curtis. Porządny gość, ale niezbyt lotny. Będę zadowolony, jeśli ze mną pojedziesz, Satterthwaite. Domyślam się, że to będzie paskudna sprawa.

— Mają już tego faceta, który to zrobił?

— Nie — odparł krótko Melrose.

Ucho pana Satterthwaite'a wyczuło odcień rezerwy w tym krótkim zaprzeczeniu. Zaczął szukać w pamięci wszystkiego, co wiedział o rodzinie Dwigtonów.

Zmarły sir James, szorstki w obejściu jegomość. Człowiek, który z łatwością mógł mieć wrogów. Dobiegał sześćdziesiątki, miał siwe włosy i rumianą twarz. Zyskał opinię straszego sknery.

Pan Satterthwaite skierował swe myśli ku pani Dwigton. Stanął mu w pamięci obraz rudawej, smukłej kobiety. Przypomnił sobie rozmaite pogłoski, aluzje i strzępy plotek. To z tego powodu Melrose miał taką ponurą minę. Wreszcie oprzytomniał i zapanował nad swoją wyobraźnią.

Pięć minut później pan Satterthwaite zajął miejsce obok swego przyjaciela w małym, dwuosobowym samochodzie i razem pomknęli w noc.

Pułkownik był człowiekiem małomównym. Przejechali prawie półtorej mili, zanim się odezwał.

— Znasz ich, jak sądzę? — spytał gwałtownie.

— Dwigtonów? Wiem o nich wszystko, oczywiście. — O kimże by pan Satterthwaite wszystkiego nie wiedział? — Jego widziałem chyba raz, ją częściej.

— Ładna kobieta — powiedział Melrose.

— Piękna! — oświadczył Satterthwaite.

— Tak sądzisz?

— Czysty, renesansowy typ — stwierdził pan Satterthwaite, zapalając się do tematu. — Grała w tych amatorskich przedstawieniach, na porankach dobroczynnych zeszłej wiosny, wiesz, o czym mówię. Zrobiła na mnie wielkie wrażenie.

.Nie ma w niej nic nowoczesnego — postać nie z tej epoki. Można ją sobie wyobrażać w pałacu dożów lub jako Lukrecję Borgię.

Pułkownik lekko skręcił kierownicą i pan Satterthwaite nagle zamilkł. Zastanawiał się, jakim trafem nazwisko Lukrecji Borgii znalazło się mu na ustach. W tych okolicznościach...

— Dwigton nie został otruty, prawda? — zapytał szybko. Melrose zerknął na niego kątem oka z pewnym zaciekawieniem.

— Ciekaw jestem, dlaczego tak pytasz?

— Och, sam nie wiem. — Pan Satterthwaite był podniecony. — Tak tylko przyszło mi do głowy.

— A więc nie został otruty — powiedział posępnie Melrose. — Jeśli chcesz wiedzieć, został uderzony w głowę.

— Tępy narzędziem — mruknął pan Satterthwaite, kiwając głową ze zrozumieniem.

— Nie operuj językiem kryminalów, Satterthwaite. Został uderzony w głowę figurką z brązu.

— Och — westchnął Satterthwaite i zapadło z powrotem milczenie.

— Czy wiesz coś o człowieku, który nazywa się Paul Delangua? — zapytał po chwili Melrose.

— Owszem, przystojny mężczyzna.

— Przypuszczam, że kobiety mogą też tak uważać — burknął pułkownik.

— Nie podoba ci się? — Nie.

— Mógłbym pomyśleć, że powinien ci się podobać. Doskonale jeździ konno.

— Jak cudzoziemiec na konnej paradzie, popisujący się głupimi sztuczkami.

Pan Satterthwaite stłumił uśmiech. Biedny, stary Melrose był tak bardzo brytyjski w swoich poglądach. Stosownie do swego kosmopolitycznego punktu widzenia, pan Satterthwaite skłonny był ubolewać nad tą wyspiarską postawą swego przyjaciela.

— Czy on mieszka w tej okolicy? — spytał.

— Zatrzymał się w Alderway u Dwightonów. Wieść niesie, że sir James wyrzucił go tydzień temu.

— Dlaczego?

— Przypuszczam, że złapał go in flagranti ze swoją żoną. Co u licha...

Rozległ się trzask uderzenia i samochód odrzuciło gwałtownie na bok.

— Najbardziej niebezpieczne skrzyżowanie w Anglii — powiedział Melrose. — Tym niemniej facet powinien zatrzeć. Jesteśmy na głównej drodze. Mam wrażenie, że wyrządziliśmy mu więcej szkody niż on nam.

Wysiadł z wozu. Kierowca drugiego pojazdu podszedł do niego. Pana Satterthwaite'a doleciały fragmenty rozmowy.

— Całkowicie moja wina, przykro mi — usprawiedliwiał się ten drugi. — Nie znam dobrze tej okolicy i nie było żadnego znaku, że nadjeżdżacie z głównej drogi.

Ułagodzony pułkownik odpowiedział coś stosownego, po czym obaj mężczyźni pochylili się nad drugim samochodem. Konwersacja dotyczyła spraw technicznych.

— Sprawa na pół godziny — powiedział obcy mężczyzna — ale nie chcę panów zatrzymywać. Cieszę się, że pański wóz uniknął większych uszkodzeń.

— Faktycznie... — zaczął pułkownik, ale nie dokończył. Pan Satterthwaite owładnięty podnieceniem wyfrunął z samochodu niczym ptak i gorąco uścisnął rękę obcego mężczyzny.

— Ależ tak! Wiedziałem, że rozpoznaję głos — oświadczył z ożywieniem. — Nadzwyczajna rzecz. Nadzwyczajna.

— Co? — odezwał się pułkownik Melrose.

— Pan Harley Quin. Melrose, jestem pewien, że opowiadałem ci wielokrotnie o panu Quinie.

Pułkownik Melrose nie przypominał sobie tego faktu, ale grzecznie przyglądał się scenie i swemu przyjacielowi cmokającemu radośnie.

— Nie widzieliśmy się... Zaraz...

— Od czasu wieczoru „Pod Błazeńską Czapką” — podpowiedział ten drugi.

— „Pod Błazeńską Czapką”? — wtrącił pułkownik.

— To taka oberża — wyjaśnił pan Satterthwaite.

— Cóż za dziwna nazwa.

— Stara nazwa — powiedział pan Quin. — Były czasy, kiedy błażni w swoich czapkach byli bardziej popularni w Anglii niż teraz.

— Owszem, niewątpliwie ma pan rację — powiedział Melrose z pewnym wahaniem. Przymrużył oczy. W efekcie dziwnego oświelenia — przednich świateł jednego wozu i czerwonych, tylnych drugiego — pan Quin wyglądał przez chwilę tak, jakby sam ubrany był w błazeńską pstrokaczną. Ale to był tylko świetlny efekt.

— Nie możemy zostawić pana samego na drodze — ciągnął pan Satterthwaite. — . Musi pan pojechać z nami. Wystarczy miejsca dla trzech, czyż nie, Melrose?

— Och, tak. — W głosie pułkownika był jednak odcień wątpliwości. — Chodzi tylko o to, że my jedziemy do pracy, prawda, Satterthwaite?

Pan Satterthwaite stał jak wryty. Zrodził mu się w głowie błyskotliwy pomysł. Otrząsnął się i zawołał w podnieceniu:

— Nie, powinienem być od razu wiedzieć. To nie przypadek, jeśli chodzi o pana, panie Quin. To nie przypadek, że spotkaliśmy się dziś w nocy na skrzyżowaniu.

Pułkownik Melrose wpatrywał się w przyjaciela zdumiony. Pan Satterthwaite wziął go pod rękę.

— Pamiętasz, co ci opowiadałem o naszym przyjacielu, Dereku Capelu? Motyw jego samobójstwa, którego nikt nie mógł się domyślić? To pan Quin rozwiązał ten problem — i nie tylko ten. Odkrywa rzeczy, które istnieją, ale których się nie widzi. On jest wspaniały.

— Mój drogi Satterthwaite, sprawia pan, że się rumienię — powiedział pan Quin uśmiechając się. — O ile dobrze pamiętam, tych odkryć dokonał pan, a nie ja.

— Zostały dokonane, ponieważ pan tam był — odparł pan Satterthwaite z pełnym przekonaniem.

— W porządku — odezwał się pułkownik Melrose, chrząkając znacząco. — Nie możemy tracić czasu. Jedźmy.

Zajął miejsce za kierownicą. Nie był zbyt zadowolony, że pan Satterthwaite narzucił mu towarzystwo pana Quina, ale nie miał zasadniczych obiekcji i pragnął czym prędzej znaleźć się w Alderway.

Pan Satterthwaite ponaglił pana Quina do zajęcia miejsca obok kierowcy, sam zaś usiadł jako trzeci. Samochód był na tyle obszerny, że trzy osoby mieściły się w nim zupełnie swobodnie.

— A więc interesują pana zbrodnie, panie Quin? — powiedział pułkownik, starając się okazać towarzyskim.

— Nie, niezupełnie zbrodnie.

— Więc co?

— Proszę spytać o to pana Satterthwaite'a. — Pan Quin uśmiechnął się. — On jest bardzo bystrym obserwatorem.

— Myślę — powiedział wolno pan Satterthwaite'a — mogę się mylić, ale sądzę, że pana Quina interesują kochankowie.

Zaczerwienił się, wymawiając to ostatnie słowo, które żadnemu Anglikowi nie mogło przejść przez gardło bez skrępowania. Pan Satterthwaite wymówił je jakby przepraszająco, nadając mu wydźwięk pewnej przerośnięci.

— Na Boga! — zawołał wstrząśnięty pułkownik i zamilkł.

Pomyślał w duchu, że ów przyjaciel Satterthwaite wygląda na dziwnego osobnika. Spojrzał na niego z ukosa. Facet wyglądał w porządku — całkiem normalny, młody gość. Dość smagły, ale nie sprawiał wrażenia cudzoziemca.

— A teraz — powiedział z poważną miną Satterthwaite — muszę zapoznać pana z całą sprawą.

Opowiadanie zajęło mu około dziesięciu minut. Siedząc w ciemności i pędząc tak wśród nocy, doznawał upajającego uczucia własnej potęgi. Cóż z tego, że był tylko obserwatorem życia? Słowa przychodziły jak na zawołanie. Był w tym mistrzem, potrafił stworzyć z nich kompozycję — dziwną renesansową kompozycję, na którą składała się piękność Laury Dwigton — kobiety o białych ramionach i rudych włosach — oraz ciemna postać Paula Delangua, którego kobiety uznawały za przystojnego.

Odmalował tło, na którym rozgrywały się wydarzenia — posiadłość Alderway, która jeszcze sięgała czasów Henryka VII, a zdaniem niektórych, jeszcze wcześniejszych. Alderway było angielskie do szpiku kości, ze swymi strzyżonymi cisami, starą żebrowaną belkami stajnią i stawem, w którym niegdyś mnisi hodowali karpie.

Kilkoma zgrabnymi zdaniem naświetlił historię sir Jamesa Dwigtona, prawowitego potomka starego rodu de Wittonów, którzy w dawnych czasach zbili fortunę i pieniądze zabezpieczyli w skrzyniach, tak że nawet kiedy przychodziły na innych chude lata, de Wittonowie zawsze byli bogaci.

W końcu pan Satterthwaite przerwał. Opowiadając pewien był przychylności swego słuchacza i teraz oczekiwał słów pochwały, na które zasługiwał. I doczekał się.

— Jest pan artystą, panie Satterthwaite.

— Staram się, jak mogę. — Mały mężczyzna stał się nagle skromny.

Kilka minut temu przejechali przez bramę. Teraz samochód podjechał przed frontowe wejście, a na ich powitanie wybiegł policjant.

— Dobry wieczór, sir. Inspektor Curtis jest w bibliotece. — W porządku.

Melrose wbiegł na schody, a za nim pozostali mężczyźni. Kiedy cała trójka przechodziła przez szeroki hol, stary lokaj — szef służby domowej — stał w drzwiach i przyglądał im się z lękiem. Melrose powitał go.

— Dobry wieczór, Miles. To smutna sprawa.

— Rzeczywiście. — Lokaj zadrżał. — Po prostu nie mogę w to uwierzyć, sir, naprawdę nie mogę. Pomyśleć, że ktoś mógł zabić pana.

— Tak, tak — uciął krótko Melrose. — Za chwilę z panem porozmawiam.

Wkroczył do biblioteki. Inspektor, który przywitał go tam z respektem, był potężnym mężczyzną o wyglądzie wojskowego.

— Paskudna sprawa, sir. Nie poruszałem niczego. Na narzędziu zbrodni nie ma odcisków palców. Ktokolwiek to zrobił, znał się na rzeczy.

Pan Satterthwaite spojrział na bezwładne ciało pochylone nad biurkiem i pospiesznie odwrócił wzrok. Mężczyzna został uderzony z tyłu, druzgocący cios strzaskał mu czaszkę. Widok nie należał do przyjemnych.

Narzędzie leżało na podłodze — figurka z brązu wysokości około dwóch stóp, której podstawa była mokra i poplamiona. Pan Satterthwaite pochylił się nad nią z zaciekawieniem.

— Wenus — powiedział cicho. — Powaliła go Wenus. Znalazł pożywkę dla poetyckich rozmyślań.

— Okna — odezwał się inspektor — były wszystkie zamknięte i zaryglowane od środka. — Umikł znacząco.

— A więc morderca znajdował się w domu — powiedział z ociąganiem w głosie komisarz okręgowy. — No, no, zobaczymy.

Zamordowany mężczyzna ubrany był w strój golfowy. Torba do golfa leżała, rzucona niedbale, na skórzanej kanapie.

— Właśnie wrócił z pola golfowego — wyjaśnił inspektor w odpowiedzi na pytające spojrzenie komisarza. — To było o piątej piętnaście. Wypił herbatę, którą przyniósł mu lokaj. Później zadzwonił na służącego, aby mu przyniósł ranne pantofle. Z tego co wiemy, służący był ostatnią osobą, która widziała go przy życiu.

Melrose przytaknął i skierował swą uwagę raz jeszcze na biurko.

Było na nim wiele poprzewracanych i zniszczonych bibelotów. Wyróżniał się wśród nich duży, ciemny, emaliowany zegar, leżący na samym środku blatu.

Inspektor chrząknął.

— Można to nazwać łutem szczęścia, sir — powiedział. — Jak pan widzi, zatrzymał się na wpół do siódmej. To bardzo dogodnie ustala nam czas zbrodni.

Pułkownik przyglądał się zegarowi.

— Jak pan powiedział — zauważył — bardzo dogodnie. — Umilkł na chwilę, po czym dodał: — Do licha, nazbyt dogodnie! Nie podoba mi się to, inspektorze.

Spojrzał na pozostałych mężczyzn. Jego oczy przyciągnęły wzrok pana Quina.

— Do diabła — zaklął. — To wygląda za dobrze. Takie rzeczy się nie zdarzają.

— Chce pan powiedzieć — mruknął pan Quin — że zegary nie przewracają się w ten sposób?

Melrose wpatrywał się w niego chwilę, potem zaś znów w zegar, który miał ów patetyczny Bogu ducha winny wygląd właściwy przedmiotom; które nagle zostały pozbawione swego majestatu. Bardzo ostrożnie pułkownik Melrose przywrócił zegarowi normalną pozycję. Gwałtownie uderzył w stół. Zegar zakółsał się, ale nie upadł. Melrose powtórzył doświadczenie. Bardzo wolno, jakby pokonując opór, zegar przewrócił się wznak.

— O której godzinie wykryto zbrodnię? — spytał ostro.

— Około siódmej, sir.

— Kto ją odkrył?

— Lokaj.

— Przyprowadź go — powiedział komisarz. — Porozmawiam z nim teraz. A przy okazji, gdzie jest pani Dwigton?

— Leży, sir. Pokojówka powiedziała, że pani jest pogrążona w nieutulonym żalu i nie może nikogo widzieć.

Melrose pokiwał głową, a inspektor Curtis udał się na poszukiwanie lokaja. Pan Quin wpatrywał się w zamyśleniu w kominek. Jego śladem poszedł pan Satterthwaite. Zmrużywszy oczy, przez chwilę

obserwował tłące się polana i nagle coś błyszczącego w palenisku przyciągnęło jego wzrok. Pochylił się i wyciągnął kawałek stłuczonego szkielka.

— Pan mnie wzywał, sir?

To był głos lokaja, ciągle jeszcze wystraszony i drżący. Pan Satterthwaite wsunął kawałek szkielka do kieszeni swojej kamizelki i odwrócił się.

Stary człowiek stał w drzwiach.

— Proszę usiąść — powiedział uprzejmie komisarz. — Cały się pan trzęsie. Domyślam się, że to był dla pana szok.

— To prawda, sir.

— Nie będę pana długo zatrzymywał. Pan Dwigton przyszedł kwadrans po piątej, jak sądzę?

— Tak, sir. Poprosił, żeby mu tu przynieść herbatę. Później, kiedy przyszedłem zabrać tacę, poprosił, żeby mu przysłać Jenningsa — to jego służący, sir.

— Która to była godzina?

— Około dziesięć po szóstej, sir.

— I co dalej?

— Przekazałem polecenie Jenningsowi. I kiedy wszedłem tu, aby pozamykać okna i zaciągnąć zasłony, zobaczyłem...

— Tak, tak — przerwał mu krótko Melrose. — Nie musi pan do tego wszystkiego wracać. Nie dotykał pan ciała, ani niczego nie poruszał?

— Och! Z pewnością nie, sir! Poszedłem tak szybko, jak tylko mogłem do telefonu, aby zawiadomić policję.

— A potem?

— Powiedziałem Janet, pokojówce, sir, aby przekazała wiadomość swej pani.

— Nie widział pan pani Dwigton przez cały wieczór?

Pułkownik Melrose postawił pytanie dość zdawkowo, ale wyczulone ucho pana Satterthwaite'a dosłyszało w nim pewien niepokój.

— Nie zwracałem się do niej, sir. Od czasu tragedii jaśnie pani przebywała w swoich apartamentach.

— Czy widział ją pan przedtem?

Pytanie padło nagle i wszyscy w pokoju zauważyli wahanie, zanim lokaj się odezwał.

— Widziałem... Widziałem ją tylko w przelocie, jak schodziła po schodach.

— Czy weszła tutaj?

Pan Satterthwaite wstrzymał oddech.

— Tak... Tak sądzę, sir.

— Która to była godzina?

Można było usłyszeć spadającą szpilkę. „Czy ten stary człowiek wie — zastanawiał się pan Satterthwaite — jak wiele zależy od jego odpowiedzi?”

— Było właśnie wpół do siódmej, sir. Pułkownik Melrose głęboko wciągnął powietrze.

— To wszystko, dziękuję. Proszę przysłać tego pokojowego, Jenningsa, dobrze?

Jennings pojawił się natychmiast. Był to człowiek o szczupłej twarzy i kocim chodzie. Sprawiał wrażenie przebiegłego i skrytego.



„Człowiek — pomyślał pan Satterthwaite — który mógłby z łatwością zamordować swego pana, jeśli byłby pewny, że to się nie wyda”.

Z przejęciem wysłuchał jego odpowiedzi na zadane mu przez pułkownika Melrose'a pytania. Jego relacja wyglądała dość przejrzyście. Przyniósł swemu panu skórzane, ranne pantofle, a zabrał buty.

— Co zrobiliście potem, Jennings?

— Wróciłem do pokoju dla służby, sir.

— O której opuściliście swego pana?

— Musiał być jakiś kwadrans po szóstej, sir.

— Gdzie byliście o wpół do siódmej, Jennings?

— W pokoju dla służby, sir.

Pułkownik Melrose zwolnił mężczyznę skinieniem głowy. Spojrzał pytająco na Curtisa.

— W porządku, sir, sprawdziłem to. Był w pomieszczeniu dla służby od około szóstej dwadzieścia do siódmej.

— Zostawmy go więc — powiedział komisarz z lekkim żalem. — Poza tym nie miał motywu.

Popatrzyli na siebie. Rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę wejść — powiedział pułkownik.

W drzwiach pojawiła się wystraszona pokojówka.

— Przepraszam, jaśnie pani usłyszała, że pułkownik Melrose jest tutaj i chciałaby się z nim zobaczyć.

— Oczywiście — powiedział Melrose. — Już idę. Pokażesz mi drogę?

Ate w tym momencie jakaś ręka odsunęła dziewczynę. W drzwiach stanęła bardzo dziwna postać. Laura Dwighton wyglądała jak zjawa z innego świata.

Miała na sobie obcisła, wieczorową, średniowieczną suknię z bladoniebieskiego brokatu. Kasztanowate włosy przedzielone pośrodku głowy zasłaniały jej uszy i ściągnięte były w prosty węzeł na karku. Świadoma swego własnego stylu, pani Dwighton nigdy nie obcinała włosów. Ramiona miała obnażone.

Jedną ręką wspierała się o framugę drzwi dla zachowania równowagi, w drugiej zaś ręce, opuszczonej wzdłuż ciała, ścisła książkę. „Wygląda — pomyślał pan Satterthwaite — jak Madonna z wczesnych włoskich płócien”.

Stała tak, kołysząc się lekko z boku na bok. Pułkownik Melrose podskoczył ku niej.

— Przyszłam powiedzieć... powiedzieć panu...

Miała niski, głęboki głos. Pan Satterthwaite był tak urzeczony dramatycznym walorem sceny, że zapomniał o rzeczywistości.

— Bardzo proszę, pani Dwighton... — Melrose podtrzymał ją swym ramieniem i poprowadził przez hol do małego saloniku, którego ściany wyłożone były splowiałym jedwabiem.

Quin i Satterthwaite udali się za nimi.

Pani Dwighton zapadła się w miękkiej kanapie, głowę wsparła o rdzawą poduszkę i zamknęła powieki. Trzej mężczyźni obserwowali ją. Nagle otworzyła oczy i wstała. Mówiła bardzo cicho.

— Zabiłam go. To właśnie przyszłam wam powiedzieć. Zabiłam go!

Zapadła śmiertelna cisza. Serce pana Satterthwaite'a jakby stanęło.

— Pani Dwighton — odezwał się Melrose. — Przeżyła pani wielki szok, jest pani rozstrojona. Myślę, że nie zdaje sobie pani sprawy z tego, co mówi.

Teraz mogłaby się jeszcze z tego wycofać, jeszcze był na to czas.

— Doskonale wiem, co mówię. To ja go zastrzeliłam. Dwaj mężczyźni westchnęli, jeden nie wydał żadnego dźwięku. Laura Dwigton pochyliła się do przodu.

— Czy pan nie rozumie? Zeszłam i zastrzeliłam go. Przyznaję się.

Książka, którą trzymała w ręce, upadła z trzaskiem na podłogę. Znajdował się w niej nóż do papieru, taki mały sztylet z rękojeścią wysadzaną kamieniami. Pan Satterthwaite podniósł go odruchowo i położył na stole. Pomyślał sobie: „To niebezpieczna zabawka. Można tym zabić człowieka”.

— A więc... — głos Laury Dwigton zdradzał niepokój. — Co pan ma zamiar zrobić? Aresztować mnie? Zabrać?

Pułkownik Melrose z trudem odzyskał mowę.

— To co mi pani powiedziała, jest bardzo poważne. Jestem zmuszony prosić, aby udała się pani do swego pokoju, zanim... zanim nie wydam odpowiednich zarządzeń.

Skinęła głową i powstała. Była teraz zupełnie opanowana, poważna i zimna.

Kiedy odwróciła się do drzwi, pan Quin zapytał:

— Co pani zrobiła z pistoletem, pani Dwigton? Ciąń niepewności przemknął przez jej twarz.

— Upuściłam go... Upuściłam tam na podłogę. Nie, myślę, że go wyrzuciłam przez okno — och! Nie pamiętam. Jakie ma to znaczenie? Nie bardzo wiem, co zrobiłam. Czy ma to jakieś znaczenie?

— Tak — odparł pan Quin — może mieć znaczenie.

Spojrzała na niego zdumiona, a w jej oczach dostrzec można było ciąń trwogi. Następnie gwałtownie odwróciła głowę i majestatycznym krokiem wyszła z pokoju. Pan Satterthwaite pospieszył za nią. Czuł, że ona może w każdej chwili upaść. Ale pani Dwigton znajdowała się już w połowie schodów, nie wykazując żadnych symptomów słabości. U podnóża schodów stała wystraszona pokojówka.

— Uważaj na swoją panią — zwrócił się do niej autorytatywnie pan Satterthwaite.

— Tak, sir. — Zanim jednak pospieszyła na górę za odzianą na niebiesko postacią, odezwała się: — Och, sir, oni chyba go nie podejrzewają, prawda?

— Kogo?

— Jenningsa, sir. Och! On by muchy nie skrzywdził.

— Jenningsa? Nie, oczywiście, że nie. Idź i uważaj na swoją panią.

— Tak, sir.

Dziewczyna pobiegła szybko po schodach, zaś pan Satterthwaite powrócił do pokoju, który przed chwilą opuścił.

— Niech mnie diabli porwą — westchnął ciężko pułkownik Melrose. — Sprawa jest bardziej skomplikowana, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. To mi przypomina takie głupie opisy powieściowych bohaterów.

— To nierealne — przyznał pan Satterthwaite. — Zupełnie jak na scenie.

— Tak — zgodził się pan Quin. — Ale pan przecież podziwia sztukę, czyż nie? Jest pan człowiekiem, który potrafi docenić dobrą grę aktorską.

Pan Satterthwaite spojrzał na niego surowo.

W ciszy, która zapadła, dosłyszeli odległy dźwięk.

— To przypomina wystrzał — stwierdził pułkownik Melrose. — Przypuszczam, że to któryś ze strażników. Być może właśnie coś takiego usłyszała i zeszła zobaczyć. Nie zbliżyła się i nie przyjrzała ciału, tylko od razu doszła do wniosku...

— Pan Delangua, sir — powiedział stary lokaj, stając w drzwiach w przeproszającej pozie.

— O co chodzi? — spytał Melrose.

— Pan Delangua jest tutaj, sir, i jeśli wolno, chciałby z panem porozmawiać.

— Niech wejdzie — powiedział pośpiesznie Melrose, odchylając się na krześle.

W chwilę później pojawił się w drzwiach Paul Delangua. Jak już pułkownik Melrose zauważył, było w nim coś „nieangielskiego” — pełna wdzięku lekkość ruchów, smągła, ładna twarz, oczy osadzone trochę zbyt blisko siebie. Unosiła się wokół niego jakaś renesansowa aura. On i Laura Dwigton wnosili podobną atmosferę.

— Dobry wieczór panom — powiedział Delangua, robiąc trochę teatralny ukłon.

— Nie wiem, o co może panu chodzić, panie Delangua — odezwał się ostro pułkownik Melrose — ale jeśli to nie ma nic wspólnego ze sprawą...

— Przeciwnie — przerwał mu z uśmiechem Delangua — całkowicie się z tym wiąże.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć — wyjaśnił spokojnie Delangua — że przyszedłem przyznać się do zamordowania sir Jamesa Dwigtona.

— Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co mówi? — spytał Melrose poważnym tonem.

— Doskonale. — Młody człowiek wbił wzrok w blat stołu.

— Nie rozumiem...

— Dlaczego się przyznaję? Nazwijcie to wyrzutami sumienia, czy jak tam sobie chcecie. Zasztyletowałem go, możecie tego zupełnie pewni. — Pochylił się nad stołem. — Tutaj znajduje się narzędzie. Bardzo poręczny przedmiot. Pani Dwigton zostawiła go obok książki, a ja skwapliwie skorzystałem z okazji.

— Chwileczkę — wtrącił pułkownik Melrose. — Czy mam rozumieć, że zasztyletował pan sir Jamesa tym? — Wysoko uniósł sztylet.

— Dokładnie tak. Zakradłem się przez okno. Siedział tyłem do mnie. To było zupełnie łatwe. Wyszędłem tą samą drogą.

— Przez okno?

— Tak, przez okno.

— A która była godzina?

— Chwileczkę — Delangua zawahał się. — Rozmawiałem ze strażnikiem — to był kwadrans po szóstej. Usłyszałem kurant na wieży kościelnej. To musiało być — powiedzmy — około wpół do siódmej.

Na wargach pułkownika pojawił się ponury uśmiech.

— W porządku, młodzieńcze — powiedział. — To rzeczywiście wydarzyło się o wpół do siódmej. Być może już pan to usłyszał? Wziąwszy wszystko razem, to nadzwyczaj osobliwe morderstwo.

— Dlaczego?

— Wiele osób się do niego przyznaje — odparł pułkownik Melrose.

Delangua gwałtownie złapał powietrze.

— Kto jeszcze się do tego przyznał? — spytał, z trudnością łapiąc równowagę. — Pani Dwighton. Delangua odrzucił głowę i roześmiał się donośnie.

— Pani Dwighton jest skłonna do hysterii — powiedział miękko. — Gdybym był na pana miejscu, nie przywiązywałbym wagi do tego, co ona mówi!

— Być może tak uczynię — powiedział Melrose — ale jest jeszcze inna zadziwiająca rzecz w tej sprawie.

— Co takiego?

— Pani Dwighton wyznała, że zastrzeliła sir Jamesa, pan zaś twierdzi, że go zasztyletował. Ale tak się szczęśliwie dla was składa, że nie został ani zastrzelony, ani zasztyletowany. Strzaskano mu czaszkę.

— Mój Boże! — zawołał Delangua. — Niemożliwe, żeby mogła to zrobić kobieta...

Urwał, zagryzając wargi. Melrose skinął głową. Przez twarz przeleciał mu cień uśmiechu.

— Często się o tym czyta — wyjaśnił samorzutnie — ale nigdy nie byłem tego świadkiem.

— Czego?

— Para młodych idiotów obwinia się o to samo, aby odciążyć drugiego — powiedział Melrose. — Teraz zaczynamy od początku.

— Służący — krzyknął pan Satterthwaite. — Ta dziewczyna... Nie przywiązywałem wtedy do tego uwagi. — Zamilkł, usiłując powiązać fakty. — Obawiała się, że będziemy go podejrzewać. Musiał więc mieć jakiś motyw, którego my nie znamy, a który był jej wiadomy.

Pułkownik Melrose, zmarszczywszy brwi, nacisnął dzwonek. Kiedy usłyszał zgłoszenie, powiedział:

— Proszę poprosić panią Dwighton, aby była tak uprzejma i zeszła do nas znowu.

Czekali w milczeniu na jej pojawienie. Na widok Delangua zatrzymała się i wyciągnęła rękę, by nie upaść. Pułkownik Melrose szybko pospieszył jej na pomoc.

— Wszystko w porządku, pani Dwighton. Proszę się nie niepokoić.

— Nie rozumiem. Co tutaj robi pan Delangua?

Delangua zbliżył się do niej.

— Lauro... Lauro, dlaczego to zrobiłaś?

— Co zrobiłam?

— Wiem. Zrobiłaś to dla mnie, myślałaś, że to ja... Ostatecznie to było naturalne. Och! Jesteś aniołem!

Pułkownik Melrose chrząknął. Należał do ludzi, którzy nie znoszą demonstrowania uczuć, i przerażały go takie sceny.

— Jeśli mogę powiedzieć, pani Dwighton, oboje o włos uniknęliście nieszczęścia. On właśnie zwrócił się do nas, aby przyznać się do popełnienia morderstwa — och, już wszystko w porządku, on tego nie zrobił! Tym niemniej chcemy znać prawdę. Proszę się już więcej nie wahać. Lokaj twierdzi, że weszła pani do biblioteki o wpół do siódmej — czy tak było?

Laura spojrzała na Delangua. Ten skinął głową.

— Chcemy znać teraz prawdę, Lauro — powiedział.

— Powiem wam. — Westchnęła głęboko. Opadła na krzesło, które pan Satterthwaite podsunął jej pospiesznie. — Zeszłam na dół. Otworzyłam drzwi do biblioteki i zobaczyłam...

Przerwała i przełknęła ślinę. Pan Satterthwaite pochylił się ku niej i poklepał ją po ręką dla dodania otuchy.

— Tak — powiedział — tak, co pani zobaczyła?

— Mój mąż leżał na biurku. Zobaczyłam jego głowę — krew — och!

Uniosła ręce ku twarzy. Komisarz pochylił się ku niej. — Pani wybaczy, pani Dwighton, pomyślała pani wtedy, że pan Delangua go zastrzelił? Skinęła głową.

— Wybacz mi, Paul — błagała — ale powiedziałaś mi... Powiedziałaś...

— Że zastrzeliłbym go jak psa — powiedział Delangua ponuro. — Pamiętam. To było tego dnia, kiedy odkryłem, że cię maltretuje.

Komisarz powrócił do głównego tematu.

— A zatem, pani Dwighton, rozumiem, że wróciła pani na górę i... nic nie powiedziała. Nie potrzebujemy dociekać dlaczego. Nie dotykała pani ciała ani nie zbliżała się do biurka?

Zadrżała.

— Nie, nie. Od razu wybiegłam z pokoju.

— Rozumiem. A która to była dokładnie godzina? Pamięta pani?

— Było wpół do siódmej, kiedy wróciłam do swojej sypialni.

— A więc — powiedzmy, że dwadzieścia pięć po szóstej sir James już nie żył. — Komisarz spojrzął na pozostałych. — Ten zegar został przewrócony celowo, prawda? Podejrzewaliśmy to cały czas. Nic prostszego niż ustawić wskazówki na odpowiedniej godzinie, ale popełniono błąd — przewrócono go na niewłaściwą stronę. A więc wygląda na to, że krąg podejrzanych zawęży się do lokaja i służącego. Nie wierzę, żeby to był lokaj. Proszę mi powiedzieć, pani Dwighton, czy ów Jennings żywił jakąś urazę do pani męża?

Laura opuściła ręce, odsłaniając twarz.

— Trudno to nazwać urazą, ale... James powiedział mi dziś rano, że go zwolnił. Złapał go na kradzieży.

— Ach! Teraz wiemy. Jennings mógł zostać wydalony bez odpowiednich referencji. To dla niego poważna sprawa.

— Powiedział pan coś na temat zegara — odezwała się Laura Dwighton. — Jest pewna szansa — jeśli chce pan ustalić czas — James z pewnością miał przy sobie mały, golfowy zegarek. Musiałby również zostać stłuczony, kiedy mąż upadł na biurko, prawda?

— To jest myśl — powiedział powoli pułkownik. — Tylko obawiam się... Curtis!

Inspektor szybko skinął głową ze zrozumieniem i opuścił pokój. Za chwilę powrócił, trzymając w dłoni srebrny zegarek oznakowany jak piłka golfowa, taki, jaki sprzedaje się graczom, aby mogli nosić je luzem w kieszeni razem z piłkami.

— Oto jest, sir — powiedział — ale wątpię, czy nam się na coś przyda. Te zegarki są bardzo mocne.

Pułkownik wziął zegarek do ręki i przyłożył do ucha.

— Wygląda na to, że się zatrzymał — zauważył. Nacisnął wieczko kciukiem i zegarek otworzył się. Wewnątrz szkło było stłuczone.

— Ach! — wyrwał mu się okrzyk triumfu. Wskazówki pokazywały dokładnie kwadrans po szóstej.

— Wspaniałe porto, pułkowniku — powiedział pan Quin.

Było wpół do dziesiątej i trzech mężczyzn właśnie skończyli jeść spóźniony obiad w domu pułkownika Melrose'a. Pan Satterthwaite był w szczególności radosnym nastroju.

— Miałem zupełną rację — zachichotał. — Nie może pan temu zaprzeczyć, panie Quin. Dziś wieczór uratował pan dwoje nedorzecznych, młodych ludzi, którzy uwzięli się, aby powędrować na stryczek.

— Czyżby? — zaprotestował pan Quin. — Z pewnością nie. W ogóle niczego nie zrobiłem.

— Jak się okazało, to nie było konieczne — przyznał pan Satterthwaite. — Ale mogłoby być. Niebezpieczeństwo było o włos. Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy pani Dwighton powiedziała: „Zabiłam go”. Nigdy nie widziałem nawet na scenie niczego równie dramatycznego.

— Jestem skłonny się z panem zgodzić — odparł pan Quin.

— Trudno uwierzyć, że taka sprawa, jakby żywcem wyjęta z powieści, wydarzyła się naprawdę — oznajmił już chyba po raz dwudziesty pułkownik.

— Doprawdy? — zapytał pan Quin.

— Do licha, przecież to się zdarzyło dziś wieczorem. — Pułkownik wpatrywał się w niego.

— Pamiętajcie — wtrącił pan Satterthwaite, pochylając się na krześle i sącząc porto — że pani Dwighton była wspaniała, nadzwyczajna, ale popełniła jeden błąd. Nie powinna dojść do wniosku, że jej mąż został zastrzelony. Tak samo Delangua okazał się głupcem udając, że zasztyletował sir Jamesa, właśnie dlatego, że sztylet znajdował się przed nami na stole. To był zwykły zbieg okoliczności, że pani Dwighton zabrała go na dół ze sobą.

— Tak pan uważa? — zapytał pan Quin.

— Jeśli oni ograniczyli się tylko do stwierdzenia, że zabili sir Jamesa, nie wdając się w bliższe szczegóły — ciągnął pan Satterthwaite. — jaki mógłby być tego rezultat?

— Można by im było uwierzyć — powiedział pan Quin z dziwnym uśmiechem.

— Cała sprawa przypomina powieść — zauważył pułkownik.

— Przypuszczam, że pomysł zaczerpnęli z powieści — powiedział pan Quin.

— Możliwe — zgodził się pan Satterthwaite. — Rzeczy, które się przeczytało, w zadziwiający sposób wracają do głowy. — Spojrzał prosto na pana Quina. — Oczywiście — dodał — z początku zegar rzeczywiście wyglądał podejrzanie. Zawsze powinno się pamiętać, że bardzo łatwo przesunąć wskazówki zegara lub zegarka ręcznego do przodu lub do tyłu.

Pan Quin skinął głową i powtórzył słowa pana Satterthwaite'a.

— Do przodu — przerwał — lub do tyłu.

Było coś zachęcającego w jego głosie. Jego błyszczące, ciemne oczy patrzyły wprost na pana Satterthwaite'a..

— Wskazówki zegara zostały przesunięte do przodu — stwierdził pan Satterthwaite. — To wiemy.

— Wiemy? — zapytał pan Quin.

Pan Satterthwaite wpatrywał się w niego.

— Sądzi pan — powiedział — że to zegarek ręczny został cofnięty? Ale to nie ma sensu. To niemożliwe.

— Możliwe — mruknął pan Quin.

— Absurd. Na czym by to grało korzyść?

— Przypuszczam, że jedynie na korzyść tego, kto miał alibi właśnie na ten czas.

— Na Boga! — zawołał pułkownik. — To jest czas, kiedy Delangua, jak oświadczył, rozmawiał ze strażnikiem.

— Podkreślił to w szczególny sposób — powiedział pan Satterthwaite.

Spojrzeni po sobie. Mieli niepokojące uczucie, że pewny grunt usuwa im się spod nóg. Fakty odwracały się, nabierając nowej, nieoczekiwanej wymowy. A w centrum tego kalejdoskopu zobaczyć było można smagłą, uśmiechniętą twarz pana Quina.

— Ale w takim razie... — zaczął Melrose — W takim razie... Bystry pan Satterthwaite skończył za niego zdanie:

— Wszystko odbyło się inaczej. Pułapka taka sama, ale pułapka zastawiona na służącego. Och, nie może być! To niemożliwe. Dlaczego każde z nich oskarżało się o popełnienie zbrodni?

— Właśnie — powiedział pan Quin. — Aż do tego momentu podejrzewaliście ich, prawda? — Jego głos brzmiał łagodnie i sennie. — Powiedział pan, pułkowniku, że było w tym coś z powieści. Tam właśnie znaleźli pomysł. Tak zachowuje się niewinny bohater i bohaterka. Oczywiście to sprawiło, że uznał ich pan za niewinnych — stała za nimi siła tradycji. Pan Satterthwaite cały czas mówił, że mu to przypomina sztukę. Obaj mieliście rację. To nie było realne. Mówiliście tak cały czas, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówicie. Ich historia była zbyt dobra, żeby im można było uwierzyć. Dwaj mężczyźni patrzyli na niego bezradnie.

— To mogło być sprytne — powiedział pan Satterthwaite. — Diabelsko sprytne. Pomyślałem o czymś jeszcze. Lokaj stwierdził, że wszedł o siódmej do biblioteki pozamykać okna, a więc musiał sądzić, że będą otwarte.

— Tą drogą wszedł Delangua — powiedział pan Quin. — Zabił sir Jamesa jednym ciosem, a potem razem z panią Dwighton zrobili to, co musieli zrobić...

Spojrzał na pana Satterthwaite'a, zachęcając go, by zrekonstruował tę scenę. Pan Satterthwaite uczynił to z pewnym wahaniem.

— Stłukli zegar i przewrócili go na bok. Tak. Zatrzymali zegarek golfowy i stłukli szkiełko. Potem Delangua wyszedł przez okno, a ona je za nim zamknęła. Ale jednej rzeczy nie rozumiem. Po co w ogóle zajmowali się zegarkiem? Dlaczego po prostu nie cofnęli wskazówek na dużym zegarze?

— Zegar zawsze trochę rzuca się w oczy — odpowiedział pan Quin. — Każdy mógł uciec się do tak przejrzystego fortelu.

— Z pewnością zegarek był pomysłem bardziej wyszukany. Nikła była szansa, że kiedykolwiek o nim pomyślimy.

— O nie — powiedział pan Quin. — Pamiętajmy, że była to sugestia samej pani Dwighton.

Pan Satterthwaite wpatrywał się w niego jak urzeczony.

— Jednak, jak wiecie — powiedział łagodnie pan Quin — jedyną osobą, która nie mogłaby pominąć zegarka, był służący. Służący wiedzą lepiej niż ktokolwiek inny, co ich panowie noszą w kieszeniach. Jeśli Jennings zatrzymał zegar, mógł również zatrzymać zegarek. Obydwoje nie rozumieją natury ludzkiej, przeciwnie niż pan Satterthwaite. Pan Satterthwaite potrząsnął głową.

— Zupełnie się pomyliłem — mruknął z pokorą. — Myślałem, że pan przybył im na ratunek.

— Tak zrobiłem — powiedział pan Quin. — Och, ale nie tym dwojgu — tym drugim. Być może nie zwróciliście uwagi na tę pokojówkę? Nie nosiła na sobie niebieskiego brokatu ani nie grała dramatycznej roli. Ale to doprawdy bardzo ładna dziewczyna i myślę, że bardzo kocha tego Jenningsa. Między nami mówiąc, myślę, że będziecie mogli uratować tego mężczyznę od stryczka.

— Nie mamy żadnego dowodu — odezwał się ciężkim głosem pułkownik Melrose.

— Pan Satterthwaite go ma. — Pan Quin uśmiechnął się.

— Ja? — Pan Satterthwaite był zdumiony.

— Ma pan dowód — ciągnął pan Quin — że ten zegarek nie został stłuczony w kieszeni sir Jamesa. Nie można stłuc takiego zegarka bez otwarcia koperty. Proszę spróbować i przekonać się. Ktoś wyjął zegarek, otworzył go, położył na ręce i stłukł szkło, potem zamknął go i włożył z powrotem do kieszeni zmarłego. Nie zauważyli, że kawałek szkła zniknął.

— Och! — krzyknął pan Satterthwaite, wkładając rękę do kieszeni kamizelki. Wyjął z niej fragment zgniecionego szkła.

To była jego wielka chwila.

— Dzięki temu — powiedział z naciskiem — uratuję człowieka przed śmiercią.

\* robin (ang.) — ruzdzik (ptak); wren (ang.) — strzyżyk (ptak)

\* slack (ang.) — leniwy, opieszały, (przyp. tłum.)

\* Fragment popularnej ang. rymowanki:

Dwadzieścia cztery kosy w cieście zapieczono.

Ptaszki płakać zaczęły, gdy ciasto pokrojono.

Czy to nie wspaniałe danie dla króla na śniadanie?

Dodatkowo gra słów — blackbird (ang.) — kos, blackberry (ang.) — jagoda, (przyp. tłum.)